



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

WID-LC

PG

7158

W446

R3

x

1873

t.1

*200000*

*F/V*



HARVARD  
COLLEGE  
LIBRARY





RAMOTY I RAMOTKI.

Gift of Tadeusz Sotowij  
to the Harvard Library  
March 1989

*Ramoty Tom I.*

.1.



RAMOTY I RAMOTKI.

Gift of Tadeusz Sotowij  
to the Harvard Library  
March 1989

*Ramoty Tom I.*

1.









**August Wilkofski.**

# RAMOTY I RAMOTKI

**AUGUSTA WILKOŃSKIEGO.**



WYDANIE NOWE I ZUPEŁNE

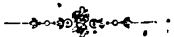
Z ŻYCIORYSEM AUTORA

PRZEZ

**W. SZYMANOWSKIEGO.**

Z POPIERSIEM AUTORA.

TOM I.



WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA JUNGRA,  
ulica Nowolipki Nr. 2406 (nowy 3).

1873.

WID-LC

PG

M158

. W 446

R 3

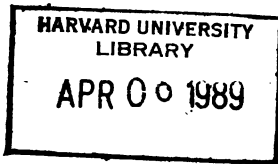
X

1873

Дозволено Цензурою.

*Варшава, 22 Января 1872 г.*

t. 1



89\*1

## AUGUST WILKOŃSKI.

---

Śmiech mówicie....

I o śmiech dziś nie łatwo, zwłaszcza o ten śmiech szczery, rozlegający się na całe gardło, co to szedł na zdrowie i kazał zapominać ludziom o troskach codziennych, o kłopotach następujących jedne za drugimi jak fale gnane wichrem który życie pędzi przed sobą.

Taki śmiech wychodzi z tradycyi, coraz go mniej.

Nie wynagrodzą go nam ani upadająca już wodwilowa szkoła którą gwałtownie staraliśmy się na nasz grunt przeszczepić, ani Offenbachowskie farsy ostatni może téj szkoły wynik, ani nawet własne nasze zachcenia humorystyczne w których zawsze czuć będzie przymus, bo to smietanka na obcych mętach zebrana.

Nam trzeba takiego śmiechu co to idzie w głębi ducha naszego, który utajony jest w każdym z nas, który sterany życiem, zatarty różnemi wrażeniami, żyje jednak i gotów zawsze ozwać się, jeżeli kto po-

trafi ująć tę strunę rodowego humoru, różniącego się o wiele od obcych naniesiałości i przeróbek.

Dźwięczały na niej niegdyś najznakomitsze nasze talenta poetyczne, a i przy schyłku osmnastego wieku książę biskup w Monachomachii i niektórych innych swoich utworach potraçał ją mimochodem.

Alboż to nawet i Adam nie miał swoich rzadkich, bardzo rzadkich chwil szczerego śmiechu.

. . . . Oj oj niczego, widać z wzrostu z tuszy....

Co za podgarle, choć walić obuchem,

A kark jaki! a brzuch jaki!

A niech mnie pożrą sobaki,

Jeżeli uczciwszy uszy.

Wieprza widział z takim brzuchem!

. . . . Pies mówił a wilk słucał uchem, gębą, nosem....

Dalibóg ten pies i wilk to nie ci co już za Ezopa rozmawiali ze sobą, oni na naszej ziemi się zrodzili i pewno ani żdzbla kopji z karykatur zagranicznych w nich się nie doszuka.

A cóż dopiero powiedzieć o błyskach prawdziwego rodzimego humoru w panu Tadeuszu tak hojnie rozrzuconych!

Miał ten humor i Soplica szczególnie w początkowych swoich utworach. Ale humor Rzewuskiego nie tyle wypływał z niego samego ile z tradycji z tego co zasłyszał od innych, lub co sam wydobyć potrafił z rzeczywistego skarbu pamięci swojej.

Co innego Wilkoński.

On umiał patrzeć na terażniejszą taką jaka się mu przedstawiała.

Żyjąc w epoce przejściowej, umiał on wypatrzyć główne jej rysy, szukając przed innemi tych cech które wpływały z charakteru narodowego.

A i nie potrafiłby on spoglądać na nasze społeczeństwo innemi oczami, sam bowiem był krwią z jego krwi, kością z jego kości, sam przedstawiał nierozdzielną cząsteczkę téj wielkiej i obfitej galeryi którą pod tytułem Ramot i Ramotek, przesuwiał przed oczami czytelników.

I opisując tych nieogłędnych obywateli wiejskich, tych nieboraków toczących co krok walkę z lichwiarzami opędzających się od pozwów i komornika, Wilkoński mógł powiedzieć z Eneaszem:

*Et quorum pars magna fui.*

Życie tego naszego kochanego chirurga filozofji to także Ramotka, chociaż niekiedy ciemnymi zasuta barwami.

Długo, bardzo długo Wilkoński nie domyślał się że w nim leży pisarz i to pisarz wielkiego talentu.

Zdarzyło się z nim jak się zdarzyło z wielu innymi. Czerpiąc w koło siebie życie szeroką dłonią, umiał jednak patrzeć na ludzi i zdawać sobie sprawę z tego czem są, czemby być mogli i powinni.

I niejednokrotnie w przystępie dobrego humoru, a takie chwile w młodości jego częściej niż w późniejszym wieku przychodziły, rozsiewał w koło siebie te błyski spostrzegawcze, przybrane w lekką formę zajmującego opowiadania, ukraszone barwną sukienką szczerego rodzimego dowcipu.

Do pióra brać się nie myślał, chyba dla pisania listów do licznych przyjaciół i znajomych.

A już wówczas listy te były skarbami nieocenionego humoru, który zdawał się tryskać z niewyczerpanego źródła, ciągle się w nowój formie przejawiając.

Mickiewicz nasłuchawszy się przez długi czas opowiadań Rzewuskiego, o dworze Radziwiłowskim i wybitnych postaciach z owój epoki, powiedział mu wreszcie.

— Opisz to wszystko, będzie to bardzo zajmująca książka, która odżywi dla dzisiejszego pokolenia ginącą już tradycję.

— Ale ja nigdy nie pisałem, odrzekł Rzewuski, nie wiem czy pisać potrafię?

— Spisz tylko to co mówisz, i tak jak mówisz a będzie dobrze, odpowiedział autor Grażyny, więcej nie potrzeba, ty bowiem sam nie wiesz ile w tobie leży pisarskich zasobów.

I pod wpływem tych słów, Rzewuski napisał pamiętniki Soplicy, prosty zbiór opowiadań, który w szeregu dzieł jakże po tym utalentowanym autorze pozostały, pierwszorzędne zajmuje stanowisko.

Toż samo miało miejsce z Wilkońskim.

Spotkał się z takim który mu powiedział:

— Pisz, tyś stworzony do pióra.

Wilkoński uwierzył temu i piśmiennictwo nasze zyskało znakomitego humorystę.

Stało się to w owój epoce, kiedy człowiek do-



szedłszy do dojrzałości zyskuje pewne podstawy przekonania jeżeli je w sobie wyrobić potrafił.

Wilkoński bowiem urodzony w Wielkopolsce we wsi Kąkolewie w pobliżu miasta Leszna d. 28 Sierpnia 1805 r., wychowany w gimnazjum w Poznaniu i przeszedłszy następnie nauki na uniwersytecie Wrocławskim, długo bardzo przy rozmaitych losowych wypadkach oddając się gospodarstwu wiejskiemu, widział ciągle zmniejszającą się wziętą po ojcu niewielką fortunę. Przechodząc z dziedzictwa na dzierżawę, przeniósł się on z Wielkiego Księstwa Poznańskiego do Królestwa Polskiego, zadzierżawiwszy wieś Garbatkę graniczącą ze słynnym Czarnolasem Jana Kochanowskiego.

Ale i tu szczęście do gospodarstwa nie służyło mu jakoś, może dla tego że właściwe powołanie inne naznaczało mu tory.

Do Warszawy przeniósł się dopiero Wilkoński około roku 1840 i od tej też chwili datuje się właściwa jego era pisarska.

Miał więc wówczas lat 35 i zaczynał swój zawód autorski w tej epoce życia, w której inni pisarze dzisiejszych zwłaszcza czasów, gonią już resztkami po zbyt prędko i nieogłędnie wyszafowanych szczupłych zasobach.

\* \* \*

Pierwszą ramotką Wilkońskiego drukowaną w Bibliotece Warszawskiej były Wspomnienia Szkolne, opisujące zwadę, która pomiędzy professorami szkół Po-

znańskich miała powstać z przyczyny rodowodu Kopernika, a którą spowodował opowiadający. Naturalnie rzecz cała po wyjaśnieniu skończyła się boleśnie dla wychowanka księdza Antosiewicza i profesora Berendta.

Trudno opisać wrażenie jakie, pod owe czasy posuchy literackiej, sprawiła ta pierwsza próbka humorystyki prawdziwym dowcipem nacechowana.

Autor podpisał się Au. Wi. i nowa ta firma zyskała od razu zaszczytne stanowisko na giełdzie literackiej.

Nastaly złote czasy dla Biblioteki Warszawskiej. Pojawienie się Augusta Wilkońskiego zgalwanizowało to pismo, rozszerzając od razu dość szczupłe grono czytelników.

Każdy się pytał kto jest ów Au. Wi. występujący z nową a wyrobioną już formą a nadający drobnostce całość i wykończenie, co jest może najtrudniejszym pisarskim zadaniem.

Ta trzeźwość i miara w obrabianiu świeżych pomysłów, której Wilkoński ciągle potem dawał dowody, jest właśnie cechą prawdziwego talentu, który żadną miarą godzić się nie powinien ani nie może na łokciowe rozwałkowanie wierszy drukowanych.

Zresztą zapłata *roboty literackiej* od wiersza, dopiero po Wilkońskim ustaliła się na dobre u nas. Za jego czasów, pisma płaciły tylko wyjątkowo swoich współpracowników, a autora *Ramotek* od razu zaliczono do tych wyjątków.

*Ramoty* Wilkońskiego są to drobne humorysty-

czne powiastki, przydane w oddzielną formę. Talent naszego humorysty nadał téj formie taką oryginalność, że próżnoby było szukać w niej wzorów z przeszłości, że daremnie po jego śmierci usiłowano wskrzeszać ją nieudatnem naśladownictwem.

Ramoty zamarły wraz z Wilkońskim.

Każda z tych powiastek tworzy oddzielną całość, a godnem jest uwagi, że chociaż wszystkie prawie krążą w tymże samym prawie świecie typowych postaci i wyobrażeń, nie są jednak powtórzeniem jedna drugiej, ale tworzą różnobarwną galerję, zawsze nową, zawsze pełną a po części i nauczającą dla czytelnika.

Dowcip Wilkońskiego jest prawdziwie polski.

Nie zależy on na zestawieniu ani grze wyrazów, na zręcznem frazowaniu i tych łamańcach feljetonów, które późniejsi nasi pisarze przejęli od dziennikarstwa francuzkiego.

Nie szukać tam również odwrotnego przedstawiania zdań i określeń, ani fałszywych z góry założeń, tak zwanych absurdów, które autor zręczną dyalektyką przeprowadzić pragnie.

Mało obeznany o ile się zdaje z literaturą angielską, Wilkoński nie mógł również naśladować tego głębokiego humoru sięgającego wyższych zadań społecznych i wewnętrznej ustroju społeczeństwa, którym angielscy pisarze odznaczają się przed innymi.

Nie są to również satyry karcące krwawym biczem wady i zbroczenia ludzkie.

Wilkoński jest dowcipnym, że użyję tego wyrażenia, po szlachecku. Opowiada on różne fakta pochwytnane lub zasłyszane w życiu, a umie je przedstawić ze strony tak komicznej, że czytelnik uprzytomniając sobie obraz nakreślony mu przez autora, śmieje się sam do siebie i czuje że autor śmieje się wraz z nim.

Przedstawione przez siebie postacie, Wilkoński nieodziera z czci i wiary, zawsze tam na dnie czuć niemało miłości dla ludzi, wiele pobłażania dla błędów. Może dla tego że i on sam po części poczuwał się do tych zbroczeń rodowych. I jako piszący mógł śmiało powiedzieć:

*Homo sum, nihilque humani a me alienum esse puto.*

Epoka w której pisał Wilkoński niezbyt oddalona od naszej, odmienną jednak była pod wielu względami. Zasadnicze wady społeczne, wady które nie mało nam wyrządziły już złego, a i dzisiaj jeszcze niewiele pomagają naszemu społeczeństwu, też same w niej tkwiły, ale tych autor Ramotek nie wiele się dotykał. Może nie czuł sił ku temu, może nie posiadał tego bystrego wzroku który głębie społeczne przenika, może żył w okolicznościach które mu nie dozwalały tak daleko się zapuszczać, tak głęboko sięgać.

Ślizgał się on więc po wierzchu, wytykając złe skutki na czasie widoczne, nie pragnąc ani usiłując doszukiwać się głównych przyczyn tkwiących w duchowym ustroju społeczeństwa.

W całym szeregu ramotek, występuje kilka postaci, typowych w których opisie Wilkoński głównie się lubuje.

Przedewszystkiem więc występuje tam obywatel ziemski, brat szlachcic, pyszałkowaty, dmący w ojcowskie zasługi, a marnujący ojcowiznę, nieumiejący ani przysporzyć ani zachować nawet.

Stosunek jego do chłopą jest przeszłowieczny, taki istniał jeszcze za Wilkońskiego i najwięcej bije on przeciwko temu złemu upatrując w niem (i słusznie) główny powód upadku ogółu.

Pod tym względem Wilkoński szedł w parze z Syrokoma i z kilku wydatniej piszącymi w owych czasach, ostatnie rezultaty były ich w oczy, uderzali więc na nie każdy bronią jaką władał, nie pytając się co wał po drodze, co w miejsce zwałonego stawiać im przyjdzie.

Było tam może i przesady niemało, ale przesada nie wadziła wówczas, uważano ją nawet za konieczną ażeby dotkliwiej cios wymierzyć.

Pośrednikiem, nie rozjemcą ale raczej posłusznym narzędziem rozjątrzenia pomiędzy panem a chłopem jest ekonom, również typowa postać, usuwająca się dziś nam prawie z oczu.

Postać tę Wilkoński wybornie zbadał i przedstawia w jaskrawych barwach.

Powierzchność, usposobienie i zachowanie się tych ojców dorobkiewiczów późniejszych, następują pole do arcy komicznych obrazów.

Cudnyż to ten ekonom zubożony na łupach pańskich, i komuż z tych którzy czytali ramotki, wyjdzie z pamięci opis podróży p. Kukusińskiej do kościoła, i nieszczęśliwej przygody jaka biednego Grzelę spotkała.

Dalszy ciąg galerji stanowi syn obywatelski, nieopatrzny, utracjusz, hulaka, popadający w lichwiarską niewolę, pozbawiony zupełnie wykształcenia, nawet w tém co dlań główną zasadę bytu stanowić powinno, to jest w rzeczach gospodarstwa wiejskiego.

Jeżeli dla ojców Wilkoński ma jeszcze cokolwiek współczucia i pobłażania na błędy w których się wychowali, to za to dla synów jest nieubłagany.

Chłozcze on ich na każdym kroku, wskazując zgubę na jaką biegną, otchłań którą sami wykopują pod swojemi nogami.

Tutaj nawet gotowiliśmy go posądzić o przesadę, było bowiem złe, ale złe niebyło tak ogólne a przynajmniej tak bezwzględne, jak je nam autor Ramotek usiłuje przedstawić.

Tylko powiedzieliśmy już, Wilkoński nie troszczy się o przesadę, zdawało mu się bowiem jak i wielu innym że z przesadą łatwiej i prędzej trafi do celu.

Dla kobiet za to jest on względniejszy, wyrozumialszy trochę niż dla mężczyzn.

Widocznie mniej je zna, bo w ogólnych rysach i szczegółowych szkicach, daje się czuć pewna nieśmiałość ręki, jakaś niepewność siebie. Pojawia się czasem u niego hic mulier, namawiająca męża do zbroceń, często przodująca mu w nich, inna znowu sła-

ba dla synów i córek, pokłazająca ich wadom, starająca się je zakryć lub usprawiedliwić.

Wada to ogólnie czysto kobieca, czerpiąca swoje źródło w zaslepionej często miłości macierzyńskiej.

Nierzadko kobiety Wilkońskiego odznaczają się śmiesznością przesadzonych strojów i parafialnego panoszenia się. W kreśleniu takich czysto powierzchownych rysów pobieżnej charakterystyki, jest on mistrzem niezrównanym. Chwyta śmieszność na uczynku i maluje ją dosadnie.

Tak zwane *emancypantki* stanowią także u Wilkońskiego przeważny oddział jego kobiecej galerji.

Ale myliłby się ten któryby wyrażenie *emancypantki* brał w znaczeniu jakieby dzisiaj do niego przywiązywać można.

Pochopy *równouprawnienia płci żeńskiej* za Wilkońskiego nie kielkowały jeszcze a tembardziej u nas.

*Emancypantki* Wilkońskiego są zwolenniczkami jakiejś osobno ad usum Delphini wynalezionej przez niego idealnej filozofii i korzysta on z każdej sposobności, żeby przy takiej dysgrafji przypiąć łatkę Trentowskiemu, a po za nim Heglowi.

Prawdopodobnie nie studjował on ani jednego ani drugiego, ale pochwytał wybitniejsze wyrażenia, zdania, okresy i potrafi ich użyć na wywołanie silnego komicznego efektu.

Wada ta zresztą przeciwko której tak gorliwie walczy, istniała więc w jego bujnej wyobraźni aniżeli w rzeczywistości.

Zetknawszy się w życiu z kilkoma wybitnie wyjątkowymi kobiecimi postaciami, Wilkoński wziął je za zasadę dla innych.

Prototypem do tego, jest pani Kamilla z Gomołkowskich Cielątkowska założycielka literackiego salonu, a ostatniem zastosowaniem, emancypowana Sabina, uciekająca z hrabiczem Majonezem z domu rodziców.

A jednak ani takich pań Cielątkowskich, ani takich panien Sabin nie można było za ogólną zasadę uważać zwłaszcza za czasów Wilkońskiego.

Owszem tak wówczas jak i dzisiaj po części przodowały one i przodują mężczyznom, nietylko w ogólnem wykształceniu, lecz i w wyobrażeniach społecznej moralności, która jako główne źródło cnót domowych i rodzinnych tkwi w nich nieskalana.

Najdosadniejsze barwy ze swojej palety Wilkoński zachowuje dla wszelkiego rodzaju lichwiarzów, faktorów, wyzyskiwaczy, pasożytnich narostów na ciele społecznem wysysających jego soki. Tę nieprzełaganą nienawiść do lichwiarzów ma on wspólną z komedjopisarzem Stanisławem Bogusławskim, a z jednych i tychże samych powodów czerpie ona źródło u obu tych autorów.

Tak Wilkońskiemu jak i Bogusławskiemu lichwiarze dali się srodze we znaki, i obaj ciężkie z nimi musieli przechodzić chwile.

Już to wybornie zna Wilkoński całe Izraelskie



plemię i nikt z naszych autorów przed nim, nikt po nim nie potrafił je odmalować z taką wiernością. Wzory do jego Mageniszów, Boruchów i Jankłów, brane są z natury. Nic tam dodać, nic ująć; każda postać wychodzi jakby żywcem przelana na papier. Sposób mowy, zachowanie się, kierunek wyobrażeń téj licznej klasy factorskiej, która i dzisiaj nie prawie nie utraciła ze swojego społecznego znaczenia, uderzają prawdą na uczynku schwytaną.

Wilkoński nie zachodzi dalej, bo i więcej mu nie potrzeba, starczy mu bowiem z górami na to co chciał przedstawić.

Czasem opowiadanie jego słabnie i on sam to ozuje, wówczas przebojem wychodzi na scenę żyd faktor albo lichwiarz, scena ożywia się i śmiech robi sobie gwałtowny wyłom, przez który przedobrywa się przyklask czytelnika.

Oto mniej więcej główne postacie, około których obraca się ogół tła ramotek.

Dotyka on wprawdzie czasem i ludu, téj obszernej, ważnej posady społecznej, do jego czasów nie-  
tkniętej prawie, albo też jednostronnie tylko potrąca-  
nej, ale czyni on to ubocznie, mimochodem tylko. Wojtek, Bartek lub Grzela, wywołani czasem na scenę koniecznym biegiem akcji, uderzają prawdą ze-  
wnętrzych zarysów, nie czuć jednak żeby autor głę-  
biej zastanawiał się nad głównymi warunkami społecz-  
nego ich położenia.

Występują oni tylko wyłącznie w stosunku do

panów, a stosunek ten widzi Wilkoński z tej wadliwej strony, jaka za jego czasów wszystkich mniej więcej poważnie myślących ludzi uderzała.

I w ogóle autor Ramotek unika wdawań się w głębsze wywody, czuje bowiem, że to nie jego rzecz. Czasem biorą go do tego pochopy, ale czuć tam zaraz nieśmiałość, niepewność siebie, czytelnik widzi że autor ślizga się po mniej znanym sobie gruncie, a i sam autor stara się zrzucić rychło z siebie ten ciężar do którego znoszenia barki jego nie przywykły.

Wprawdzie w swoich listach, ustępach, przemówkach, nakreślał on różne plany, starał się nadać ramotkom swoim głębsze społeczne zadanie.

Tak naprzykład, zamierzając puścić w świat kompletne wydanie Ramotek, pisał on w tym przedmiocie do Kazimierza Wojcickiego prosząc o wstawienie się do Smokowskiego, ażeby drzeworytami dzieło ozdobił:

„Otóż mniej więcej mam treść; racz ją osłowić czoigodnemu Smokowskiemu, a ja błagam aby ołówkiem bruljon naszkicował, a uczynimy we troje naradę co dodać, co ująć wypadnie. Idzie o to ażeby ten szkic ołówkowy mógł być przed upływem czterech tygodni skończony; przecież w czterech tygodniach znajdzie się chwila natchnienia. Mój umysł, nasuwa mi do rysunku (którego wykonać nie mogę bom rysunku nie wyuczony) np.:

1. Djabek stoi w progu gorzelnii . . *Przemysł.*

2. Osły (w kapotach z głowami osłozwierzęceni) pilnują orzących chłopów . . . . . *Rolnictwo.*
3. Żyd liczy sobie z garści w garść pieniądze obok niego 7 bachorząt *Handel i bogactwo krajowe.*
4. Mężczyźni w czamarach i dziewice kwiatami zdobne tańczą mazura . . . . . *Szczęśliwi.*
5. W rajtrokach bogata młodzież gra w karty i pije szampana . . . *Rozumni.*
6. Diogenes z latarnią szuka człowieka pomiędzy młodzieżą . . . . *Głupiec bo nie znajdzie.*
7. Omnibus z czubem naładowany chcącymi jechać na spacer; dyszle są dwa w przeciwną stronę jeden z przodu drugi z tyłu; konie jeszcze nie zaprzężone, kłóca się którą stroną jechać . . . . . *Spory polityczne.*
8. Sowa dziobie węża, wąż skacze do sowy, przyczem pies przewraca koziółka. . . . . *Oswiata.*
9. Młodzieńcy z długimi włosami w okularach budują wieżę z książek która to wieża wali się od fundamentu . . . . . *Wiedza abstrakcyjna.*

10. Żyd wynosi na plecach w dziurawym worku mnóstwo quasi herbów *Los herbów*.

11. Kogut pieje do słońca . . . . *Nadzieja*.

12, 13, 14, 15; i t. d. (\*)

(\*) *Przyp. Wyd.* Wilkoński zawsze marzył o ilustracjach do swoich ramotek. Jako autor rozumiał on że się one wybornie do tego nadają.

Ale za jego czasów ilustracje u nas nie pojawiały się jeszcze. Wykonywano tylko dość nędzne litografie, drzeworyty zaś również nieszczególne sprowadzano z zagranicy.

Smokowski którego roboty tego rodzaju dziś pod względem technicznym niewiele już mają wartości, słynął za jedyną potęgę.

Do niego więc pukał Wilkoński, ale Smokowski nie skory był do roboty, i zaledwie dało się od niego wykołatać parę rycin tytułowych nieszczególnie zdobiących pierwszą edycję Ramotek.

Dzisiaj zmieniły się czasy. Drzeworytnictwo u nas kwitnie w pełnym rozwoju. Łatwiej więc dzisiaj podjąć pierwszy pomysł Wilkońskiego i my postanowiliśmy to wypełnić.

Do wykonania stosownych rysunków, w tekście Ramotek swój przedmiot czerpiących i służących im niejako za objaśnienie, uprosiliśmy pana Kóstrzewskiego, którego barwny i oryginalny a przede wszystkim rodową cechą ożywiony talent, zdaje się najlepiej nadawać ku temu.

Ale w wykonaniu tego pomysłu, tak długo przez autora Ramotek piastowanego, nie szliśmy za wskazówkami przez niego pozostawionymi.

Dzisiaj wymagania są inne. Rozmaite allegoryczne ryciny których się Wilkoński domagał, byłyby może na czasie w chwili kiedy on żył i pisał, obecnie jednak stałyby się już tylko niewczesną karykaturą pewnej całości której Ramotki nie przedstawiają.

Trzymanie się ściśle tekstu zdaje się najlepiej odpowiadać zadaniu. Tą też drogą iść postanowiliśmy. Rycin będzie 100 mniej więcej 20 w każdym tomie. Do publiczności zaś należy wydać sąd czy praca jaką podjęliśmy odpowiadając dzisiejszym wymaganiom, zapełnia rzeczywistość luką jaką wyczerpane już pierwotne edycje ramot zrzuciły w piśmie. W naszym. W każdym razie jest to jedyne dzieło w swoim rodzaju, zasługuje więc na pewne utrwalenie.

Od czego głowa mistrza artysty, od czego geniusz, od czego natchnienia? *Conclusum* że z młodzieży w rajtrokach, z djabłów na krowich kopytach, z kart francuzkich, z kieliszków od szampana, z żydów w łapserdakach, z kobiet tańczących w figurach baletniczych, z łódki na wzburzonym morzu, z Diogenesa z latarnią, z dzieci ciągnących trumnę, z małp, osłów i niedźwiedzi, z lisów kotów, sów i kogutów, z przepysznych budynków gorzelnianych i walących się drewnianych kościołów parafialnych i t. d. można przesliczne powiązać girlandy, nie pomijając osobno materjalizmu XIX stulecia. W przelocie myśli, w galopie pióra, napomykam tylko i pragnę jedynie dać poznać ogółowość méj myśli to jest: w rysunkach chcę mieć *krytykę i satyrę*, dozupełniającą moje Ramoty.

Ojciec Kazimierzul przedstawi najszanowniejszemu ziomkowi Smokowskiemu, artyście dobrodziejowi, że niechajby szczerem piórem zażądał myśli moje pochwycić, a bezzawodnie pochwyci i wykona, przez co imię swoje o trzy szczeble do nieśmiertelności posunie.

Robiąc *con amore* rysunki do moich *Ramotek*, istotnie można coś szczęśliwego utworzyć, gdyż tutaj myśl artysty żadnemi potęgami skrępowaną nie jest, bo *np.* pies przewracający koziołka obok Diogenesa z latarnią, bez żadnej przeszkody umieścić się da, młodzież w rajtrokach, djabli na krowich kopytach, żydy w łapserdakach co za pole bogate!..

O! gdybym ja był mistrzem rysunku jak nim jest czcigodny Smokowski, zaprawdę nie wypuściłbym Ramotek bez ozdobienia ich cudownem wykonaniem arcytworów talentu dowcipu i sztuki. Już mi i słów nie staje na oddanie prośby méj, ale z Matatiasem prorokiem wołam:

„Mistrzu ocknij się i rysuj!“

Godzina XII z północy chlasta na wszystkich zegarach miasta.

Składam pióro i dzieję.

I spać idę.

Pełen assumpcji i deprekacji na lądzie i na wodzie, niezmienny w uczuciach:

*Au. Wi.*

Chirurg filozofii, krzyża naturalnego kawaler.

Warszawa 12 Sierpnia, roku po Nar. Chr. jeżeli się nie pomylili 1844.“

Z tego już listu widać, że Wilkoński zamierzał sobie daleko obszerniejszy zakres aniżeli uskutecznił. Czuł on czego potrzeba.

Żeby wyjaśnić ową niezgodność pierwotnych planów, tłumaczył się nieraz brakiem czasu, i sprzyjających okoliczności, kłopotami wreszcie materjalnemi.

Naturalnie wszystkie te powody trzeba i należy nawet uwzględnić. Piszący wszędzie, a u nas więcej niż gdzieindziej, muszą się rachować z różnemi czynnikami niezależnemi od ich woli. Nam się jednak zdaje że Wilkoński dał piśmiennictwu naszemu to co

mógł dać z siebie, na co mu obficie starczył zmysł spostrzegawczy talent wrodzony a żywotny, znakomity zapas dowcipu i żywioły z których czerpał. A może chwalić mu właśnie należy, że nie sięgał tam, gdzie do dobrego ujęcia i opanowania przedmiotu nie czuł się sam na siłach.

Ramotki Wilkońskiego, oprócz czasowej wartości mają także i trwałą, która długo, bardzo długo uczyni je mocno poczytnymi.

Przedewszystkiem więc jest w nich szczerzy swojski dowcip, a to bardzo szacowny towar na dzisiejsze czasy. Tem bardziej że dowcip Wilkońskiego jest bardzo oryginalny i odróżnić go można od tych naśladownictw, które dość długi czas po jego śmierci starały się nicować całą jego literacką garderobę.

Powtórę wziąwszy nawet na bok chwilowe okoliczności, które skutkiem różnych zmian i przewrotów przeminęły wraz z epoką w której Wilkoński pisał, w postaciach które on na jaw wyprowadzał, znajduje się strona czysto ludzka i właściwie rodowa.

Ogorzali i wåsaci ziemianie nasi, długo jeszcze przemawiać będą tym językiem jaki im Wilkoński kładzie w usta, a zajęcia ich, zabawy i ulubione rozrywki nie wiele odbiegły od tych jakich opisy napotyamy w ramotkach.

Są tam zresztą ustępy oderwane jak np. Kraszewski w Warszawie, które i dziś jeszcze wydrukowane jako nowość, miałyby zupełny powab świeżości i zajęcia.

To pewna, że Ramotki stanowią i przez długi jeszcze czas stanowić będą, bardzo pojętne czytanie, a ci którzy je dawniej nawet znali, z chęcią chwycą się sposobności odnowienia przyjemnych wrażeń, jakimi ich zmarły nasz humorysta darzył.

Styl Wilkońskiego jest czysty, dość poprawny, chociaż niezawsze wyzwolić się on może od długich perjdów, używanych ogólnie prawie przez tych wszystkich, którzy przyjęli edukację w szkołach na system niemiecki urządzonych.

Pomysł autorowi Ramotek przychodziły dość łatwo, nastroczały się bowiem same z siebie. Brał je ze wspomnień, z tego co wiedział, a był to człowiek który jak powiadają nie z jednego jadł chleb pieca. Wreszcie u bliższych i dalszych znajomych Wilkońskiego, a nawet u osób obcych mu prawie, weszło w zwyczaj, że gdziekolwiek zdarzy się jaki fakt charakterystyczny, albo śmieszny wypadek, zaraz o tem Wilkońskiego uwiadomiano. On to wybornie obrobi mówili i będzie z tego paradna ramotka.

Takich komunikacyj miał on sporo i chociaż nie z wszystkich robił użytek, każda jednak zdała mu się na coś.

A dopomagała mu do tego dzielnie wyrobiona w tym kierunku pamięć, która nie opuszczała go do samego końca życia.

Za to obrobienie szło mu trudniej. Pisał zwykle *fracta pagina*, dla ułatwienia sobie poprawek, następnie przerabiał, przekształcał, wygładzał, skracał



manuskrypt i po kilku dniach znowuż do niego powracał.

Naszym dzisiejszym humorystom, przywykłym do improwizatorskiego wytrząsania z rękawa, dziwnem się to wydawać może, ale przestaną się dziwić, przekonawszy się że to co dziś napisali jutro prawie jest już zapomniane i nikt ani pomyśli powracać do żarciku, zużytego już jednorazowem przerzuceniem, podczas kiedy utwory Wilkońskiego długo jeszcze będą miały swoją trwałą wartość.

Zarzucano Wilkońskiemu rubasznosc. My owszem za przymiot mu uważamy iż nazywał rzeczy po imieniu. Taki rodowy humorysta jak on nie powinien się bawić w omówienia, pokrywki i frazesowanie. Chybałby w takim razie celu. A celem Wilkońskiego było uderzać z góry na wady i śmieszności, bez względu na ból jaki sprawi, na gniewy które wywoła. Czynił więc to w granicach jakie talent jego obejmował, w zakresie jakie mu naznaczały wyobrażenia jego społeczne.

A że nie rozszerzył tego zakresu, stać się tak musiało i niemogło być inaczej. Talent Wilkońskiego był oryginalny ze źródła płynący. Czerpał z życia. Światem książkowym żyć nie lubił, wspomagał się nim tylko dorywczo i nie systematycznie. Więc książkowego wyrobienia w autorze Ramotek nie szukać nam. A może z tem i lepiej, zatarło by to bowiem do pewnego punktu w Ramotkach owe cechy

rodowej prawdy, które główny ich przymiot stanowią.

\* \* \*

Wilkoński był średniego wzrostu, dość pełny w ciele, rysów mniej więcej regularnych, ospowaty, z wyrazem twarzy uśmiechniętym.

Byłto człowiek towarzyski i przyjacielski, wielce łatwy, zbyt łatwy może do zawierania stosunków, miał też tych stosunków moc wielką.

Bawił się z każdym i w każdym towarzystwie, bo umiał się do wszystkich zastosować, samotności tylko nie lubił.

Od młodu wyłysiawszy nosił perukę i ta peruka też była bezprześcannym celem jego żartów.

Bo przywykły do nieoszczędzania drugich, nie oszczędzał również i siebie. Puszczając często słowa na wiatr dla dowcipu, dla mistyfikacji, dla prostej zabawy, osobom mniej go znającym mógł dawać o sobie złe wyobrażenie, i to też stało się przyczyną częstych jego zmartwień, zwłaszcza w późniejszym wieku.

Do tych zmartwień o których mimochodem tylko tu wspominamy, przyczyniło się nie mało i to, że Wilkoński lubiony w towarzystwach dla swojego dowcipu i humoru, miał także wielu nieprzyjaciół.

A miał ich, już jako człowiek który talentem i rozgłosem jaki sobie zjednać potrafił wy dobył się z po za szeregu codziennych znajomości ludzkich i stanął więcej na widowni, już jako autor humorystyczny,

potrosze satyryk w pismach i słowach, a więc budzący w tych którzy się uważali za pokrzywdzonych przez jego pióro lub mowę, żale, gniewy i zawiści pokątne.

Wiedział on dobrze o tém, a jednak nie miał do ludzi nienawiści w duchu, owszem kochał ich. Łatwo przebaczał urazy, ale też nierównie łatwiej umiał na nie zarabiać. Dowcipném słówkiem rozbijał, jak również ranił dowcipném słówkiem. A nie rachował się nigdy z tem co mówił, nie pytając się kto go słucha. Stąd też zdarzało się, że ludzie mniej blisko go znający, nabierali często o nim mylne wyobrażenie.

\*Opisując dosadnie nieopatrznych ziemian naszych, był on sam wyborym typem tego rodzaju. Uwinawszy się prędko z ojcowizną, chodził następnie po dzierzawach, ale nie wiodło mu się jakoś na tem polu. Nie do gospodarki był stworzony, a raczej potrafił by żyć na wsi, gdyby wielki bardzo majątek pozwolił mu ciągle czerpać hojną ręką z licznych zasobów. Bo ręka i serce były u niego łatwe, póki miał nie odmawiał innym, i zdawało mu się że inni powinni mu się pod tym względem odzwajemnić.

Osiadłszy stale w Warszawie w r. 1840, posiadał już bardzo nie wiele zasobów materialnych, o zmianie jednak stopy życia nie myślał nigdy. To go też głównie popchnęło do literatury. Ramotki jego uzyskawszy od razu bardzo przychylne przyjęcie, zapewniły mu pewien dochód z pióra, co na owe czasy było rzeczą niesłychaną prawie. A zresztą pomiędzy

wielbicielami talentu, zyskał wielu przyjaciół i o i mu dopomagali według możliwości.

Ożeniony z młodu z Pauliną z Lauczów z Poznńskiego, nie miał szczęścia doczekania się potomstwa z tego związku. Żona jego, dziś jeszcze żyjąca (mieszka w Poznaniu) i ciesząca się zasłużonym w piśmiennictwie naszym uznaniem, była mu w życiu pomocą, radą, osłoda, pociechą. Kochał ją bardzo nawzajem kochany, korzystał z jej doświadczenia, i praktyczniejszego aniżeli sam je posiadał zapatrywania się na świat i na jego sprawy. Jój także głównie był winien że w interesach jego domowych choć trochę ładu panowało.

Jak powiedzieliśmy, stosunków miał bardzo wiele, a gościnny z natury rad był wielce tym którzy go odwiedzali. Lubił przyjmować, nie pytając się zwykle czy możność starczy na takie nadetatowe wydatki. Wydatków tych nie potrafił nigdy zrównoważyć z dochodami, nie oglądając się skąd i jak, a pozostawiając zonie kłopoty gospodarstwa domowego. „Ona sobie da tam rady mówił, boć ta kobieta ma głowę nie lada.“

Miał słuszność ale do pewnego punktu tylko, a Bóg sam wie ile takie jego postępowanie sprawiało nieraz kłopotów pani Wilkońskiej.

Ta nieogłędność stawiała go nieraz w trudnem położeniu. Dowodem tego liczne listy jakie po nim pozostały, listy jaśniejące dowcipem pomimo kłopotów jakie ujawniają. W roku np. 1844 pisał do ówczesnego redaktora Biblioteki Warszawskiej K. W. Woj-

cickiego z którym go łączyły węzły ścisłej przyjaźni.

„Gdyby najszanowniejsi, najświetniejsi, najdumniejsi, członkowie materializmu Biblioteki Warszawskiej, uczuciem pojęć biedy literackiej powodowani a sprawiedliwością wyobrażeń rządzeni, rękojmię mowy mojej za wyraz prawdy przyjąć raczyli, a W. Pan Dobrodziej przedmiot w położeniu istotnej rzeczywistości przedstawił, prawa do wątpienia nie mam, iż moglibyście panowie ze wspólnej skarbnicy, uprzędając czas, wypłacić mi na przyszłe moje prace złp. 300, bez których zginę niedoczekawszy wielkannocnego święcenia, a pogrzebiony humorysta będzie wam zawsze czasowych mamideł leniwego sumienia wyrzutem, żeście go marną garstką srebra na ziemi nie przytrzymali.

Jak świat światem najstarsi ludzie nie pamiętają, ażeby Au. Wi. w podartem chodził obowiązu, a przecież niestety! dzień dzisiejszy przekonał mnie, że bucięta moje parte wiosenną rozwijania się dążliwością, lunetę w kierunku wielkiego palca u prawicy, a rozstrojenie całości przy lewej pięcie wyraźnie odsłoniły. Potomność nie uwierzyłaby temu, gdybym terazniejszości nie miał za świadki.

Igraszką boleści na krawędź rozpaczy popchnięty, w imieniu św. Łazarza patrona literatury, zaklinam was pałaci, nie zapominajcie o waszym organizmie, bo któż na waszym pogrzebie zadzwoni? Pół łyzy przy pisaniu tego listu wylane w osobnej załączam flaszczece.“

Szczerym jego przyjacielem i pomocą w wielu trudnych razach był znany dobrze Warszawie w owe czasy hr. Leon Łubieński ówczesny członek Biblioteki Warszawskiej. On też posiadał całe archiwum listów, które Wilkoński pisał do niego w różnych okolicznościach.

Pewnego razu Wilkoński przyciśnięty nagłą potrzebą zgłosił się do hrabięgo Ł\*\* o pożyczanie tysiąca złotych. Nie zawsze jest się przy pieniądzach, więc też i hrabia Leon którego serce i ręka były stale dla przyjaciela otwarte, tym razem nie był w możności uczynić zadość jego żądaniu.

— Słuchajno, rzekł; chętnie bym ci dał tysiąc złotych, ale dalibóg nie mam na teraz w domu téj kwoty. Służyć ci będę skoro tylko znajdę się przy pieniądzach. Niech ci się więc na teraz zdaje, że masz w długi 1000 złp. u mnie i płacę ci od nich z góry 10% czyli złp. sto. Masz oto te pieniądze i niech cię tam Deus sekunduje.

— Wiesz co Leonku rzekł Wilkoński, nie spodziewałem się tego po tobie.

— Kiedy ci mówiłem już że obecnie u mnie chuda fara. Mam zaledwie trzysta złp. w domu.

— Bardzo to dobrze, ale pomyśl sobie. Ty hrabia Leon, człowiek dzielny i dowcipny, szczerzy protektor literatury, płacisz lada lichwiarzowi który przyjdzie tobie pieniędzy pożyczyć 20%, a mnie, chirurga filozofii, kawalera krzyża naturalnego i do tego szczerego twojego przyjaciela chcesz zbyć dzie-

siąтым procentem. Nie Leonku, zapłać 20% albo kwita z przyjaźni.

Hrabia Leon uśmiechnął się i wydobywszy z biórka drugie sto złp., dopełnił żądanej stopy procentu.

Ale też za to Wilkoński, jeżeli sam był przy pieńdżach co mu się Bogiem a prawdą bardzo rzadko zdarzało, nie skąpił również ze swojej strony dla przyjaciół. A miał ich bardzo wielu, chociaż nie wszyscy zasługiwali na tę nazwę. W potrzebie dzielił się z nimi ostatnim groszem, nie myśląc nawet często z czego jutro żyć będzie.

Lichwiarze byli dla niego prawdziwą plagą egipską. Dziwnie też zręcznie radzić sobie z nimi umiał. Magenfish, któremu w pierwszej edycji dedykował drugą serję Ramotek, jako orędownikowi literatury dostarczającemu funduszów na ukazanie się w druku użytecznych jej objawów, nie był wcale osobą zmysloną. Tylko inne nazwisko nosił.

Ów Magenfish (zostawimy mu nazwę nadaną przez Wilkońskiego) zyskał od ówczesnych literatów tytuł ich ojca żywiciela. I rzeczywiście specjalnością Magenfisha jako kapitalisty była literatura. Pożyczał wyłącznie prawie tylko literatom, zwykle na ogromny procent, ale też, nieraz długo bardzo musiał czekać na kapitał, a ileż to mu przepadło takich wierzytelności. Bo i jakąż mógł dać pewność literat, żyjący powiększej części z dnia na dzień. Wilkoński robił ciągle z Magenfishem interesa. W każdej potrzebie udawał się do niego i długo bardzo

u usłużnego lichwiarza cieszył się kredytem. Ale przyszła chwila w której z powodu zupełnej niwyplacalności autora Ramotek, stosunki się zachwiały i kredyt zaczął słabnąć.

Magenfisch *zahaczony* już na znaczną stosunkowo summę pieniędzy, przestał dalej pożyczać, owszem dopominał się o swoje.

Kilka gorących odezwo o pożyczkę pieniędzy pozostało bez skutku.

Wilkoński wpadł na dziwny pomysł.

Magenfisch mieszkał na Nalewkach, a jak wiadomo tamtędy zwykle przechodzą pogrzeby.

Upatrzawszy liczny i zamożny pogrzeb, Wilkoński wziął na siebie czarny frak i przyłączył się do orszaku. Chociaż zmarła osoba była zupełnie obcą autorowi Ramotek, obecność jednak jego nie dziwiła nikogo. Wilkoński miał bowiem tylu znajomych, że chyba codzien wypadałoby mu iść za jakim pogrzebem.

Magenfisch który większą część swojego życia spędzał w oknie, spostrzegł autora Ramotek w surowo żalobnym stroju, podążającego za sześciokonnym karanem.

To go zaintrygowało, nazajutrz więc odwiedził Wilkońskiego, upominając się jak zwykle o oddanie pieniędzy a przy tem zapytując czy nie umarł kto z jego rodziny o której wiedział że jest liczną i zamożną.

— A tak odrzekł Wilkoński umarł mi wujaszek.



— Jaki wuj?

— No, wuj, jak zwykli wujowie, obywatel ziemski.

— A czy bogaty?

— Bogaty.

— A dzieciów czy zostawił?

— Nie miał dzieci.

— No to pewnie pan August weźmie sukcesyję po wujaszku, winszuję, bardzo winszuję.

— Jak tam z sukcesyją będzie nie wiadomo nic, bo papiery nieodpieczętowane jeszcze, zawsze jednak coś się okroi.

— A czy pan August nie potrzebuje pieniędzy?

— Naturalnie że potrzebuję, właśnie wybierałem się na miasto za pożyczką.

— Po co to chodzić na miasto do obcych ludzi? Od czego Magenfish? Ja będę dać panu Augustowi.

Chirurg filozofii wzdragał się niby to trochę, jako obrażony na Magenfisha z powodu natrętnego dopominania się o dług dawniejszy, ale wkrótce przystał, napisał kwit i sprawa gładko się ułożyła.

Rzecz jednakże nie mogła długo pozostać w tajemnicy i Magenfish wkrótce dowiedział się że zmarły nie był ani wujem Wilkońskiego, ani nawet w żadnej z nim kolligacji.

Tem więc natrętniej dopominał się o swoje pieniądze.

Wilkoński zbywał żyda rozmaitemi środkami, zawsze się z długu wykrcając.

Prawda i to że Magenfish lichwą i różnemi a contami, wy dobył od Wilkońskiego więcej pieniędzy, aniżeli się może całej summy należało.

Zniecierpliwiony jednak lichwiarz wziął się na sposób.

Wilkoński wyprawiał właśnie swoje imieniny. Śty August był to zawsze uroczysty dzień, życzliwi i przyjaciele zbierali się całą ławą ażeby autorowi Ramotek powinszować.

Magenfish zabrawszy z sobą żonę, matkę żony, sześcioro dzieci i służącą, słowem wszystko co żyło w domu, przybył właśnie o tę porę, i ulokowawszy rodzinę na schodach, sam stanął na warcie w przedpokoju, oświadczając stanowczo, że dopóty się nie oddali dopóki swoich pieniędzy nie odbierze.

Wilkoński próbował go ulagodzić poczęstunkiem, kazał nawet wynieść tortu i wina dla żony i dzieci, ale Magenfish przyjmował wszystko z niczego nie kwitując i nie chciał się ruszyć z miejsca.

— Ja mówię zostanę tutaj, będę nocować, żone i dzieciów będą także nocować, a pieniędzy dostać muszę, bo ja nie mam w domu nic jeść, i chyba wszystkim nam będzie umierać z głodu, kiedy pan August nie chce oddać pieniędzy.

Widząc że z żydem trudna rada, Wilkoński zawołał Pawelka.

Niepamiętamy czy tak się rzeczywiście nazywał ów chłopak długo u Wilkońskiego na usługach będący, ale była to także typowa postać. Kochał swo-

jego pana nad wszystko w świecie i gotów był iść w piekło za nim, a to sympatyczne uczucie, miał wspólne ze wszystkimi którzy z Wilkońskim w najbliższych żyli stosunkach.

Po krótkiej więc konferencji ze swoim panem Pawełek drugimi schodami wybiegł na miasto.

Wkrótce powrócił i stanawszy w przedpokoju zaczął wołać.

— Gore! Gore!

— Jak to ogień zawołał Wilkoński wybiegając, a gdzie?

— Na Nalewkach, właśnie tam straż pojechała

— Na Nalewkach! krzyknął przerażony Magenfish porywając się z miejsca i chowając do kieszeni resztę niedojedzonego tortu, a w którym miejscu?

— Niby wprost Franciszkańskiej ulicy, tak mnie przynajmniej strażacy mówili.

— Ai waj! wrzasnął Magenfish porywając się za głowę, to wedle mojego mieszkanie! Sure! Moszko! Ambramle! kim gschwind! nasz dom się pali!

I na raz wszystko z krzykiem zbiegło po schodach.

Łatwo się domyslić że pożar był zmysleniem i że Magenfish, przybiegłszy zadyszany z rodziną na Nalewki, zastał już wszystko w należytych porządku, ale tak był zmęczony i chory *od wielkiego strachu*, że już nie myślał nawet o powrocie i pozwolił Wilkońskiemu swobodnie przepędzić resztę dnia imienin.

Nie chcemy tu mnożyć rozlicznych opowiadań, do których dowcipy Wilkońskiego i mistyfikacje ja-

kie nieraz wyprawiał (choć zawsze kończyły się w najniewinniejszy sposób) dostarczałyby niewyczerpane źródło. Dodamy tu tylko że Magenfisch zaspokojony z czasem, pozostał i nadal z autorem Ramotek w najlepszych stosunkach.

A może też znaczną część tych mistyfikacji sam on zmyślał na siebie, zabawiając przyjaciół wesołem opowiadaniem, bo też umiał opowiadać wybornie.

Łatwy do zawiązania stosunków, z literatami zwłaszcza od razu stawał na stopie poufałości. Pod tym względem podobny był trochę do francuzkiego Aleksandra Dumasa, który spotkawszy się po drugi raz w życiu z człowiekiem, mówił już do niego mój kochany, a tych z którymi przez pięć minut zdarzyło mu się porozmawiać, nazywał swoimi przyjaciółmi.

Wilkoński również był wrogiem ceremonjału i o ile mógł oswobadzał się od niego w życiu. Literatów traktował jako rodzinę, do młodych zaraz za pierwszym ich widzeniem mówiąc od razu „ty“.

Za to wszyscy młodzi literaci i praktykanci literatury, nazywali Wilkońskiego *wujaszkiem*.

Był to więc wujaszek całego młodego świata literackiego.

Dla osób niewtajemniczonych w rzecz, dziwnem się nieraz zdawało, zwłaszcza przy liczniejszym zebraniu, że Wilkoński tylu na raz ma siostrzeńców i to głównie poświęcających się literaturze.

I zdarzyło się że pewna pani słysząc jak już trze-

ci czy czwarty literat innego nazwiska, nazywa Wilkońskiego wujaszkiem, zapytała go:

— Doprawdy nie wiedziałam że i pan \*\*\* jest pańskim siostrzeńcem.

— Bo widzi pani, odrzekł bez namysłu Wilkoński, moja matka i matka pana \*\*\* to dwie rodzone matki.

— Aha! odrzekła pani przekonana już zupełnie i nie zmiarkowawszy od razu dziwnego sposobu w jaki Wilkoński swoje pokrewieństwo z panem \*\*\* wywiódł.

Nie skończylibyśmy nigdy gdybyśmy chcieli tu przytaczać anegdotyczną historję Wilkońskiego. Dowcip jego miał to do siebie, że uderzał zawsze trafnie i na czasie a rzadko kiedy ranił. W opowiadaniach zwłaszcza był niewyczerpany a opowiadał wybornie. Mniejsza zresztą czy to, co opowiadał stało się rzeczywiście, miało bowiem wszystkie cechy prawdopodobieństwa. Często od razu i z miejsca improwował tak całe ramotki, i gdyby znalazł się jakiś stenograf co by spisywał jego słowa, obfitszy daleko zbiór mógłby z tego urosnąć, aniżeli to co w druku pozostało.

Wilkoński miał także to do siebie że nie używał się jak inni ludzie dowcipni, ale był zawsze prawie nowym nawet dla tych, którzy go bliżej znali. Pochodziło to ztąd głównie, że dowcip jego był przede wszystkim oryginalnym i rodowym. Nie lubiał zapożyczać się od innych. Odpowiedź miał zawsze

na pogotowiu, i co się rzadko nawet ludziom bardzo dowcipnym zdarza, odpowiadał zwykle trafnie. Jak to powiadają zrzynał od razu z nóg i pod tym względem trudna z nim była walka.

W rozmowie dotykał różnych przedmiotów, bez wyboru, nie odmawiał żadnej dyskusji, a przyparty do muru, ratował się dowcipem albo anegdotką która od razu przecinała węzeł gordyjski. Przeciwnik musiał ustępować z placu bo słuchacze byli zawsze po stronie Wilkońskiego.

Był wielce usłużnym i nigdy nie pożałował własnego trudu dla tych nawet z którymi go dalsze łączyły stosunki.

Przyjaciół swoich bronił zawsze i w każdym razie, dowodem tego wypadek który miał w młodości i który nawet przeważnie wpłynął na dalszy przebieg jego życia:

„Bawiąc jeszcze w Poznaniu (pisze K. Wł. Wojcicki) ujawszy się za swojego przyjaciela T. Koszutskiego obrażonego przez oficera pruskiego, wyzwał tego ostatniego i ciężko ranił. Było to w r. 1828. Ta odwaga i zimna krew, którą Wilkoński okazał w tym pojedynku nieopuściła go później i na polu bitwy dał jój niezaprzeczone dowody i kilka ran otrzymał.

Wytoczono mu proces za ten pojedynek; proces ten przewlekł się do 1832 r. Po doznaniu wielu przygód w tym przeciągu czasu, które oddzielny ustęp

w życiu Wilkońskiego stanowią, powrócił on szczęśliwie w rodzinne strony.“

A i później zdarzało się że zastawiając się za innych na ciężkie nieraz narażał się przejsia.

Powiedzieliśmy już że Wilkoński narażał sobie wielu ludzi, z tych mianowicie, którzy w postaciach przedstawionych w ramotkach upatrywali podobieństwo albo do siebie albo do osób blisko ich dotyczących.

I dzisiaj urazy tego rodzaju zdarzają się dość często, a wówczas jeszcze publiczność nasza była mniej niż dzisiaj przyzwyczajoną do *drukowanego*.

Wilkoński zwykł był mawiać:

— Stań kochanie na rynku, kiedy mrowią się ludzie, albo w pierwszym lepszym miejscu publicznem i ozwij się głośno „cymbał“, to dwudziestu na raz się odwróci i zapytają się dla czego im ubliżasz.

A mógł to śmiało mówić, takich bowiem nieuzasadnionych uraz i nieprzyjaźni doświadczył nie mało w życiu.

Mniejsza zresztą o tych którzy stawali w żywe oczy z wymówkami i gniewem, Wilkoński bowiem albo w żart wszystko obracał, albo też kiedy rzeczy szły już bardzo na serio, stawiał się ostro, nie ustępując nigdy.

Ale pokątna zawiść i zaoczne oszczerstwo nie mało mu złego wyrządziły.

Ludźmi jesteście nikt więc z nas od błędów nie

jest wolnym, ale Wilkoński za lekkie stosunkowo swoje błędy musiał bardzo ciężko odpokutować w życiu.

A cierpiał także niewinnie i za innych.

Po pięciu latach ciągłego współpracownictwa w bibliotece Warszawskiej, a były to lata najbardziej kwitnące w zawodzie jego literackim, Wilkoński pomyślał o założeniu pisma zbiorowego sam na swoją rękę i nadał mu nazwę: „Dzwon literacki.“

Do współpracownictwa w tym dziele zaprosił głównie, młodych literatów, a pismo od razu zyskało rozgłos i licznych jak na owe czasy prenumeratorów.

Po wydaniu czterech tomów Dzwonu Literackiego które ukończył w r. 1847. Wilkoński zapowiedział drugi oddział z którego tylko tom pierwszy wyszedł z druku, nieprzewidziane bowiem wypadki wytrąciły na dość długi czas pióro z ręki autora ramotek.

W r. 1850 hr. Henryk Rzewuski, rozgłośniej już wówczas sławy pisarz, przyjechawszy do Warszawy pomyślał o wydaniu pisma codziennego. Do współpracownictwa wraz z kilku innymi literatami zaprosił i Augusta Wilkońskiego.

Gazeta owa p. t. Dziennik Warszawski, ukazała się d. 1 Kwietnia 1851 r. i w pierwszych numerach Wilkoński zaczął drukować w feljetonie nową Ramotkę p. t. Tulipcia wychowanica panny Chourgotte.

Nie długo trwało współpracownictwo naszego humorysty do Dziennika Warszawskiego, po kilku bowiem miesiącach musiał wyjechać z Warszawy, gdzie



przez 11 lat pobytu zyskawszy rozgłos i imię, zawiązał liczne stosunki. Z wielką więc przykrością opuszczał nasze miasto udając się w rodzinne strony, więcej już obce dla siebie, z przykrością tem większą że trapiło go złe przecucie.

Już i tak od pewnego czasu przygnębiony rozmaitego rodzaju zmartwieniami i troskami Wilkoński utracił wiele na humorze, a nawet zdrowie jego znacznie szwankować zaczęło.

Przecucie o którym wspominaliśmy miało się niestety sprawdzić wkrótce, pomimo bowiem przedsięwziętej kuracji, Wilkoński przeniósł się do wieczności d. 4. Lutego 1852 r., w sześć czy siedm miesięcy po opuszczeniu Warszawy, w 47 roku życia.

Pochowany we wsi Siekierkach o 1½ mili od Poznania przy kościele Śtój Jadwigi, w grobie rodziny swojej żony.

\* \* \*

Rzeczywista działalność literacka Wilkońskiego, trwała lat sześć od r. 1841 do 1847.

Jest to dość krótki przeciąg czasu a przez te sześć lat jednak nazwisko Wilkońskiego stało się najpopularniejszym prawie z pisarzów tutejszych.

Tak doraźne i silne wydobycie się na jaw nie stało się bez powodu. Wilkoński był jedynym w swoim rodzaju. Publiczność odgadła w nim humorystę z ciałą i krwi swojej i ceniła jako takiego.

Prace Wilkońskiego nie prędko przebrzmiały w naszej literaturze. Pozostaną one długo cenione i po-

czytne, nie tyle z powodu doniosłości swojej społecznej, ile dla formy czysto rodowej która daje dokładny obraz części obyczajów epoki w której żył nasz humorysta.

A epokę tę możnaby porównać do monety zatartej na obu stronach. Znikł powoli dawny stempel tradycyjnej obyczajowości, nowego zaś jeszcze nie zdążono wybić. Społeczeństwo ogarnęło uspienie jakieś, sprowadzając je nieznacznie z torów dawniej już utartych na nieznanie bezdroża. Młodzież wielkomięjska gnusiała w lenistwie i bezmyśli, starsi a głównie obywatelstwo wiejskie w którego opisie Wilkoński przed innemi się lubował, przywiązani do formy tradycji, ducha jój zatarcili.

Stan ten Wilkoński odgadł więcęć może instynktownie anizeli z refleksji wypływającej z gruntownego zapatrywania się na ludzi i rzeczy.

Przedewszystkiem stosunek panów do włościan wydał mu się anormalnym i złym. Bił więc na to z całych sił. Czytano chętnie jego ramotki, śmiano się z humorystycznych po większej części argumentów w nich zamieszczonych, ale przechodziło to wszystko mniej więcęć bezowocnie.

Wilkoński wypowiedział również zaciętą wojnę, przesadzonemu idealizmowi, szerzącemu się pomiędzy pewną częścią mających pretensję do wykształcenia. Pod tym jednak względem przesadzał sobie znacznie wpływ abstrakcyjnej filozofji niemieckiej na nas, a nie przeczuwał nawet nagłego zwrotu który w krót-

kim stosunkowo po jego śmierci, czasie miał nastąpić.

Wskazując jednak złe, albo to co podług niego złem było, nie umiał Wilkoński sformułować wyraźnie środków mogących dopomóc społeczeństwu do wyjścia z tego ujemnego stanu. „Czytajcie, wołał i uczcie się“ ale to słowa tylko, żeby czytać i uczyć się, trzeba mieć wybór przed sobą, trzeba umieć uczynić ten wybór. A przytem prawdziwa praktyka życia inne jeszcze wskazywała drogi na które późniejsi dopiero trafiać zaczęli. Konieczność rozwoju i dobrobytu społecznego głębiej sięgała. Nie objawów samych śledzić trzeba było, ale przyczyn które je powodowały. Leżały one w głębi ducha w rozmarzeniu go, w mumifikowaniu, w beczynności. Należało wiele wyobrażeń zmodyfikować, wiele przerobić z gruntu, a na to najdoniośniejsze chociażby wołania wystarczyć nie mogły. Trzeba było ciężkiej i bolesnej próby któraby długie i dotkliwe objawy pozostawiła po sobie w społeczeństwie.

\* \* \*

Jeszcze jedno słowo.

Przystępując do czytania Ramotek Wilkońskiego, trzeba się koniecznie obwarować przeciwko wrażeniu, jakiemu mogliby uleż ci zwłaszcza, którym po pierwszy raz zdarza się wziąć do ręki te obrazki humorystyczne z życia miejscowego.

Niejednokrotnie w tém czytaniu zdarzy im się

może napotkać obrazy już znane, wyrażenia już zużyte, dowcipy już przebrzmiałe.

I pomimowolnie budzące się reminiscencye naprowadzą ich może na mylne przekonanie, że chirurg filozofii często ze starego krajał.

Otóż przeciwko temu przekonaniu właśnie pragniemy obwarować czytelników.

Wilkoński jak powiedzieliśmy już, posiadał prawdziwy dowcip, rzetelny zmysł spostrzegawczy, a oryginalności starczyło mu o tyle, że się do żadnych zapożyczeń udawać nie potrzebował.

Wszystko niemal co wyszło z pod jego pióra było nowe i oryginalne. Nie naśladował nikogo, bo do naśladownictwa trzeba się wczytywać w te lub owe wzory, a nie leżało to ani w usposobieniu ani w chęci autora Ramotek; on czerpał tylko z żywej księgi, jaką Bóg rozłożył przed oczyma tych, którzy na niej czytać umieją.

Ale od czasu, w którym Wilkoński pisał swoje Ramotki, upłynęło już ćwierć wieku z górą.

Epoka ta niezbyt świetna dla naszego piśmiennictwa w ogóle, obfitowała jednak w wielką moc piszących *minoris momenti*, którzy nie czując w sobie dosyć talentu i oryginalności dla zabłyśnięcia własnem światłem, zapożyczali się od poprzedników, szukając w ich dziełach stosownej dla siebie strawy, jak ów lew biblijny *quaerens quem devoret*.

Pomiędzy tymi piszącymi było kilku tak zwanych humorystów, a ci naturalnie nie żalowali sobie krajać

na prawo i na lewo z tak obfitego materiału, jakiego im Wilkoński dostarczał.

I puszczali w świat te wszystkie nicowania, opatrząc je stemplem oryginalności.

Stało się więc z Wilkońskim, jak się dzieje z wieloma, że go rozrywano po kawałku, ten bowiem przyswajał sobie coś z jego treści, ów z formy.

Nie myślimy tu naturalnie ani śledzić ani udawadniać tych licznych grabieży. Zaznaczamy je tylko żeby ostrzedz czytelników od wszelkiej niesprawiedliwości, jakaby się mimowolnie w ich sąd o Ramotkach wcisnąć mogła. Zresztą kto samą genezę myśli pilnie śledzić będzie umiał, ten zawsze szczerzy metal od blichtru odróżni. Owe kopijki galwanoplastyczne, o których mówiliśmy, zawsze będzie czuć fabrykę, podczas kiedy sam model pozostanie w całej czystości pierwotnych swych kształtów.

A teraz wybaczcie nam czytelnicy jeżeli tak niedokładnie potrafiśmy skreślić obraz działalności jednego z najroźgłośniejszych autorów ostatnich czasów. Działalność ta tak ściśle jest złączona z ówczesnym stanem społecznym tak dokładnie wpływa z niego, że ażeby dać wierne studium prac Wilkońskiego i wpływu jaki wywierał, trzeba by chyba skreślić dokładny obraz epoki w której żył, a to przechodzi o wiele zakres naszej pracy.

Bardzo pokrótce również dotykaliśmy właściwego zyciorysu autora Ramotek. Jest to rzeczą bijografa. My tylko pragnęliśmy przygotować poniekąd dzisiaj-

sze pokolenie czytelników, do chętnego odczytania utworów, w których się ich ojce lubowali, w których i oni sami znajdują nieraz dla siebie jaką naukę albo wskazówkę.

Akta zasług narodowych w krainie ducha i czynu porównał ktoś do wielkich marmurowych tablic, na których złotymi literami wpisują się nazwiska tych, którzy w czémkolwiek przyczynili się do wieńca chwały narodowej, do rozwoju dobra społecznego.

Pokolenia idą po sobie, a różnych nazwisk ciągle przybywa na marmurowych tablicach. Świecą one większym lub mniejszym blaskiem, stosownie do zasługi.

Ale przychodzi pora, w której tablice są już zapelnione, tak że nowo przybyli nie znajdują miejsca dla siebie. Rozglądają się więc, czy gdzie które nazwisko nie zatarło się już, i na tém osieroconém miejscu wypisują własne miano.

Dla tego to z czasem nowi ludzie zastępują dawniejszych, w pamięci i uznaniu pokoleń, tylko prawdziwi geniusze jaśnieją ciągle niespożytym blaskiem.

W świetnej téj falandze ludzi talentu i zasługi Wilkoński zajął przebojem miejsce, jakie mu się z prawa należy. I chociaż nie śmiemy twierdzić, ażeby nazwisko jego wpisane w to archiwum narodowe wiekową wryło się trwałością, to wszakże mniemać się godzi, że nie mało jeszcze upłynie czasu, zanim nowy przybysz zatrze to miano prawdziwego polskiego humorysty, żeby na niem wypisać swoje nazwę.

W uśmiechu każdym zapałem siebie,  
Zapałem gorycz, com ją wciąż pił,  
— Raz tylko jeden na mojem niebie  
Promyk radości jasno się lśnił.





## PRZEDMOWA.

---

— Co jest przedmowa? ....

— Jest to obmowa czy obmówienie a raczej omówienie dzieła.

Gdy autor nie ufa, aby bez pomocy rzecz zrozumiano, natenczas przed rozpoczęciem dzieła objaśnia, przysposabia niedołęznego czytelnika, czyli omawia dzieło swoje — gdy twierdzi, że jego poprzednicy w tymże samym przedmiocie pisali niedokładnie i mylnie, a zapewnia, że on pisał dokładnie i bez pomyłki, także dzieło swoje omawia; — gdyż znów poczuwa się do niedokładności a uniewinnia się ze spodziewanych zarzutów, również dzieło omawia.

Taka gadanina jest po największej części bezużyteczna a zawsze nudna, — przewlekłością zaś staje się niecierpliwą i przypomina koncertanta, który na scenie stroi instrument. Ale nierównie nudniejszą jest sprawa, gdy autor do omówienia dzieła dołączy wprost pochwalne a bezpośrednie omówienie swojej osoby, n. p.:

— Że ogromne pokonywał przeszkody; że nie zaspokojenie miłości własnej, ale wyłącznie dobro ogółu było jego jedynym celem;

— albo że nigdyby pracy swojej światu nie ogłaszał, lecz gwałtowne nalegania przyjaciół zmusiły go do wynurzenia się z ukrycia;

— albo gdy oświadcza, że mając nieco czasu i nieco usposobienia, wolne od obowiązków chwilę poświęca, niby to z wielkiej łaski, na użytek powszechny;

— albo gdy czyni najczulsze (a najpocieszniesze) pożegnanie z najmilszą, z najukochańszą książeczkę swoją, którą nazywa swoim najdroższym dziecięciem, skarbem, klejnotkiem i t. d...

Cóż więc rzeczywiście jest przedmowa?....

— Jest to przysionek książki, w którym autor jeży czuprynę, (a jeżeli nie ma czupryny?, — w takim przypadku gładzi łysinę) poprawia kołnierzyki, ogląda swoje ubranie; puszy się i nadyma, albo łasi się i pokorzy przed wystąpieniem na scenę publicznego objawu.

Mamże więc pisać do moich Ramotek przedmowę?...

— Obejdzie się najzupełniej. — Ależ ja w ogłoszeniach na przedpłatę oddawna przyrzekłem przedmowę, a nawet walną przedmowę. — Rób jak Ci się podoba. — Już wiem co począć, aby był wilk syty i koza cała, — to com napisał o przedmowach, niechaj posłuży za przedmowę, a że krótka, tém samém jest walna, — czego nikt z rozsądnych literatów nie zaprzeczy.

## Głos pierwszy do Czytelników.

---

O wy duszy mojej najmiłsze perełki! Czytelnicy! wy którzy mnie w życiu autora od największej uwalniacie boleści, pozwólcie przede wszystkim, niechaj was uściskam i ucałuję, niechaj się z Wami popieszczę, niechaj Was do serca mojego przytulę, niechaj Was łzami przywiązania i miłości zroszę, pokropię i obleję.

1) Przybliż się do mnie łysy filozofie, — bliżej, — bliżej — daję Ci błogosławieństwo na drogę badań: przeczytaj z uwagą 6 tomów moich Ramot i Ramotek, a niezawodnie schwycisz wiedzę, widzę i — um.

2) Przybliż się ogorzały rolniku, klękniij i odbierz moje błogosławieństwo, a pojdziesz, że jak jesteś pierwszym ogniwem życia na-

rodu, tak starać się winienes, abys nie był ostatniem w zyciu, umysłowém; niechaj Cię nie sama Ceres, ale i Minerwa promieniem łaski swojej ogrzewa; — bądź reprezentantem uczuć najszlachetniejszych, bądź filarem cnót narodowych, bo jesteś sercem narodu.

3) Przybliź się do mnie osiwiwały prawniku! daję Ci błogosławieństwo na drogę sprawiedliwości, — niechaj Cię Jehowa strzeże od matactwa i krętaniny, czytaj moje Ramoty i Ramotki, znajdziesz homeopatyczne ale niesfałszowane krople prawdy.

4) Chodźcie tutaj przemysłowcy — odpocznijcie po waszych uczciwych zabiegach i niecnych szachrajstwach, klękniście na grochu i na tatarce, bo dużo jest grzechu w zyciu waszém. Chuć piéniężna obsiadła serca wasze, zanieczyściła umysł, ztąd największą część swoich uczuć daliście na lichwę złota. W V tomie moich Ramotek sprawię wam łaźnię, tom I i II przeczytajcie dla rozrywki.

5) Płci piękna! proszę, bardzo proszę — niechaj Aścki będą łaskawe bliżej przystąpić. Oczki na dół, usteczka na sznurek,

rączki na krzyż. O! tak pięknie. Cóż Aścki chcą?... romansu?... he?... W I i w II to-mie bardzo mało romansu, w następnych będzie więcej. Czytajcie tymczasem co jest, nie zapomniałem i ó was gołąbki.

6) Kawalerowie! marsz! marsz!... Stój! równaj się, oczy na prawo, nosy na dół... uszy do góry!

Mości balbierzu do apellu.

— Lala?! — jest.

Wiercipięta?! — jest.

Lampart?! — jest.

Dandy?! — jest.

Pływacz vel kłamca?! — jest.

Opryszek?! — jest.

Lew?! — jest.

Długouchy?! — jest.

Nie brakuje żadnego, idźcie na kwatery i czytajcie moje Ramoty i Ramotki.

Dzieci, po cóż się ciśniecie?... w cieleta nigdy nie orzą, — nie dla was Ramoty, — ruszajcie do grammatyki.

## Głos drugi do Czytelników.

---

Praca naukowa stała się w XIX stuleciu najznakomitszym, najpierwszym zaszczytem człowieka, ale wtenczas tylko, gdy się objawia czynem, gdy ją oddajemy w życie narodu; — to zaś, co Łacinnicy wyrzekli: „*et voluisse sat est*“ żadnej dzisiaj nie ma wartości, — i chociażby najcnotliwsza chęć, gdy w sercu jest zamknięta, chociażby najwznioślejsze pomysły, gdy je w milczącym mózgu więzimy — mówiąc utartym wyrazem — psu na budę się nie zdadzą.

Tą prawdą przenikniony zamierzyłem pisać, — ale co pisać?... i jak pisać?... trafiłem na miejscowy sęk, szczególniejszej twarłości. Złożywszy naradę z mém sercem i z mym rozumem, postanowiłem pisać to,

co czuję, i pisać tak, jak umiem. Co do pierwszego — jestem w najzupełniejszej zgodzie z mojem sumieniem; co do drugiego, zaklinam się na Minerwę, że chciałem pisać rozumnie; ale cóż, kiedy umysł mój zbyt często zmuszonym był odrywać się do walki zewnętrznej, a w takich przypadkach na sposobną chwilę czychające głupstwo, skwapliwie zakradło się do mojego pióra, i tak się starannie ukryło, że go dotychczas wysledzić nie zdołał. Otóż więc, Czytelnicy, gdy głupstwo w mych pismach napotkacie, proszę was i błagam, — bez złości, bez gniewu, niech każdy w swoim egzemplarzu głupstwo ołówkiem wykrésli, a będzie miał egzemplarz bez głupstwa, i może go powtórnie z niezmaconym pożytkiem odczytać. Czy zaś wszystko jest głupstwem, co się każdemu z was głupstwem wydawać będzie, to znów inne pytanie, na które ja odpowiadać nie myślę, bobym Was może obraził, a to byłoby niewdzięcznie. Niemniej przeto objawię, co ja w książce głupstwem być sędzę:

a) gdy ogłaszane myśli są o tyle z prawdą niezgodne, że stają się zasadom moralności przeciwne;

b) gdy autora nikt zrozumieć nie może;

c) gdy piszący obrał przedmiot za granicą swoich wiadomości;

d) gdy obrazowanie jest sprośnym;

e) gdy ramotka jest bez żadnego celu.

Tych to zarzutów unikać pragnęłam, mniej bacząc na inne. Otóż i koniec drugiego głosu do Czytelników.

---



## DO PANÓW KRYTYKÓW.

---

Jest bardzo wielu u nas ludzi, którzy nie pojmują żadnych dobrodziejstw krytyki, którzy w krytyce nie widzą nic więcej jak nałogową złośliwość, którzy się brzydzą i krytyką i krytykami; — są to Osły przez wielkie O. — Podług mojego zdania, krytyka jest słońcem, pod którego promieniami podle zielsko usycha, a użyteczne ziarno najpomysłniej wzrasta: jest najpierwszym warunkiem umysłowego życia, a w swoich skutkach zbawieniem człowieka. — Nie szukając zbyt odległej starożytności, popatrzmy się na te wieki średnie, dzisiaj jeszcze przez zardzewiałe głowy tak bardzo chwalone, — ileż tam przesądów, nikczemnych śmieszności i zbrodni istniało?.... i któż ten wielki gmach podkopał?.... kto zwołał tysiące rąk do obalenia potwornego kolosu?... zaprawdę była to krytyka. — To wszystko czém się w XIX stuleciu sprawiedliwie chlubiśmy, jest dziełem krytyki. Należy się więc najgłębsze uszanowanie krytyce. Odmienną nicco jest sprawa krytyków, bo pomiędzy kapłanów prawdy namięszało się mnóstwo niepoświęconych laików, co fuszerską praktyką kalają boskie posłannic-

two jenijalnych mężów. Wpóśród nas niestety! z latarnią szukaj krytyka zasługującego na to wielkie imię, — natomiast partaczy frymarczących słowami nagany lub słodkiej jak miód pochwały, znajdziesz na tuziny, na kopy, na setki, — i o mało że nie na tysiące; — zarozumiałych marzycieli jest pełno, rozumnych myślicieli nie wielu; — sprawiedliwych sędziów, na palcach policzysz, i jeszcze ci kilka próżnych zostanie; szarlatanów — nie obdzieliłbyś siercią z największego wielbłąda.

Dotąd mówiłem w ogólności, a teraz mówić będę w szczególności o tak nazwanej krytyce literackiej, i o tak nazwanych krytykach literackich.

Krytykę literacką dzielę na dwa główne rodzaje:

na podmiotową.

i na przedmiotową.

*Krytyka podmiotowa*, a takięj jest najwięcej, traktuje o formie, o akcyi, o tle, o kolorycie, o romantyczności, o klassycyzmie, o węzłach, o intrydze i o efekcie.

*Krytyka przedmiotowa*, a takięj jest bardzo mało, bada ducha, śledzi logikę i szuka celu książki.

Krytycy podmiotowi, którzy wzięli za hasło bajac jak *Piekarski na mękach*, dadzą się tylko uszykować albo alfabetycznie, albo podług starszeństwa wieku, lub téż podług prowincyi, — gdyż co do pojęcia, od r. 1832 żaden żadnego nie prześcignął. Aby się nie przestraszyć zbyt długim szeregiem, policzmy ich na prowincye. Od którychże więc za-

cząć? ... Jakos̄ Małopolska, Litwa i Żmudz̄ razem się cisną pod pióro, Ukraina i Wołyń na całe gardło wrzeszczą o pierwszeństwo; Galicya i Kraków, niechoą być ostatniemi, a moi Wielkopolanie także się sierdzą—trudna rada! nie wiem jak sobie począć?...

No, wiecie co? już was ani podług prowincyi, ani podług jeneralnego alfabetu, ani podług starszeństwa wieku wymieniać nie będę; *lecz rączka rączkę myje*, wy także Piekarscy nie bajajcie nic złego o moich Ramotach i Ramotkach. Bez waszój pomocy wiem dobrze, że w moich Ramotkach wiele podmiotowych bąków nastrzelałem, ale *sza*, ani *mrumru* o tém; — chcecie koniecznie bajać, to bajcie pochwały, tylko nie skąpo, po bratersku, całą gębą, pełném piórem; a jeśli się który z przedmiotowych krytyków z naganą odezwie, czego się w najlepszój wierze niespodziewam, w takim nadzwyczajnym przypadku, krzyknijcie razem „to zazdrość! to intryga! to potwarz: Au: Wi: był jeniuszem! jest jeniuszem; i będzie jeniuszem! Au: Wi: jest oryginalnym, wielkim, najznakomitszym, niezrównanym, *ludowym* pisarzem!“ Możecie nawet dodać, „*nieśmiertelnym*“ Tak! tak! krzyccie, że jestem nieśmiertelny!... Ach Boże! co to za rozkosz być jeniuszem nieśmiertelnym!... Wicież wy, co to jest jeniusz nieśmiertelny?!... hę?... nie wiecie?... ja także nie wiem, ale mniejsza o to, czy wiemy, czy nie wiemy, dosyć że tych przedmiotowców zarzucicie czapkami, — hul — górą *Piekarscy*.

## Do Najszanowniejszych Prenumeratorów.

Ile razy zdarzyło mi się napotkać spis prenumeratorów na czele, lub co gorsza na plecach dzieła, zawsze byłem ciekawy dowiedzieć się, jaki cel w drukowaniu tego spisu uczony autor założył?... bo przypuścić nie mogłem, aby to czynił dla zwiększenia objętości materyjalnej - tylko. — Jeżeli przez ogłoszenie pięciozłotowych nazwisk z imionami, z tytułami, zamierzył swoim niejako chlebobdawcom wdzięczność okazać, należało coś do nich przemówić — np. „O! wy! którzy przez namowy, przez nalegania, przez stosunki pokrewieństwa, powinowactwa, przyjaźni i znajomości, daliście po 5 lub po 10 złotych na papier i druk mojego dzieła, niechaj wam w tém doczesném i w przyszłém życiu, — *„rajskie świece świecą“* — albo: „O wy! posrebrzane filary kwestującej literatury, bądźcie łaskawi przyjąć drukowany hołd rozczulonego autora“ i t. p. Ale zacząć od Adama, a skończyć na Zenonie, nie rzekłszy do nich

ani słowa, w tém zaprawdę żadnego *sensu* nie znajduję.

Nadto rozumiem, że każde dzieło drukuje się albo celem wyłonienia myśli filozoficznych, albo dla objawu uczuć sentymentalnych, albo na melancholiczno-praktyczny użytek, lub téż nakoniec dla rozweselenia skłopotanych animuszów, a nigdy dla zaznajamiania z literami nazwisk osób, czytelnikowi po największej części zupełnie obojętnych. — Cóż dopiero za przysługa, gdy umieszczą nazwiska, na jakie ja przed 18 laty w spisie prenumeratorów na jakąś okropną trajedię nieszczęśliwie napotkałem, to jest na jakiegoś pana Witalisa Rozszczęszczypczykowskiego A. E. R. G. G. S. K. M. Z. P. R. i na jakąś Rulikuligulipulikowikiewiczównę sędziankę. Bóg łaskaw, że mi się przy pierwszym nazwisku języka zębami nie skaleczył, a przy drugim nie przewrócił, a com sobie głowy nałamał nad owymi pojedyńczymi literami „A. E. R. G. G. S. K. M. Z. P. R.“, aby się dowiedzieć, jaką to godność pan Witalis Rozszczęszczypczykowski piastuje? ... Byłem wówczas młody, a więc ciekawy, pomnę że trzy noce nie spałem, jednakże do dziś dnia nie wiem, co ten alfabet znaczy. W innym zaś spisie prenumeratorów, czytając:

Myks b. urzędnik komory pogranicznej.

Buch b. kapitan artylleryi.

Psik, artysta dramatyczny.

mniemałem, że autor ze mnie żartuje, ztąd obrażony, dzieło jego rzuciłem na stronę.

Najszanowniejsi prenumeratorowie Ramot i Ramotek Literackich, — ani nazwisk, ani imion, ani tytułów waszych nie wymienię, bo sędzę że z wyższych pobudek pospieszyliście z przedpłatą na druk oryginalnie po polsku napisanych książeczek — z pobudek szlachetniejszych, aniżeli jest chęć widzenia swojego nazwiska gołosłownego, drukowanego na bibule, zabierającego bezpożytecznie miejsce wyrazom myśli, wyrazom uczuć, spostrzeżeń, nauki lub rozrywki. *Z uczucia obowiązku* wspierać piśmiennictwo krajowe, bez chęci błyszczenia pieniężném nazwiskiem, jak było zawsze, chociaż i w najszczuplejszej możności zakresie, sprawą poczciwą tak obecnie jest najpierwszą, — dla tego oddaję wam cześć i przyrzekam, że w późniejszych moich pracach będę pilniejszym, a więc użyteczniejszym.

**CIENIOM TEGO MĘŻA,  
KTÓRY ATRAMENT VEL INKAUST WYNALAZŁ,  
PIERWSZY ODDZIAŁ MOICH RAMOTEK**

w dowód wdzięcznego uwielbienia poświęcam

AU. Wl.





# WSPOMNIENIE SZKÓLNE.

3\*



## WSPOMNIENIE SZKÓLNE.

---

„Co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole!“ — Nie wiem, czy dzieci i teraz podobnej trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa w wielkiem mieliśmy poszanowaniu owe głębokiej myśli wyrazy, i zaprawdę tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem — przed dwudziestu laty, za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawiał.

Byłem dopiero w klasie trzeciej, oddziale pierwszym, gdy przybył z Gietyngi, (nie pamiętam czy doktor filozofii czy nie doktor — mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi professorami) pan Berendt, i objął katedrę literatury niemieckiej w gimnazyum poznańskim. Mąż ten pełen nauki i nieco zgarbionej postaci nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru, a u kamaszy sięgających po kolana, było na każdej nodze 7 dużych stalowych guzików

mówię wyraźnie siedm, bom je nie raz rachował  
przemysłiwając, jakimby to sposobem kilka obe-  
rznąć; — zdawało mi się, że taka sprawka mó-  
głaby sławę moję figlarną na zawsze utrwalić:

„O! ty co bujasz wesoło po jasnój Niebios przestrzeni,  
A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni,  
Serce cię moje chwyciło,  
Wysoka chwało!“

Co za tryumf!... gdybym był zdołał chociaż  
jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawi-  
stnych nam kamaszów odłączyć. — Już nawet  
skradałem się raz ku katedrze, ale obejrzał się  
czujnego ucha professor, i znikła wielkiego czy-  
nu sposobność.

Lecz wracam do głównego méj powieści ce-  
lu: — siódmego stycznia, nazajutrz po trzech kró-  
lach, przybiegłem rychło do zakrystyi, pragnąc  
służyć do mszy studenckiej, — a lubo nie bar-  
dzom dobrze w *ministranturze* odpowiadał, i tyl-  
ko końcówki: „per Dominum Deum nostrum“  
„sanctae!“ głośno wymawiałem — jednakże na-  
tomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać  
potrafiłem.

Patrzę — aż tu już pięciu kandydatów do te-  
go zaszczytu kłóci się o pierwszeństwo. — Jakoś  
się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej  
biedzie.



Pan Berendt.



— Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargocze? „*die erste Abtheilung der deutschen Literatur*“ „*ruhig!*“ — „*ruhig!*“ — i zawsze „*ruhig!*“ — zupełnie, jak gdyby kto szcztoką po uszach drapał.

— Mój Boże! ksiądz Przybylski jak krzyknął „hajdamaku!“ — na całą godzinę było cicho, i chociaż często dał żelaznych karmelków \*) mi-lój przecież bywało.

— Wiesz co, Kaulfuss to wcale dobrze uczy.

— Ale jaki on też uczony! Kaulfus i Casius należą podobno do najlepszych filologów.

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy — wiesz, ja Buchowskiego tak kocham jak mego własnego ojca.

— Lecz kto z was Berendta rozumie? — zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego

---

\*) Był to przez rektora szkół poznańskich, księdza Przybylskiego, wymierzany rodzaj kary osobliwszej. W klasie czy na ulicy, kiedy chłopca na gorącym swawoli pochwycił uczynku, — zwykł był mawiać: „dostałem świeże lesłowskie z Warszawy karmelki“ i serdecznie kluczem, który zawsze przy sobie nosił, nastukał się po palcach chłopczyka. — Bolało to, pamiętam, bardzo. — Panie świeć nad jego poczciwą duszą! — Miał on ksiądz nader groźną minę — marszczył czoło, jeżeli czuprynę, fukał, dawał karmelki aż czasem łapka spuchła — a przecież my go z całej duszy, z całego serca kochali, i wiedzieliśmy dobrze, za co go kochamy.

języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mówił — „pierwszy oddział literatury niemieckiej poczyna się...”

— Ej gadasz, on nas pierwój powinien nauczyć grammatyki — wokabul — a potóm dopięro rozprawiać o literaturze. — Słuchaj Auguście! zrobmy mu dzisiaj figła; jak on zacznie „ruhig!” to my się odezwijmy „Stille“ tylko tak, aby żadnego nie spostrzegł, i możnaby wywoskować ławki i puścić piszczonego, ty wiesz?...

— Dobrze, dobrze, wiem — masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystyi, tylko poprośmy Walentego.

— „Mój kochany Waleńty dajcie — dajcie — mnie i mnie“ jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystyan dał każdemu z nas po odrobince żółtego wosku.

Poważnie ozwały się organy — miły śpiew choralny rozległ się po świątyni pańskiej, i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga — we farze poznańskiej — siedmset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad Pany, aby im dał zdrowie, naukę — bojaźń Boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, — nauczycielom troski i znoje nagroził. Byłem i ja wpośród modlących się; zapomniałem o Berencie — myśl pozbyła się swawoli — pobożnie



patrzyłem się na obrządek mszy świętej — i dopiero gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio — „czy masz wosk?“ — „mam“ odrzekłem, i żądza pustoty przebiegła żyły moje.

Od 8ej do 9tej był język polski — poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego; słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lubie obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innemi pisarzami, i szybko, mile, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. Goriwy w służbie stary pedel Schal zmianę godzin dzwonkiem ogłosił; wytoczył się poważnie szanowny ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął professor Berendt. — Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich jak dawniej nie mniej, nie więcej jak siedm, — rachuję u lewej — nie dowierzam oczom moim! o radości! — sześć tylko. — Prawił tymczasem pan Berendt o Wielandzie; myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

„Ruhig!“ — „Stille!“ ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

— Was ist das?

Harmonia woskowa zagrała —

— „Du ungezogener Bube!“ — schwycił mnie za kołnierz granatowego spancerka i sil-

nie za drzwi wyrzucił. — Świeże powietrze owiało mnie; — Michałowska, żona stróża szkolnego, roześmiała się mówiąc: „już to znów na pokucie?“ — Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając jak się tam moi koledzy popisują — i kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowała, — ksiądz Antosiewicz, przechadzający się po dziedzińcu do mnie zagadał „A cóż wilczku, wygnali cię z kniei — pewnoś baranka dusił?“ — „Nie, księżo Professorze! jam nic nie robił — i (skrzywiłem twarz moję w grymas płaczu) tylko pan professor Berendt opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem — a wszakże ksiądz professor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem.“ — Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył na rozcierz drzwi klasy, i popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł: „Kopernik był Polakiem — jest to rzeczą dowiedzioną i żadnej nie ulegającą wątpliwości — proszę pana profesora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Gietyndze ale nie u nas...“ i wychodząc drzwi za sobą zatrzaskał. Berendt stał nieporuszony i niemy; — łoskot grzmotu nie jest tak głośnym jak był śmiech i wrzask siedmdziesięciu chłopców! „Aha! sehen Sie Herr Professor! — nie będę marzył na zimnie“ i wyszczerzyłem zęby. — Tu



**Kopernik był Polakiem.**



już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi; ławki trzeszczały, nogi tupały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.

Cóż? — zapytał przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika. — „Książdz Professor ledwie wyszedł — on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem i że się Polacy niesłusznie przyznawają...“ Nie dał mi dokończyć książdz dziekan — trzęsąc się ze złości wnosi mnie za kołnierz napowrót do klasy, i w najwyższym uniesieniu zawołał: — „Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie — a jeżeli nam pozazdrościli...“ „Was wollen Sie damit sagen, Herr College!“ — „Kopernik war ein Pole!“ Wtém ukazał się ówczesny rektor Kaulfus: rzecz się wyjaśniła, — cenzor klasy zdał świadectwo, — pogodzili się przeciwnicy — i gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi czytelnicy, że zamilczę — bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboka myśl tych wyrazów „co się dzieje w szkole, nie powiadaj! choćby cię smażono w smole!“ do niektórych przynajmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę.

Długo — długo po tém zdarzeniu, jeszcze i na uniwersytecie Wrocławskim moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często „czy Kopernik był Polakiem?“

Patrząc tu w Warszawie na pomnik tego wielkiego meża, szybko omijam to miejsce. — Wczoraj przy ulicy Senatorskiej spytał mnie jeden z dawnych znajomych „czy Kopernik był Polakiem?“ — Łzy zapełniły oczy moje — było to wspomnienie z lat daleko ubiegłych — z lat młodości i szczęścia.

---

**SPOSTRZEŻENIA**  
**NAD MORALNEMI CHOROBIAMI XIX STULECIA.**  
**O KOŁOWACIŹNIE LITERACKIEJ.**





# SPOSTŻEŻENIA

## NAD MORALNEMI CHOROBAMI XIX STULECIA.

### *O kołowaciznie literackiej.*

Kołowacizna, kołowrót, kręcik, (polycephalus racionis nigrae) choroba dzisiaj nadzwyczaj zagęszczona, wedle ścisłych badań przeszła do rodu ludzkiego wprost od owiec.

Kołowacizna owcza (hydrocephalus hydaty-teus) ma swoje siedzibę w jamie czaszkowej; — toż samo i u ludzi w mózgu się zagnieździła. U owiec są 4 główne rodzaje tej słabości: 1) Chora owca zatacza się w rozmaitych kierunkach, chwieje się, ale w górę nos podnosi, i zwaną jest *zeglazem*. 2) Zatacza się w jedną zawsze stronę i w kółko obraca, głowę i kark zwiesza na bok ją wykręcając; — powszechnie nazywaną jest *kręcikiem*. 3) Biegnie szybko naprzód, kłósem, z opuszczoną głową, potyka się i upada; — nazywaną jest *klóśakiem*. 4) Kręci się w lewo i w prawo,

podskóczy i stanie słupkiem w odrętwieniu, które i pół godziny trwać zwykło; — nazywają ją *waryatem*. Ostatni rodzaj jest najniebezpieczniejszy. W ogóle, choroba ta u owiec po większej części niewyleczona, należy do zapalnych; powstaje z niestósownej zmiany karmy, z niezdrowego powietrza w owczarni, z upałów południowych, lub jest spadkową. Zaradcze środki wskazał nam w Weterynaryi Popularnej zasłużony w Agronomii, czcigodny J. N. Kurowski.

Przedmiotem naszych uwag jest kołowacizna literacka; jawi się na wszystkich drogach *wiadomości ludzkich*, a policzyć jej rodzaje przechodzi granice możliwości jednego człowieka. Niosąc na ołtarz spólnego pożytku cząstkowe spostrzeżenia, daleki jestem od tej zarozumiałości, abym sądził, że całość stworzyłem, że doskonałość jest pracy mojej udziałem; — raczej pragnę wywołać zdolniejszych mężów do zastanowienia się nad kołowacizną literacką, bo wszakżeż, gdyby kaźden z mistrzów w swoim oddziale młodemu pokoleniu wyjaśnił przyczynę kołowacizny, i wskazał zaradcze środki, ileż to *żeglarzy, kręcików, kłosa-ków* i (najniebezpieczniejszych) *waryatów* wczesne znalazłoby ocalenie, a świat o ileżby spokojniej oddychał?..

Przed wszystkimi innymi rodzajami koło-

wacizna filozoficzna obecnie najwięcej i najszkodliwiej pokutuje i to w dwóch zupełnie sobie przeciwnych kierunkach.

Filozofia jest dążeniem do prawdy, a zatem jej wyjaśnieniem; głównie zaś polega na ujęciu w obręb najściślejszych definicyi tego wszystkiego, co z natury swojej zdaje się leżyć po-za wszelkiem orzeczeniem.

Zapytałby może niejeden, dla czego koniecznie taka transcendentalność ma być przedmiotem prawdziwej filozofii? Dla czego nie opiera się raczej na praktyczności, na rzeczywistej stronie życia? i jaka przedewszystkiem może wypłynąć korzyść z badań metafizycznych, których raczej treść do teologii i do niezłomnej wiary w objawienie należy?

Otóż macie jeden główny systemat choroby filozoficznej. Niestety! stają na cudzym gruncie, walczą cudzą bronią, wyrzekają cudzym językiem i o tyle tylko od istotnych odróżniają się filozofów, o ile ich rzecz jest bez związku i przed logicznością ucieka. Cała bowiem ich nauka jest to miotać obelgami na obszar nauk filozoficznych, których tém samém nie pojęli; jest to poddawać się pokornie pod obce, czyjeś wyzreczenia; jest to zaszczycać imieniem niemoralnych i bezbożników tych wszystkich którzy na

drodze spokojnego badania, jakkolwiek prowadzeni skazówką objawienia, dochodzą szczytnych początków ducha wszechświata i ducha człowieka. Dobrze to pojęli twórcy najnowszych systematów filozoficznych, kiedy logikę w jedno złączyli z metafizyczną dziedziną; przewidywali bowiem, że nadejdą kiedyś kołowate półgłówki, co chcąc napastować w filozofii stronę czystą, transcendentálną, nie potrafią jęj oderwać od cudownie ułożonego biegu logicznego, a więc walcząc przeciw filozofii, walczyć zarazem będą przeciwko zdrowemu rozsądkowi i jego następstwom.

Pytamy, czy ktokolwiek może nie upatrywać w podobnym stanie usposobienia umysłowego wyraźnej, najzupełniejszej choroby umysłowej? Przeciwnicy rozumu dowodów swojej nieprzyjaźni na drodze samegoż rozumu wyszukują: takich to *mizologów* filozoficznych do pierwszego rodzaju kołowacizny zaliczymy.

Do drugiego należą ludzie o słabych żołądkach a niepoślednich apetytach, którzy połącząwszy nieco najrozmaitszego pokarmu spekulatywnego, strawić go jednak nie mogą. Młodzieniec zbrojny kilku tuzinami myśli i zdań oderwanych, ubogi w nauki ścisłe, a naukom przyrodzenia zupełnie obcy, w zamian których

opatrzył się w dykcyonarz kapłańskich mistrza wyrażeń, ztąd pewny zwycięstwa, maszeruje groźnie do zdobycia szturmem wiedzy w jój absolutném stanowisku; — ale niestety! z braku przy sposobienia się do walki na pierwszym szczeblu traci wszystkie zdrowe zmysły, na drugim dostaje zawrotu głowy, z trzeciego upada kołowatym! i zaiste nie żeglarzem, nie kręcikiem, nie kłósakiem, ale w zupełności waryatem. Jako taki gada od rzeczy, po kilka dni zostaje w odrętwieniu — potem nagle wpada w szalony zapal, pierwsze lepsze okresy z Arystotelesa łączy z myślami Kanta, ogólnik Platona stawia za pewnik matematyczny, i z téj mieszaniny tworzy chaos najdziwniejszych wniosków, przy którym sprawa w naszym Osieku, a nawet wiekopomny nieład przy budowaniu wieży Babel pierwszeństwo utracają; — i ten to chaos obiera i przyjmuje za oś dostatecznej doskonałości, i z pogardą lub z litością spogląda na niepojmujących jego systemata, nie bacząc, że on sam siebie tylko w chwilach gorączki rozumieć się zdaje. Biada temu, kto jego rozpraw i dowodzeń słuchać jest przymuszony, — a stokroć biada temu, co się w jego pisma zagrzebie, bo przy najsilniejszym organizmie mózgowym dostanie nieochybnie zapalenia, albo mu nerwy

łączące rozum z sumieniem nieodzownie pęknąć muszą.

Poznaki kołowego filozofa są:

1) W każdym technieniu pełno zwierzchniej uczoneści, a w każdej myśli pełno głupstwa.

2) W ciasnych położeniach nagła i najłatwiejsza zmienność zdania.

3) Używanie formułek mowy filozoficznej w życiu najprozaiczniejszym: — np. rozprawiając o pożytkach mierzwienia roli, wyrzeknie: — „Sterkoryzacya w dziedzinie wiedzy agronomicznej jest przedmiotową;“ — ganiąc nałóg pijanstwa, nazwie go „odjemnym działaczem na racjonalizm;“ — całą godzinę będzie gadał o materji i o duchu, zwalczy przytém Leibnitza, pochwali Fichtego, — i skończy na rozwoju nieskończoności.

Napomnienie odebrać mający kmiotek, albo zagrodowy szlachcic, lub pozornie pokorny ekonom, za powrotem do domu, przy gęstym poczęstnem zapewnia swoich przyjaciół, że ten mądry pan albo był pijany, albo.... posztuka po czole na znak, że nauczycielowi pomięszało się w głowie. Podobne przykłady są niezliczone, i wszystkie noszą jedną cechę popisywania się z mniemaną filozofią, przyczem przymiotnik absolutny, a, e, bezwzględny, a, e, — we wszyst-

kich siedmiu przypadkach *numeri singularis et pluralis*, o ile można najczęściej bywa powtarzanym.

4) Ubiór naumyślnie niedbały; obyczajność oryginalnością zadziwiać mająca.

5) Wieczne skargi na ciemnotę rodu ludzkiego.

6) Roztargnienie zmysłów tak daleko posunięte, że nawet to, co wszyscy mijają, kołowaty filozof absolutnie rozdepcze, bo jego myśl gościem na ziemi; ona zawsze goni za absolutną prawdą w krainie ducha, — rozumie się — absolutnego.

Skoro kołowaty filozof roczek jeden tylko w słabości potrwa, już nie masz dla niego ratunku! — dla świata zginął na wieki. — Co do sumienia... niechaj go Bóg osądzi!... wyroki ludzkie, jak w wielu sprawach, tak szczególnie w sprawach sumienia ludzkiego mylnymi bywają.

Czyli po dziś dzień filozofia schwyciła wiedzę i prawdę — których filozofów z nieskończonego szeregu kołowatych odłączyby wypadało, nie w tém tu miejscu mówić należy, — w przecięciu na stu, licząc sumiennie, 99 jest kołowatych. — O gęsiach zamilczę.

*Kołowacizna badań historycznych.*

Jeżeli badacz z małą znajomością historii, bez żadnych usposobień naukowych, tutaj filozoficznych i filologicznych, rzuci się na stare księgi, na zbutwiałe rękopisma i odwieczne pamiętki, — natenczas chciwe mózgu czerwone robaczki ssą go nielitościwie, zapalenie szybko wzrasta, badacz nagle dostaje zawrotu, odrętwienia, zatacza się w kółko, szyję naprzód wyciąga i staje się kręcikiem.

Na własne widziałem oczy, jak w zeszłym roku młodzieniec z świeżym, niezakatarzonym nosem zajrzał do księgozbioru niegdyś zakonu Benedyktynów i z wściekłą radością pochwycił, porwał i uciekł ze spisem kuchennych wydatków w roku 1478. Było to po łacinie, gotyckimi literami zapisanych przez X. Kanafarza arkuszy około 300. Ów badacz przez 8 dni męczył się nad zrozumieniem pierwszego wiersza, ale nie mogąc podolać, poradził sobie zapraszając znajomego filologa i jakoby od niechcienia, z uśmiechem wieloznacznym podsuwa mu ów mniemany skarb. Uprzejmy gość tłumaczy:

„W środe przed ś. Benonem, wydano kaszy jęczmiennój otłuczonej na stół dla księży kwart 8; dla czeladzi pośledniejszej kwart 5. *Item*



sztokfiszu funtów 16, *item* grochu dla ludzi kwart 5, *item* kapusty garnków 3.“

— A to jest ważne, ile wówczas jedzono?!

— Szkoda, że liczba ludzi nie oznaczona.

— Prawda!...

Taki to mąż całe życie szpera, i jeżeli nie napotka szczerego przyjaciela, którenby mu wyjaśnił, co historyczny badacz w zasobie osobistym przed rozpoczęciem badań mieć winien, nieborak zemrze na kołowaciznę, zostawi 500 arkuszy niezrozumianych przez nikogo notatek, stosy skradzionych osobliwości najnieciekawszych, a w Kuryerze znajdziemy: „Uczony ziomek, badacz starożytności, zawczesną śmiercią okrył kirem kraj cały i t. d.“ wedle zwyczaj.

Niewiasty od tej słabości są wolne, a jeżeli zajrzą do starych ksiąg, czynią to wtenczas, kiedy romans historyczny pisać zamierzają. Bogu dzięki, natężenie nie jest zbyt, po wierzchu obaczają, — dla tego mózg się nie osłabi i czerwonego robaczka na błonie nie ujrysz.

Kołowaciznie badań historycznych ulegają i mężowie znakomitych zdolności, ale bardzo rzadko i w tym tylko przypadku, gdy starożytność do swój potrzeby a nie do rzeczywistej prawdy sprowadzić ośmielają się. U nich robaczki czerwone ssą nie mózg, ale serce i ko-

łowrót przechodzi w inną chorobę, w kurcz sumienia literackiego — o czém później.

*Kołowacizna księgarzy.*

Księgarz gdyby mógł być uważanym li tylko jako kupiec materyalny, nigdyby chorobie kołowacizny nie uległ; lecz kiedy powołanie jego jest wyższe, a niezrozumienie tego powołania zbyt wielkie, tworzy się wówczas kołowacizna, czerwone robaczki ssą mózg, powstaje zapalenie, zatacza się, chwieje i staje się *klósakiem*. Zrozumienie swego powołania jest dla księgarza jedynem zagadnieniem, którego rozwiązanie nie tak łatwe, jakby się komu zdawało. Nie dość dla księgarza zapełnić cztery pokoje księgami, wyuczyc sprzedającego, jak ma kupującym wychwalać objętość dzieła, dobroć papieru, wyrazistość czcionek, piękność obrazków; nie dość tedy i owedy wydać własnym nakładem nędzny romansik, kabalistykę lub wykład snów, utargować dziennie 300 — 500 złp. — powinnością jego jest wpłynąć korzystnie na ogół, a jak to uczynić?... rozum i sumienie najlepiej mu wykażą. Jeżeli zaś zbywa mu na tych dwóch przymiotach, stokrotnie biada! — Zawiódł on siebie, zawiódł i publiczność; przeszedł albo w poczet kramarzy, albo klósaków: jednej z tych ostateczności nie uniknie.

Pomińmy kramarzy jako niegodnych wspomnienia; przypatrzmy się *kłósakom*. Piotr kupił po Pawle księgarnię, uporządkował, oczyścił, uzupełnił, nowszemi dziełami, zawiązał z księgarzami za granicą stosunki handlowe, polecił się miejscowym literatom, a nadto przedsięwziął swoim nakładem wydawać dzieła, zwłaszcza że szwagier jego, Tomasz, na témże przedsiębiorstwie w 5. lat niespełna 140,000 złp. zarobił. Ale Tomasz nie był kłósakiem, wiedział, co drukować a co sąsiadowi odstąpić; Tomasz autorowi, którego rękopis lichą był ramotką, tysiączne oświadczył ubolewania, że dla natłoku pracy, dla braku gotowizny tak udatnego utworu na być niemoże; Tomasz drukował tylko księgi treści wyraźnie znamienitej, zdatném piórem skreślone. — Piotr zaś, znając się tyle na literaturze, ile koza na pieprzu, przynoszone mu rękopisa oddawał nie pod sąd światłych i pogłos naukowy posiadających literatów, ale pod sąd swęj siostry, która namiętnie lubiła romanse, pod sąd swojego brata, któren po ukończeniu szkół obwodowych cukiernią założył, — albo pod sąd swojego siostrzeńca, któren w rodzinie uchodził za mędrca, usposobił się bowiem na pomocnika do jeometry, i umiał suche pola, zarośla, bory, a co więcej bagna i wody przemierzać. Ci to trzej sędziowie

zwykle pochwalne wydawali zdania; niechaj do tego autor był uprzejmym, grzecznym i starannie ubranym, niechaj autorka była miłą i wymowną osobą, Piotr nabywał rękopisa i drukował: Podróże Basi, Ruiny zamku Zdzisława, Kurchanki, i tym podobne brednie, — kiedy tymczasem wypuszczał z rąk dzieła zaszczyt i korzyść wydawcy przynieść mogące, bo tutaj autor był mało mówiącym i niepozorną powierzchowności, rękopis jego był na szarym papierze, nieczytelnie, niestarannie przepisany. — Cóż się stało? Piotr wplątał się w kilkanaście nakładów książek, o których publiczność i słyszyć nie chciała; Piotr stracił kilkadziesiąt tysięcy. — Czemu? bo Piotr nie będąc sam znawcą, powierzał sąd ludziom równie jak on nie zdolnym, — przyjaźni z mężami umniczymi nie poszukał, i działał na oslep, a czerwone robaczki tylko czychały na żywioł. Dla tego dzisiaj Piotr zatacza się, stawa słupkiem, w odrętwieniu, i biorąc znów z jarlakami porównanie należy do 3 i 4 rodzaju, to jest i do kłóśaków i do waryatów. Szkoda, Piotr miał dobre chęci, ale go kołowaczna zgubiła. — Temu losowi, co Piotr popadło wielu, i można zapewnić śmieie, że na kłóśakach w księgarstwie nigdy zbywać nie będzie.

*Kołowacizna powieścio-pisarstwa.*

Skoro tylko autorowie czy autorki, bez logicznego układu, bez dążności moralnej, bez smaku, bez znajomości sztuki, słabe i najdziwniejsze pomysły kleić poczną, przyodziejając je pożyczoną z tandety sukienką, czy tam jest tytuł: powieść obyczajowa, czy tak zwana historyczna, czy szkic, czy fantazya, — zawsze do kołowrotów, do kręcików policzyć ich należy. Kilka przykładów z świeżo ubiegłego czasu niechaj o rzetelności mojego twierdzenia zaświadczą.

Młodzieniaszek zapala się we śnie żądzą sławy, — widzi i słyszy, jak dwaj z Olympu heroldowie trąbią w cztery części świata: „Fabian Oślikowski napisał tom z 143 stronnic złożony; romans oryginalny, pod tytułem: „*Kurchanek*.”

Tra! tra! tra! — i trąbią coraz głośniej.

Fabiś nazajutrz pisze i z radości płacze jak bóbr; matka płacze, że się dochowała takiej pociechy i chluby; kochanka pyszni się jak paw, że jej narzeczony napisał romans; brat w szkołach co pół godziny powtarza: „mój brat, co książki pisze;“ a wujowie, stryjenki, ciotki i stado krewniaczek, — wszystko wrzeszczy: „Fabiś napisał książkę, Fabiś bardzo uczoney! Mój Boże! ktoby się był spodział, — najgorsze ze szkół przy-

nosił świadectwa, a teraz książki komponuje. Zwyczajnie zafukali.“ — I Fabian Oślikowski nie wiedząc, jak się to stało, został autorem... śmieci literackich.

Kalassanty Rozpętowicz jeszcze w czwartej klasie umarzył sobie powieść *historyczną* (?) „*Ruiny zamku Zdzisława*“ i głowa jego była przez lat trzy brzemieną Ruinami Zdzisława, i trzy lata zaglądał do starej spleśniałej kroniki, i w powieści kilka razy wspomniął o Jagielle i o Krzyżakach; opuścił wprawdzie tło ówczesnego wieku: Krzyżacy gadają językiem naszych Dandych „weź pan miejsce“ — „miěj pan tę dobroć osądzić moich uczuciów“ i t. p. ale — są nazwiska historyczne, a więc romans historyczny, i lubo Zabrzezińskich wprowadza do miasta, które za naszych czasów zbudowane zostało; — nic to nie szkodzi, — od czego *licentia poetica*? Natomiast nazwisko autora gotyckimi wytłoczone literami okładkę dano ciemno-tabaczkową z seledynowymi ozdobami, rok najświeższy o sześć miesięcy naprzód posuniony, w dwóch tomach po 177 stronic, — i Kalasanty Rozpętowicz stworzył powieść historyczną. NN. i XX. przesłali do gazet pochwalne sądy; p. Y. wytyka pomniejsze usterki, ale przyznaje wielki, niepośledni jeniusz, dziwi się dla czego się ten jeniusz ukrywał, — i za-

klina na Jowisza, aby takich nie zagrzebywał zdolności.

Minodora, piękna Minodora, w stu bezsen-nych nocach ułożyła powieść uczuciową: *Edgar i wierność do grobu, czyli kolczyk w Arabii*. Jar-mark w Jędrzejowie. — Ansgar poznaje Filome-nę. Ansgar odjeżdża do Algieru, tam zabija trzy-stu Beduinów, chwytą lwicę i lwiąta, kuje w kaj-dany, zwycięża hyenę, krokodyla i parę lampar-tów. Otoczony żywymi bestyami, wraca do śnie-żnego podnóża powątpiewającej o jego wierności Filomeny. We wnętrzościach krokodyla znaj-dują kolczyk, którego Adila Turczynka, karmiciel-ka Filomeny, otrzymała od jej babki Petronelli jako dowód, że Filomena księżniczką. Filome-na, mitrą księżęcą okryta, nie zmienia uczuć, wyrabia u stryja księcia hrabiowską dla Ansgara koronę. Ansgar nie wiedząc o tém i wątpiac o wierności Filomeny, wstępuje do Kartuzów, tam oddaje mu przełożony pismo, które mu przed trzydziestu laty umierający podróżny był złożył i z którego się okazuje, że Ansgar jest potomkiem Boabdila, ostatniego z królów Maurytańskich, Mieszkaniec z wysp Kanaryjskich (gdzie cukier najlepszy robią) zwiedza Rzym, dowiaduje się osobliwym przypadkiem, że Ansgar jest synem Ildefonsa, zwraca mu 60 milionów franków, zło-

tem holenderskiem na węgierski kamień ważonem, skarb u niego na schowanie przez Ildelfonsa zostawiony. Władze duchowne uwalniają Ansgara od ślubów klasztornych. Ansgar wraca do Warszawy, znajduje Filomenę w klasztorze, wbiega w chwili obłóczyn, wydaje krzyk, Filomena mgleje. — Nazajutrz łączą wiernych kochanków. Romans kończy się bengalskim ogniem i wielką fantazyą na flotrowers, co autorka niezrównanie opisała, używając prawdziwie technicznych wyrażen. — Ale o niesprawiedliwości człecze czyli ludzkie! — jakiś dziwak napisał, że Ansgar, kłczyk i wierność, — są to mgłe klejzonki.

Autorka ciska płomień gniewu, klątwy, złorzeczeń; upewnia swoje przyjaciółki o wielkiej zmowie, o spiknięciu się; zaprzysięga stanąć w obronie wszystkich nieszczęśliwych, i sama Minodora pisze dwa arkusze rozbioru *bezstronnego*, z którego się wykrywa że jój dzieło należy do *nieśmiertelnościów*. Uczony (to jest uczył się) Cyryll Doroteusz Mordęga umieścił w jedném z pism publicznych coś w ogólności o romansach, a głównie coś w szczególności o Ansgarze i Filomenie. Pan Mordęga napomknął coś o estetyce; wspomniał o obecnym widnokregu literackim, i wywnioskował, że Ansgar i Filomena są wzorową powieścią.



Nie dawno dostał mi się do rąk wielki, rozchwalony poemat z dziejów rodowych. — Czytam, — i słowa nierozumiem, co autor za cel był sobie założył. Autor był mi dobrze znajomym, pytam i proszę o szczerą odpowiedź. Poglądził jędrną czupryną, zaczerwienił się jak rak, jękał się, — lecz gdym go ścisnąć przyjacielsko począł, i gdym mu do duszy zagadał: „Kubusiu, powiedz jak'ęś uczciw, powiedz, skąd powziąłeś pierwotną myśl do tego poematu? coś napisać chciał? co to są ze osoby Rodyg i Odrzygiełło! wyjaśnij mi tę mitologiczną ich tajemność“ — wówczas Kubus rzekł:

— Pierwotną myśl do tego poematu podał mi romans Rinaldo-Rinaldini. Rzecz całą zmieniłem, uczyniłem ją rodową, bohatera mego poematu, Odrzygiełłę, przeniósłem w ukraińskie stepy, iżby tam został przez puszczyki, przez nietoperze zadziobany na śmierć, — z której powstaje dopiero po siedmiu latach i ukazuje się swym przyjaciołom na kontraktach w Kijowie.

— „I cóż; Kubusiu, nie czujesz zapalenia mózgowego?“

— O! czuję, czuję, że coś ssie moje siły umysłowe, doznaję chwilowo zawrotu i w głowie mi się kręci...

— „Niestety! już są czerwone robaczki, już

do kołowatych, do najniebezpieczniejszych, do *waryatów* należysz. Zmiłuj się nad sobą, póki czas, Kubusiu! kołowacizna autorstwa książek jest chorobą okropną. Posłuchaj méj rady: — jeżeli nie masz usposobienia naukowego, jeżeli w twój głowie pustki, po cóż ci koniecznie pisać?... Prawda, że okrzyczane literatury, niemiecka i francuzka, mają podobnych dzieł tysiące, że w każdej francuzkiej i niemieckiej księgarni znajdziesz większą połowę książek przez kołowatych autorów pisanych, — ale pocóż nam cudzoziemców w ich złem naśladować? Nie zardzośmy im tych stosów literackich śmieci; mają oni dzieła wielkie nieśmiertelne; te od nich przyjmijmy, szum lub nieczysty osad zwróćmy im z grzecznością. — Niechaj się ilością szczyca; my na jakości, na wyborze poprzestańmy. Wielość piszących dowodem umysłowego postępu, ale wielość książek niedorzecznych jest zarazem zgubną dla rozumu, dla młodzieży bez wyboru czytającej, — jest zarazą dobrego smaku, jest kołowacizną.“

Chęć autorstwa u nas nie jest bynajmniej za wielką; biada tylko, że śród małej liczby piszących siedm dziesiątych części na kołowrót literacki choruje, a wcale leczyć się nie chcą, chociażby znaleźli zaradcze środki, jakimi są:

1) Nauki zasadnicze, czczością umysłową nie-skrzeple, do użytku praktycznego zastosowane.

2) Przekonanie się, że belletrystyczne wiadomości, dla salonów arcy dostateczne, do pisania ksiąg bynajmniej wystarczającemi nie są: bo dzisiaj w świecie literackim już czeskich kamieni za brylanty czystej wody nie przyjmują. Wolno wśród niedowarzonych półgłówków, wśród ludzi ograniczonych, popisywać się z niedogryzkami literackimi, ale prawdziwa wartość przyznana obecnie bywa — tylko prawdziwej wartości! — kołowroty, kręciki, wiek złoty już dla was przeminął!

---



**MALEŃKI ODŁAMEK**  
**Z HISTÓRYI MOJEGO NOSA.**



## MALENKI ODŁAMEK

### Z HISTORII MOJEGO NOSA.

„Dostał nosa i spuścił go na kwintę.“

Zkąd wzięło to przysłowie swój początek, oznaczyć nie umiem, a spytać się o to czcigodnego Wojcickiego, dotąd zaniedbałem; znaczenie przecież tego przysłowia nie jest nikomu obce, i podobno każdy z ludzi odbiera i odbierać będzie nosy i będzie je spuszczał na kwintę: wszakżeż nawet i wielki Napoleon przez nieszczęsny los, ukracający jego zuchwałość, dostał nosa, i na wyspie ś. Heleny spuścił go na kwintę. Ależ i całe narody, nie szukając w odleglejszej przeszłości, np. Turcy po bitwie pod Nawarynem, nie dostaliż nosa, i nie spuściliż go na kwintę? Cóż więc dziwnego, że i ja, będąc małym chłopczykiem, dostawałem nosa od moich najdroższych rodziców za rozmaite błędy dzieciaczka; żem dostawał nosa od domowego nauczyciela za

nieuwagę i roztrzepanie; żem w szkołach publicznych dostawał nosa za hałasy, za figle, za kostery i za zarozumiałość o swych zdolnościach a ztąd mniejszą jak należało pilność; na uniwersytetach wprawdzie nie odbierałem nosa, ale znów po nosie rapirem kilka razy dostałem; w wojsku często dostałem nosa za spóźnienie się na parady (bom też ja i nigdy żadnej parady nie lubiłem; ale jak minęła parada, 'anim się razu nie spóźniłem, lecz znów tych od parady nie było); w urzędowaniu wójta gminy dostałem nosa od wągrowieckiego landrata; od rejencyi bydgoskiej za niezdanie raportów o wściekłym psie, o pojawieniu się wilków, o chorobie śledziony i t. p. Później jeszcze żydkowie poznańscy poczęli mi dawać nosa pozwami, i jak tylko dawno i szeroko zapamiętam, od najdrobniejszej młodości dostawałem i dostaję nosy, coraz to głębiej spuszczałem mój nos na kwintę, i dziwię się, że tyłu dodatkami przedłużony dotąd ziemi nie dotknął; możeby też już był i dotknął, ale go nadzieja dźwiga do góry, i jakoś z braćmi nosami innych ludzi w równi utrzymuje. Historia mojego nosa, aczkolwiek go nigdy zbyt nie zadzierałem, w szczegółach jest ciekawa, bo los w czynieniu dodatków do mego nosa był bardzo chimerny: tam, gdzie na najdłuższy zasługiwał, zostawił





„Na wieki wieków amen” głośno wymówił chłopak i nisko mi się pokłonił. „Niech będzie pochwalony” szybko odrzekł spozostzegając się w błędzie.



go takim, jakim go dało przyrodzenie; gdzieś był najniewinniejszy, przyczepiał mi śmiertelną boleści nos dodatkowy i stroił go na kwintę rozpacz. W osobnym dziele (in 8vo z rycinami, z przedmową, z głosem do czytelnika, i ze spisem omyłek drukarskich) przy schyłku dni moich (co mniej więcej za lat 40 nastąpić może) skreślę wszystkie szczegóły losu mojego nosa, dzisiaj opowiem tylko, na duchowny obroczek dla większych spółobywateli, przypadek, jak w jednym dniu od sandomierskiego chłopka, w jednej chwili trzy nosy dostałem.

Chłopek bronował zasiew żyta, a było to już w końcu drugiej połowy miesiąca października; ja z dwururnią w ręku, pod wiatr przy piaszczystej górze upatruję kusego, i lekceważąc pracującego chłopka mijam go milczący. „Na wieki wieków amen“ głośno wymówił chłopek i nisko mi się pokłonił. „Niech będzie pochwalony“ szybko odrzekłem spostrzegając się w błędzie. Był to pierwszy nos, alem go bynajmniej nie spuścił na kwintę, i przeciwnie niecom się obraził, że chłopek mojej nieuwagi nie przemilczał; przystanąwszy więc, łającym pańskim tonem ozwałem się do niego: „Cóżto, dopiero żyto bronujecie?... a kiedyż ono zejdzie?...“ — Razem z dworskiem, co go wczoraj siał dokończyli nie-

spełna, uśmiechając się odpowiedział chłopak; — to był już drugi nbs. — „Ja, bo wysiewam 300 korcy, nie dziw więc, że się spóźnił.“ — Ja wielmożny panie, odrabiam cztery dni pańszczyzny; przez dwa miesiące po dwa dni w tydzień jeździłem o trzy mile na szarwark; stróża na mnie kilka razy przypadła; do wybierania dworskich kartofli z dnia na dzień wyganiał; odnosiłem podatek do miasta obwodowego, i jeździłem z pańską, duchem wymłóconą latosią pszenicą do Warszawy, bo się podobno jegomość obawiał, żeby nie zatechła.

To był w jednej chwili trzeci, ale już porządny nos, i czułem, że mi się spuszcza na kwintę. Zostałem dłużny w odpowiedzi, za kusym dalej nie biegłem, ale powróciłem do domu, i przedewszystkiēm rozkazałem karbowemu, aby Szczepaniaka na cztery tygodnie od pańszczyzny uwolnił. Następnie zacząłem dumać, czyliby mojej teorii o ścisłej, szczegółowej sprawiedliwości, gęsto po głowie i w sercu zasianej, do praktyki wiejskiego państwa systematycznie i zawsze wcielić nie można?...

**NAPOLEON**  
I ŻYDKI SWARZĘDZKIE.



# NAPOLEON

## I ŻYDKI SWARZĘDZKIE.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

W Swarzędzu, miasteczku o jedną milę od Poznania odległym, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Było to w jesieni 1806 roku, kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zażewzać starszyznę żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy nimi ruchu, którego od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tém prócz p. burmistrza nie wiedział. Podczas jarmarku dopiero wyjawiała się u chrześcian pogłoska, że żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że po za kirkutem (cmentarzem) takowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w piękne przybrane rzędy. W głowę zachodzili ciekawsi, coby to znaczyło? bo i inne

jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, że Napoleon, cesarz Francuzów w Swarzędzu i w okolicach stojące pułki osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. — Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zielénca. — Jest to młyn wodny w stronie ku Poznaniowi, nad brzegiem wielkiego jeziora u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarzędza czarujące, a istotnie przyjemne pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Po-za karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas, byłyby w stanie lichą artyleryą zagłuszyć. Już wtenczas każdy się mógł domyślić, że owa żydowska tajemnica była w celu uczynienia miłej niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszej z południa krzyknął na dachu siedzący szajgac: „*Er kymt! er kymt!*“ (jedzie! jedzie!) Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku mały kapral Francyi, Napoleon! Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych generałów o strategiczne położenie Swarzędza. Oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle z po za stajni wybiegł znaczny poczet Turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie tur-





**Nie lękaj się Wasza Cesarska Mość, myśmy nie Turcy, my jesteśmy żydki swarzędzkie.**



bany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, konie strojne rozmaitej barwy pokryciem; pióra, pałasze, gdzie nigdzie piki i sztandary; nadawały tej jeździe szczególnej wojenny i azyatycki charakter; Napoleon wstrzymał konia i spojrzawszy na swoich — nikt tego wypadku objaśnić nie umiał. Wtém wysuwa się naprzód dowódzca jazdy tureckiej a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza zdejmując z głowy turban mówi: „*Fürchten Sie nichts, kaiserliche Majestät, wir sind keine Türken, wir sind Schwersenzler Juden.*“ (Nie lękaj się Wasza Cesarska Mość, myśmy nie Turcy, my jesteśmy żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie nie miał — odważne Turki krzyknęły:

„*Wiwajt!* Wielki Cesarz Napoleon niech żyje! jeszcze raz niech żyje!“ i powtórzywszy trzykrotnie „*Wiwajt!*“ usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuzcy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nie uśmieł.



**A B C**

**DLA PEŁNOLETNICH DZIECI.**



# A B C

DLA PEŁNOLETNICH DZIECI.

---

Wybierając się z Warszawy na pola, bory i lasy — pod słomiane strzechy i do murowanych dworców, — umyśliłem i postanowiłem zabrać kilka liber papieru, spore naczynie z atramentem i piór zastruganych pół kopy, iżby kilkotygodniowych spostrzeżeń nie oddawać na łaskę często niegrzecznej pamięci. Moja literacka przezorność okazała się rzeczywiście potrzebną, gdyż na pierwszym noclegu, gdzie dziennik mój rozpoczynam, w pochylonej karczemce od lat 40 — od czasu jej wybudowania — żaden z ludzi pióra w tém miejscu do ręki nie wziął; diabeł zaś, któren narzekania i przekleństwa pijanych chłopów na przypiecku liczył, wyręczał się pazurem, znacząc kreski po ścianie doliczywszy bowiem pewną ilość przez Lucypera oznaczoną,

miał mieć prawo porwania dziedzica żywcem do piekła za to, iż na siedmnastu włókach trzecią zbudował karczmę i złodziejem obsadził. Nie wiem czy prawda; tak się przynajmniej djabeł przechwala.

Ależ niechaj nic uprzedzam zdarzeń, zacznę porządkiem: — 1841 roku 20 maja.

Dzisiaj o godzinie 9 rano, po wysłuchaniu mszy św., po tkliwém pożegnaniu się z ukochaną i drogą mi żoną, po szczerém uściśnieniu przyjaciela, po grzecznych ukłonach dla znajomych, natuliwszy czapkę na uszy, siadłem na bryczkę, obok mnie mój pokojowiec Pawełek, na koźle woźnica Grzesio, i ruszyłem z Mazowieckiej ulicy trójką spokojnych koników. Na Wierzbowej, na Trębackiej — jeszcze ukłony przed pocztą za pytanie: „dokąd jedziesz Guciu?“ odpowiedź: „na wieś, robaczku.“

Spuściwszy się wolno i ostrożnie przez Bednarską ulicę, przystanąłem przed mostem, aby się opowiedzieć, zkąd i dokąd jadę. Na moście stępem, przez Pragę truchteczkiem, — aliści przy rogatkach znów: „zkąd? dokąd? ile ludzi? ile koni? na długo? — jedź pan z Bogiem.“ Jakoż wyjechałem istotnie na zwirowy gościniec.

W każdym inném miejscu byłbym przede-wszystkiém rozdziawił gębę po świeże powietrze,



byłbym się zagapił w piękność przyrodzenia, byłbym miarkował, z kąd wiatr wleje, — czyli w rozpoczętej pódroży pogoda sprzyjać będzie czy deszcz przywita; — kto naprzeciw mnie, kto za mną jedzie i idzie; jakie mijam domy, ogrody, zagony, łąki, rzeczki, lasy, góry i doły, — ale tutaj terazniejszość stała się dla mnie obojętną, bo przeszłość całą myśl owładła.

Dopiero w Miłośnie pocztarska trąbka i turkot ogromnej karety żalodne przerwały marzenia. Grzesio przystanął dla napojenia koni; Pawełek zeskoczył, iżby mu dopomódz; ja naładowawszy fajeczkę wstąpiłem do szynkowej izby po ogień.

Ściany brudne, ławy i stoły brudne, baba nalewająca gorzałkę jeszcze brudniejsza; — kilku nędznych, *bardzo nędznych* chłopów; — kilku drapichróstów do rozbojów podobnych, trzy ciury od furgonów wojskowych, dwóch kozaków na patrolu, i małe dziewczątko przysłane po gorzałkę od kowala; — psy, śmieci i błoto, kieliszki i flaszki obrazy świętych i sławnych ludzi, — których przez szyby, zapstrzone pomiotem much i pajaków rozpoznać nie było można; — węgle przysypane popiołem na kominie, przy których siedział kot z przypalonym włosem, z krótko uciętym ogonem, z iskrzącymi się ślępiami, — oto całość, jaką jednym rzutem oka pochwycić mo-

głem. \*) Zapaliwszy fajeczkę oddaliłem się spiesznie. Przez kilka godzin dalszej podróży nie schodził mi z oczu ów czarny kot, — i już wtenczas wpadałem na domysł, ażali to nie jest djabeł w pożyczanej postaci, któren pilnuje sposobności podsłuchania rozpaczającej duszy, aby z nią wejść w układy. Zdrowy rozum, mówiąc górniej: wiedza z absolutnego stanowiska myśli takowej do komórki przekonania wpuścić nie chciała, — gdy w tém pękło tylne koło u bryczki, i Grzesio i Pawełek i ja, a za nami tłumok z pościelą i worek z obrokiem, rzeczy żyjące i nieżyjące, — wysypaliśmy się na ziemię.

„Al czy djabeł nam w oczy zajrzał? czy jaka baba urzekła?“ wymówił Grzesio żegnając się trzy razy.

— Nie opatrzyłeś bryczki, mazgaju, i teraz na djabła spędzasz.

— „Nie tylko żem, wielmożny panie, opatrzył, ale i kowal i oto pan Pawełek, oglądaliśmy ją wczoraj; wszystko było mocne, i nikaj ani jednej szruby nie brakowało; koła zaś są przecież nowusienkie, boć je dopiero na Ś. Wojciech kołodziej zrobił.“

---

\*) Dzisiejszy stan tój karczmy zupełnie jest odmienny, bo wzorowy porządek dawną nieczystość zastąpił, — kot tylko często jeszcze na kominie siada.



Dawna karczma.



— No gdzież tedy ten djabeł siedzi, co nam bryczkę zepsuł? — chyba u ciebie pod czapką, bo się w głowę skrobiesz.

Pawełek śmiejąc się zęby pokazał, a Grzesio szukając toporka i postronka, smutno odrzekł.

— „Panowie nigdy człeku prostemu nie wierzą, a jednakże ja łońskiego roku djabła na jarmarku widziałem, jak się kłócił z dziadkiem, który głośno śpiewał różaniec: było to przed wotywą, ludzie poczęli się do kościoła gromadzić...”

— No patrzajcie go, on mi będzie bajki prawił a ja będę słuchał; — poszukaj oto lepiej dębca albo brzozy wiśnej i przywiąż pod nasadę — trzeba nam się do wsi jako tako dostać, boć tutaj nocować nie możemy.

Zamilkł stary Grzesio, wykonał mój rozkaz. Pawełek włożył na bryczkę rzeczy i strzaskane koło i już mieliśmy ruszyć z miejsca, kiedy gąduła obejrawszy się na stronę zawołał:

— „A juści że nam djabeł tę szkodę wyrządził, czy jegomość nie widzi?... (Wytrzeszczam oczy, ażali nas kot z Miłosny nie goni). Ot drogi krzyżowe, a figury poganie nie postavili! — jakżeż się tu nieszczęście przydarzyć nie ma; wszakżeż on wszetecznik najbardziej na rozstajnych drogach wojuje.“

— Mój Grzesiu! jak pojedziesz z powrotem do domu, dam ci pisanie do księdza proboszcza, aby cię objaśnił, kiedy mi wierzyć nie chcesz, że djabłów nie ma na świecie, — tymczasem ruszaj z miejsca, chyba chcesz, abym ja wziął lejce do ręki.

Splunął Grzesio na miejsce, gdzie się bryczka wywróciła, zaciął koni i szedł w milczeniu. Droga, na którąśmy zjechali, była piaszczysta, kamieni i korzeni w kolejach pełno; wolno więc wlekleśmy się już przeszło godzinę, gdy wreszcie ujrzelśmy po-nad polem małą karczemkę z zajezdną stajnią.

— „Daleko ztąd do Siennicy?“ — zapytałem chłopka, jadącego do lasu po drzewo.

— Będzie pół mili.

— „A przy téj tutaj karczmie jest kowal?“

— O dwoje staj w tamtéj wejno wiosce mieszka dobry majster, ale tam nie ma zajezdnej stajni, potrzeba będzie wielmożnemu panu w karczemce popaść, a koło do wsi posłać.

— „Bóg zapłać przyjacielu, pono usłucham waszój rady.“

Wjechaliśmy do roztwartéj stajni: kury i koguty odbywały po żłobach rewizyą, — kaczki i gęsi czyniły na gnoju agronomiczne poszukiwania, a kilkomiesięczne, pstrokate ciele stało



Wnętrze stajni.





zamysłone na środku. Trudno się czego od cie-  
 lęcia dowiedzieć: — kury, koguty, kaczki i gęsi  
 za naszym przybyciem pouciekały; świegotął  
 wprawdzie wróbel na belce, patrząc przez dziurę  
 w dachu na słońce, alem go nie rozumiał; uda-  
 łem się więc do izby. Lecz i tutaj nie było się  
 z kim rozmówić; bo usmolony dzieciak w kołysce  
 tak się zjadł w garnczek ziemniaków, iż mojej  
 obecności wcale nie spostrzegł, a chociażby był  
 i spostrzegł — dwuletni, jakąż mógł mi dać wia-  
 domość o sianie, którego dla koni potrzebowa-  
 łem? — Któż wyrazi moje przerażenie gdym na  
 przypiecku burego kota zobaczył, którego mi się  
 z niezwykłą przenikliwością przypatrywał. —  
 „Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ za-  
 wołałem głośno; — kot z wyraźną niechęcią zsunął  
 się za piec, dziecko się przełękło i płakać poczęło.  
 We drzwiach komory ukazała się czterdziestole-  
 tnia osoba płci żeńskiej, której w żaden sposób  
 białogłową nazwać nie mogę, bo była tak mocno  
 śniadą i ogorzałą, iż rozumiałem, że spostrzegł  
 murzynkę.

— „Można tu popaść, czy dostanę siana,  
 chleba, masła, piwa?“

— Dostanie wielmożny paniczek wszystkie-  
 go, — odrzekła cyganka, szynkarka i gospodyni  
 domu.

— „A nie masz kogo posłać do kowala?”

— Oj chyba że nie, mój mąż pojechał z synem do miasta, sama tylko zostałam w domu.

Rozkazawszy dać siana dla koni powróciłem do stajni; aby Grzelę do kowala wyprawić.

Grzesio zły, iż koło tak daleko dźwigać będzie, poszedł upomniany, aby spieszo wracał. Ale minęła godzina druga, trzecia, szósta, siódma i ósma, deszcz zaczął padać, ściemniło się; dowiedziałem się od cyganki, że 400 złp. płacą suchej arendy; że jój mąż niesłusznie oskarżony o kradzież koni, które przypadkowo przyplątały się do ich domu, dzisiaj ma termin w sądzie policyi prostej; że źli ludzie powiedzieli, jakoby ich syn w pobliskich wioskach wszystkie kury wylał; że wódkę do miasta podwożą; że przechowują podejrzane osoby; i że wiele innych potwarzy wymyślili sąsiedni karczmarze, a to wszystko przez zazdrość... — już mi się i słuchać sprzykrzyło, a Grzesia jak nie widać tak nie widać. Zniecierpliwiony — właśnie miałem wysłać Pawelka po wiadomość, co się z Grzelą stało, gdy wreszcie przylazł oczekiwany. Koło było sporządzone, ale język i nogi Grzesiowe zaniemogły, bo doszedłszy do celu, zatoczył się i oparł o bryczkę, mruczając pod nosem:

„Panie majster, do wasana!” potem się otrzą-



„Panie majster, do wasana!”



snął, potem w urywanych wyrazach lajał kogoś, że kartoflówkę sprzedaje, — potem się rozśmiał chwając szumówkę ze żyta, — potem wymówił *pianissimo* „nalój, asani, jeszcze jedną kwaterkę“ upadł na ziemię, chrapnął i natychmiast zasnął. Wskazawszy Pawełkowi brzydkie skutki pijaństwa rozkazałem mu, aby worek ze sieczką pod głowę Grzeli położył, aby go derą okrył, aby o koniach pamiętał, i aby tłomok z pościelą zniósł do izby, bo o odjeździe ani myśleć było można.

Tymczasem do karczmy zaczęła się schodzić rozmaita gawiedź, a wszystko drab w draba z lagą w rękę, — zarosłe, barczyste, ze spojrzeniem ponurém, — a każdy mnie zmierzył od stóp do głowy. Powrócił i gospodarz z miasta z synalkiem i trzema żydami; zaczęli grać na katrynce; zjawilo się kilka podejrzaných kobiet, na kominię smażyli kielbasy, kiszki, — kwaterka szła z rąk do rąk, — a kot na samym zrzebie pieca mruczał i warczał i kręcił ogonem; — dziecko wyniesione do komory, ciągle bez najmniejszej przerwy płakało.

Pawełek, któren już przyniósł tłomok i siana pod oknem rozesłał, obejrzawszy się po izbie nieznacznie szepnął mi do ucha: „Panie! deszcz przestał padać, możnaby dalej jechać, jabym powoził.“ Nie odpowiadając Pawełkowi zawołałem

na gospodarza: „O godzinie 10 niechaj w twojej gospodzie wszystko się uciszy, ty zaś, stary złodzieju, ze swoim synem łapikurą, będziecie spali w stajni, która żadnego nie ma zamknięcia; a jeżeli mi konie ukradną, albo jedna słomka z bryczki zginie, każę cię jutro okuć w kajdany, z których cię za życia sam djabeł nie rozkuje.“ Poczém wziąłem do ręki dwururną strzelbę i dwa zamki odwiodłem.

— „Pawełku! gdy fury nadjadą, niechaj się ekonom do dnia zatrzyma.“

— Dobrze, wielmożny panie! — odpowiedział nie w ciemię bity Pawełek, — ja im też mówiłem, że w téj tutaj karczmie czekać na nich będziemy.

Gospodarz i jednego nie odrzekłszy słowa skinął na syna, wziął na się kozuch i wyszedł. W pięć minut, prócz mnie, żyjącej duszy w izbie nie było. Położyłem się; świeca paliła się na ławie, tuż przy mnie stała odwiedzona dubeltówka, stary kordelas wydobyty ze skórzanej pochwy leżał pod ręką. Może już z pół godziny rozmyślałem, czyli przedsięwzięte środki ostrożności są dostatecznymi, gdy na raz oczy moje zbiegły się ze ślepiami kota, któren z pokorną miną zbliżał się do mnie; — śmiertelny dreszcz przeszedł członki moje, mimowolnie

wrzasnałem: „Jezus Marya!“ Kot chycnął na przypiecek, Pawełek wpadł do izby z potężnym drągiem.

— „Czego chcesz?“

— Pan wołał.

— „Chyba ci się przyśniło, przetrzej oczy i połóż się na bryczkę.“

Pawełek odszedł, jam wstał, bo widoku roziskrzonego kota dłużej znieść nie mogłem. Biorę kordelas i posuwam się do pieca, — owa bestija kot nasrożył się, parschnął na mnie tak smrodliwie, iż rozumiałem, że kot smołę z dziegciem na izbie zapalił. W téj chwili przypomniało mi się opowiadanie Grzeli, i przybiegła myśl: „A gdyby też to był djabeł?“....

Malcem jeszcze będąc słyshałem od starych ludzi że im także starzy ludzie opowiadali, jakoby od starych ludzi słysheli, że, jeżeli kto ma wiele w sercu odwagi a podejrzaną istotę odczarować chce w naturalnego djabła albo w inną postać, winien jedynie szybko na wszystkie cztery strony świata bez świadków zawołać:

„Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! pokaż się djable!“ i że wówczas, *nie tylko* że się djabeł pokaże w naturalnej postaci, *ale* jeszcze wszystkie rozkazy tyle śmiałego człowieka wykonywać, na każde zapytanie najszczer-

szą prawdę odpowiadać i na jego usługach tak długo pozostać musi, dopóki ta sama osoba, która biesa zarzekła, nie wymówi również na cztery części świata tychże samych wyrazów na wspak; ale że przytém takiemu śmiałemu człowiekowi należy za każdą razą wyraźnie się przeżegnać.

Otóż gdy bestija kot z miejsca się nie ruszał, jakoś szczęśliwie przypadło mi na pamięć owo zaklęcie i jeszcze inne figle na djabła; — bez najmniejszej jednakże wiary w takowe gusła, nagle i szybko, na wschód, zachód, południe i północ, co tchu starczyło, krzyknąłem:

„Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! pokaż się djable!“ — i przeżegnałem się.

Patrzę przed siebie, — kota nie widać, jeno słyszę, że się coś kominem łomocze, — i któreż pióro określi mój przestrah i nadzwyczajne podziwienie?... Bies, sobaka, w najnaturalniejszej postaci wypadł na węgle.

Najszanowniejsi czytelnicy! wszystkie powiastki o djable na krogulczych albo na bekasich nóżkach, w kusym fraczku, w trójgraniastym kapeluszu mogły was rozśmieszyć, — ale niechajby któren z was był zobaczył pod ową chwilę rzeczywistego biesa, jak na krowich kopytach, z ogromnym kałdunem, z długim ogonem, z potwórnym łbem rogatym z komina się stoczył





**Bies, sobaka, w najnaturalniejszej postaci wypadł na węgle.**



i ku mnie przystąpił, o sto przeciw jednemu zakładam się, że żaden z was, czcigodni literaci, nie dotrzymałby był placu, — a ja, panowie; anim się z miejsca ruszył!... Lecz pocóż, się przechwalać; byłbym i ja drapnął, ale mi nogi stężały, a ząb o ząb klekotał jak na tartaku; i gdybym był w stanie trzęsące się usta do posłuszeństwa nakłonić, byłbym bezzawodnie co prędzej na wspak odgadał, com lekkomyślnie przed chwilą wymówił; bo jakkolwiek już nieraz śmierci śmiało zajrzałem w oczy, to jednakże z djabeł w jego naturalnej postaci bezpośrednio nigdy nie wojowałem; i z téjto przyczyny, oczy i uszy obiedwiema rękami zatkawszy, com tylko pobożnych modlitewek umiał na pamięć, recytowałem z taką skruchą i pokorą, jak nigdy w życiu mojem, — gdyż to nie darmo przysłowie: „kiedy trwoga to do Boga!“ Ulitował się téż Bóg dobrotliwy nad biędą moją, bo po chwili wróciła odwaga, otworzyłem oczy i patrzę — a pan djabeł siedzi przedemną w kuczkach, i drząc skurczony płacze jakoby żak szkólny, gdy mu nauczyciel osłe uszy na głowę wkłada. Jeszczem zupełnie do przytomności nie przyszedł, ale gdy bies pokornie się ozwał:

„Cóż, jasnie wielmożny, jasnie oświecony, najoświeceńszy panie i dobrodzieju, rozkazać naj-

laskawiej raczysz?“ — wtenczas dopiero poczułem się od razu dawnym zuchem, i zażywszy tabaki dalej w rozmowę:

— Czy to waść był kotem? cóż waść tu porabiasz? na co waści sadze wycierać? dokąd się waść tak spieszysz?... kiedy przed chwilą jeszcze na kordelas, mospanie, nie aprendowałeś, a teraz stoisz jak błazen i tytułujesz mnie od jasnych do najoświeceńszych panów i dobrodziejów?

— „Wszystko jaśnie oświeconemu panu dobrodziejowi będę w stanie wytłumaczyć i wszystko objaśnić; racz tylko, najoświeceńszy panie, swoje pierwsze wyrazy na wspak wymówić, bo bez tego jest mi niepodobieństwem zebrać zmysły moje.“

— Hola, mości biesiel! mnie kaśzy szydłem jeść nie uczono i wiem to bardzo dobrze, że żądanie twoje na ten a nie inny cel wystósowałeś, abys mógł czmychnąć, — ale wasza djabelska moc przeczekasz się troszeczkę, zanim go z usług moich odprawię. Ja jestem ciekawy i spodziewam się od waszmości wiele rzeczy dowiedzieć. Żeby mnie zaś asindzi nie obełgał, oświadczam, że najmniejsze kłamstwo surowo ukarzę.

— „Ja, najoświeceńszy panie, prawdę nad wszystko miłuję, i jak honor kocham...“

— Spiriantus! nie żartuj zemnie, bo cię natychmiast święconą wodą pokropię.

Djabeł zatrząsł się, kudły mu kołem stanęły i zgrzytnąwszy zębami z rezygnacją rzekł:

— „Pytaj, o co chcesz, panie, — stało się! widzę, żeś nieszczęśliwy i że moja cała nadzieja w dobroci serca najoświecześniejszego pana.“

— Bez tych tytułów, bardzo proszę; zemną można poufać; szczerością i otwartością więcej wskórasz, aniżeli byś pochlebstwem zyskać mógł. Masz, Belzebubie, rozum i węch dobry, zapewne zwierzyłeś, że ja żartować nie mam zwyczaju.

Dobrywszy z pod poduszki szkatułkę wyjąłem z niej papier, atrament i pióra, zapaliłem fajeczkę, objaśniłem świecę, i siadając za stołem rozpocząłem następujący egzamen:

— Zkąd waśc rodem?...

— „Z Warszawy, panie dobrodzieju.“

— To waszmość Mazur; nie potrzebujesz przeto wzorem niemieckich, włoskich lub francuskich Mefistofelesów kręcić i majaczyć, ale winienes gadać, jako polski djabeł, śmiało i otwarcie.

— „Tak, panie dobrodzieju, tylko że to już nie każdemu dzisiaj się podoba, a nawet zupełnie z mody wychodzi...“

— Głupi waść ze swoją modą. Gdzież waść do szkół chodziłeś?

— „Panie dobrodzieju! do żadnych szkół nie chodziłem, mama trzymała do mnie guwernera Francuza.“

— Więc waść umiesz po francusku?

— „Oui, Monsieur, et si vous permettez, je m'expliquerai en francais, parceque cette langue est la meilleure pour exprimer nos sentiments.“

— Za pozwoleniem, będziemy się po polsku rozmawiali: waścy mnie oszołomonił dwuznacznością frazesów nadsekwąskich.

— „*Vielleicht ist Ew. Excellenz der deutschen Sprache mehr geneigt und werden gnädig geruhen . . . .*“

— Nie, mój djable, mnie najmiliej po polsku, i jeżeli wasza czartowska mość w obcej mowie smakujesz, znajdziesz inną razą wielu zwolenników do takiej przyjemności: w rzeczy zaś, jaką my mamy przed sobą, nie widzę żadnej potrzeby cudzoziemców przybierać na pomoc, kiedy się naszą krajową mową rozumieć możemy.

— „Jednakże jest to piękną rzeczą odznaczać się od gminu, i radziłbym panu dobrodziejowi . . .“

— Słuchaj, biesie! jak mi jeszcze raz w mo-

jój obecności wyraz „gmin“ powtórzysz, zaraz, ale to natychmiast pokropię.

— „Przepraszam, najuniżeniej przepraszam, nie znałem nowszych przesądów pana dobrodzieja.“

— Więc ty to przesądem nazywasz? — przekonuję się, że ciebie najsprawiedliwiej porwano do piekła.

— „Panie dobrodzieju! ja sobie tam nie przykrzę, znalazłem mnóstwo przyjaciół i dobrych znajomych; mamy swoje zabawy, — nasze wyobrażenia nie znajdują przeciwników, a nade wszystko jest zastosowanie się do etykiety i do dobrego tonu.“

— Pierwszy raz słyszę, żeby w piekle dobry ton panował.

— O, panie dobrodzieju, dobry ton przykładamy nad wszystko!“

— W jaki sposób przyszedłeś waść do tego zaszczytu, żeś djabłem został? . . .

— „Ja istotnie sam nie wiem, — żyło się podług prawideł świata, podług zasad przyjętych przez większą część ludzi: — bywało żem się ściśle nie trzymał nudnej moralności, że w drażliwych okolicznościach unikałem błędnego uporu tak zwanęj cnoty, — ale iżbym popełnił jakie głupstwo nie przypominam sobie.

— Zapewne zamiast przykładania się do prawdziwego dobra ogółu, o sobie tylko pamiętałeś i to z krzywdą ubogich, nieszczęśliwych; czy cierpiącej ludzkości nigdy w sercu twojem politowania nie wzbudziły....

— „Ja żyłem dla siebie, wyłącznie dla siebie, wesoło i przyjemnie.“

— Więc samolubstwo i rozwiązłość...

— „Tak, po części; przecież głównie jeden z moich czynów, — którym się i w piekle brzydzą....“

— Rozumiem; ale powiedz mi, jakiej manipulacji użyto do wpisania waszeczki w poczet djabłów?

— „Tego się, panie dobrodzieju, nie godzi wyjawiać.“

— Ale ja bardzo proszę.

— „Nie mogę, na uczciwość nie mogę.“

— A to błazen z jego djabelską uczciwością. Czy rozumiesz, że ja z siebie drwić pozwolę? Aby cię przekonać co umiem:

„Spiriantus szolder ad tuum inclitum.....“

— „Najpotężniejszy dobrodzieju stój! stój! na miłość rodzicielską ojca i matki twojej zaklamaną cię, stój!.... brrrm! o ja nieszczęśliwy! powiem, zaraz powiem, o cóż mnie to, najoświe-



ceńszy panie; pytałeś? pamięć ze strachu straciłem.“

— Pytałem się ciebie, w jaki sposób do piekła się dostałeś?

— „Tak było: konając uczulem nadzwyczajne bóle; zdawało mi się, że żywot mój szarpia padalce i żmije, że serce które całe życie było bryłą lodu, w chwili ostatniej płonie nietugasznym ogniem. Sumienie z piersi wbiegło do mózgu i z rozpaczą czyniło zarzuty rozumowi, którego przed chwilą jeszcze wszystkie czyny moje pochwalał; dusza oblana śmiertelnym potem, skurczona i drżąca jęczała okropnie, a jakieś ciemne obrazy trupiami kośćmi snuły się przed memi oczyma grożąc i złorzeczając; — wtém przez bluźniercze usta, rozpychając gardło rogami wpadł wewnątrz mnie kum djabeł, a ujawszy duszę zębami zgrzytnął świstnął i wyleciał przez komin. Deszcz lał strumieniem, wiatr był przeraźliwie; przez pokłady srebra i złota z szybkością piorunu spuszczaaliśmy się na dół; ani gwiazd, ani księżycy, ani słońca nie widziałem więcej, grobowa ciemność osłaniała nas zewsząd. Dopiero czwartego dnia, podobno, że już u was na ziemi trzeci raz kur zapiał uczulem nadzwyczajny upał, gorąco i żar. Mój przewodnik zawył radośnie, żelazne bramy zaskrzyły i wśród pisku

i wrzasku dusz smażonych w kołtach wrzącej smoły stanęliśmy przed Lucyperem. Przez 9 lat gotowano duszę moję w osobnym tyglu, przez rok moczono ją w occie siedmiu złodziei, a następnie wyprawiono mnie na ziemię, w moje rodzinne strony, abym pełnił służbę podług co miesiąc odnawianych rozkazów. Spotkałeś mnie pan dobrodziej, na moje nieszczęście, w tej tu karczemce, spisującego kreski przekleństw, złorzeczeń i bluźnierstw w morze występków tonących ludzi; gdy liczba dojdzie do 777, — dziedzica, któren na 17 włókach ziemi trzecią karczmę postawił i złodziejem obsadził, mam żywcem porwać do piekła, bez odnoszenia na sądy, bo on już dawno osądzonym został.“

— Powiedz mi waszeć, cóż to za kot, który dzisiaj w Miłośnie siedział na kominie?

— „Jest to mój brat djabeł.“

— Czyli w każdej karczmie macie swoje patrole?

— „W każdej, panie dobrodzieju! gdzie tylko kropla gorzałki, jeden z nas być tam musi.“

— A w lesie, gdzie mi się bryczka złamała, czyli waść także albo któren z jego kolegów był obecny?

— „Nie, panie dobrodzieju! to zwyczajny wypadek i nic więcéj; mozesz pan dobrodziej uwa-

żał, że Grzesio na Pradze zawadził o brykę furmańską, przez co osłabił koło i piasty nadłupał, ale te gapie na nas tylko każde złe spędają.“

— Objaśnij mi teraz, Belzebubie, dla czego się szczególnie j karczmami opiekujecie.

— „O, bo widzi pan dobrodziej, w karczmie bywa zawsze wesoło, napotyka się najczęściej dobrych znajomych, — i jakoś pod dachem nie tak się nudzi djabłowi.“

— Spiriantus! gadaj zrozumiałej! chyba, że koniecznie chcesz, abym cię skąpał.

— „Jabym jasnie wielmożnemu panu krwi z mojego palca usączył, tylko się pan dobrodziej nie odgrażaj, — i racz mnie najlaskawiej inaczej nazywać, bo ten wyraz „Spiriantus“ jest dla każdego uczciwego djabła bardzo nieprzyjemnym; nie uwierzysz pan dobrodziej, jak podobna obelga niszczy wszelką życzliwość i odbiera chęć wszelkiego wysłowienia się.“

— Biesie, gadaj bez żadnych wybiegów, bez długich korowodów, — to na nic ci się nie przyda: ja nie podług twojego djabelskiego zapatrywania się na rzeczy, ale podług sądu zdrowego rozumu ludzkiego chcę mieć każdy przedmiot, o który się ciebie pytam, jasno, zwięźle i zrozumiale wytłómaczonym.

— „Więc byłbym przymuszony odbiegać zu-

pełnie od moich zasad, a w takim razie obraziłbym moje przekonanie, moje wyobrażenia — i ściągnąłbym na siebie surową karę Lucypera; wszakżeż już za to, że się dał panu dobrodziejowi schwytać i uwięzić, czeka mnie chłosta nielada.“

— Masz wóz i przewóz; rozumiem jednakże, iż z Lucyperem szczęśliwiej się ułatwisz aniżeli zemną, bo ja krnąbrność twoją w jednej chwili na najpowolniejszą szczerotę zamienić potrafię, i jak się jeszcze jedyny raz w jasnych odpowiedziach wachać będziesz, żadne już twoje prośby nie pomogą, — a co cię czeka, zdaje mi się, żeś zmiarkował. Czy ty sądzisz, że ja tylko jeden mam na ciebie sposób?... mylisz się bardzo. Może życzyłbyś sobie zażyć kropli Asmodeusza...?...

— „O! nie! nie, nie, paniczku, nie, nie, ach mgło mi, mgło! cóż też jegomość zemną dokazuje.“

— Ja cię, kądzu, otrzeźwię; gadajże, dla czego się szczególniej karczmami opiekujecie; a gadaj uczciwie.

— „Trudna rada, — objaśnię pana dobrodzieja jak najmoralniej, jak najuczciwiej: oto, ponieważ w gorzałce jest grób wszelkiej waszej moralności; przez gorzałkę, przez mocne trunki,

przechodzi człowiek w stan zwierzęcy, brzydzi się pracą, unika towarzystw uczciwych ludzi, oddala myśl o swojej duszy, o bliźnim; nie zastanawia się nad swoim przeznaczeniem, — i pijani popełniają najwięcej występków i zbrodni. Dla tego starsi nasi bracia ustawicznie szepcą szlachcie w uszy: postaw karczmę! — bez pracy, za czystą wodę będziesz miał 500, 1000, 2000 do 3000 złp. rocznego zysku; po co wam sobie głowę łamać i mozolić nad staranniejszą uprawą ziemi, nad pilnym hodowaniem użytecznych domowych zwierząt, nad przemysłem rolniczym; załóż szynk, osadź pierwszego lepszego urwisa bez sumienia, bez religii; nie troszcz się nigdy o to, ilu się chłopów przez rok zapije, ile tam bezpraw popełnią; — nie tamuj pijaństwa, ale je taniością gorzałki podniecaj, — a zyskasz pieniądze! pieniądze na zaspokojenie twoich urojonych potrzeb, na ekwipaże, na uczyty, na biesiady, rozpusty, na blask twojego imienia! nie będzie zaiste ten blask trwałym: pierwsza burza zetrze pozłotę, okaże brudy, — ale *czasem* wystarczy i na całe życie.“

— A w miastach, miasteczkach, z jakiejże pokusy tak liczne zakładają szynki?

— „Panie dobrodzieju! wszystko to nasza sprawka; od wyszynku, gdzie żydek na fanty

anyżówkę w blaszane nalewa kwaterki, aż do rzesisto oświetlonych sklepów, gdzie strojne dziewczyny poncz i grok witrijolowanym zaprawiają arakiem, aż do tych handlów win, które w rzemiośle wyćwiczony kiper przez różne zaprawy smaczniejszemi czyni, — wszędzie Lucyper wskazówką lekkiego zarobku wielbicieli złota do podobnych przedsięwzięć zachęca zniewala i z łatwością tysiącami ich znajduje. Kiedy budują narożnią kamienicę, już jeden z nas przed pokryciem dachu, zaczają się gdziekolwiek bądź, chociaż w piwnicach, bo w tym domu chciwy grosza gospodarz, bez naszego wpływu, niezawodnie szynk założy. Na kamienicy narożnej, z kilku stron znaki wzywające, zachęcające, wywiesić można; z trzech ulic widzą czarujący napis: „wódka, araki, likwory,“ albo „handel win“ albo „zimne i gorące napoje, herbata i poncz,“ panie dobrodzieju 70 na 100 stracilibyśmy do roku, gdyby szynkowni nie było. Człowiek trzeźwy, przy największych błędach znajdzie chwile namysłu i zimnej rozwagi; — przeciwnie, używający ostrych napojów, złorzecząc ludziom, jeżeli się jego zamysłem nie wiedzie, zawsze w odurzeniu, brnie na oślepej losu w różne przygody. I kiedy trzeźwy, niestargany na siłach umysłu, wynajdzie prawdziwą przyczynę swoich nie-

szczęść i szuka na przyszłość w sobie samym źródła pociechy i poprawy, tamten, przypisując złe przeznaczeniu, opuszcza ręce i gnije bezczynnością, lub w występku spodziewa się znaleźć pomoc jedyną. Trunkami zbestwiona wyobraźnia chwytą najbrudniejsze żądze rozkoszy zmysłowej, łatwego z bogacenia się — zaspokojenia cielesnych namiętności, podsycania ostygłych, stwarzania coraz to nowych przysmaczków dla skalanego serca, bo łańcuch występków snuje się w ręce ludzkiej jak miękka nić jedwabiu, i dopiero żelazne ogniwa zbrodni swoją ciężkością zwracają waszą uwagę, żeście się z nami zbracili.“

— Aż miło słuchać, gdy prawdę mówisz... Powiedz mi Waści, czy już kiedy zastawiałeś na mnie sidła?

— „Ja pierwszy raz dopiero mam szczęście poznania pana dobrodzieja, ale słyszałem od moich kolegów, że cię nieraz za nos wodzili zwłaszcza na inieninach, które lubisz serdecznie obchodzić.“

— „*Nulla regula sine exceptione*“ nie jestem święty, pamiętam dobrze, mości Mephistophelesie, że mi się zdarzyło w gronie kochanych osób zalać czuprynę, ale zawsze żałowałem że mi się dał uwieść zbyt niemu zapalowi, źle zrozumianej przyjaźni, i nagradzając błąd chwilowy gromi-

łem jawnie i publicznie pijaków. Lecz z innej strony, nie pochwyliłże mnie kóten z twoich braci?...

— „Wiesz to pan dobrodziej lepiej odemnie, że ta plec piękna często panu dobrodziejowi zawadza.“

— Bzdurzysz, mój djable! nie zaprzeczam, zem się winą moich gorętszych uczuć dla płci pięknej często potykał, ale to także niewątpliwą jest prawdą, że drugostronnie przez kobiety wiele zbawiennego zyskałem.

— „Pan dobrodziej mówisz zapewne o swojej najszanowniejszej małżonce — oj! cnotliwe żony, te solą są djabłowi w oczach! Szczyściem dla nas, że takich nie nazbyt wiele; większa część swoją swarliwością przytłumia w mężu łagodniejsze uczucia, wymaganiem strojów wprowadza powolnego małżonka w długi, żądzą zabaw odrywa go od pracy i domowego życia, a niewiernością tworzy taniec djabelski, z którego my wielostronne odnosimy korzyści.“

— Naucz mnie, jak wy to rozpoczynacie takie dzieło nieporozumienia małżeńskiego, które bardzo właściwie tańcem djabelskim nazwałęś.

— „Rozmaicie: kiedy dziewczyna w domu rodziców zły miała przykład, kiedy była wychowana bez bojaźni waszego Boga, — przy

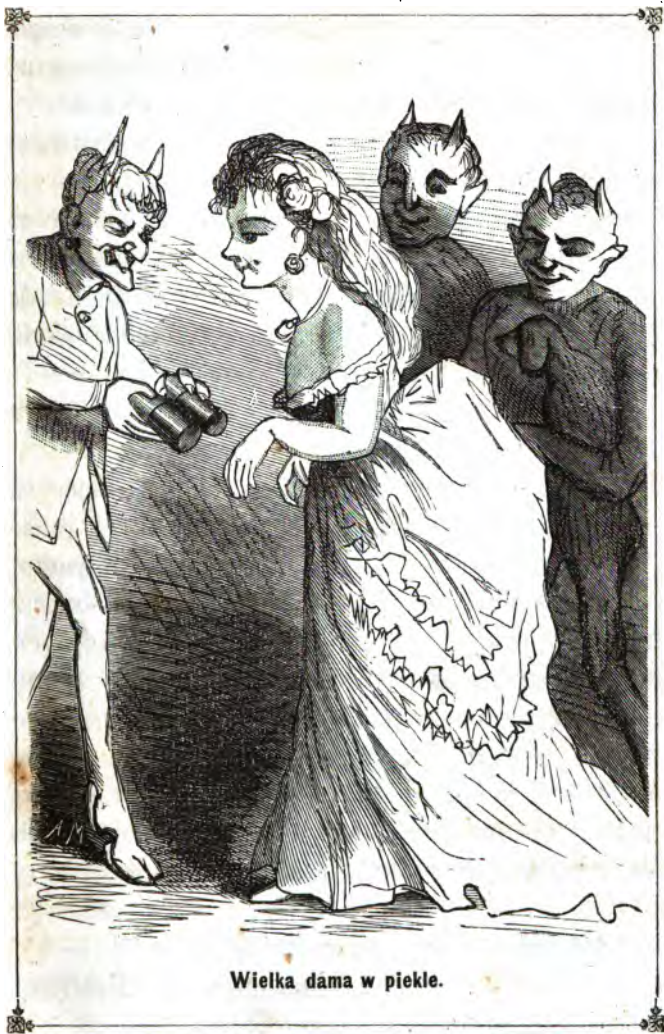


pierwszej sposobności, bez najmniejszej namowy przypnie łatwowiernemu jegomości ogromne rogi, a najgorzej zacząć, to już brnie się coraz to głębiej; — drugie wypadki, kiedy mąż żyje rozwiązle, żonę swoje lekceważy, ponieważ ją i unika jój towarzystwa, natenczas słabych zasad istota chwieje się pomiędzy cnotą a fałszywą nadzieją uprzejmienia dni swoich, — sumienie wrzeszczy i upomina, aż mu gardło zaschnie, — tutaj, już my wysyłamy nasze przyjaciółki, szepną jedno, dwa, trzy słówka od niechcenia, — albo też przedstawiają obszernie, w najpiękniejszym świetle liczne dobrodziejstwa, jakich one doznają, i nierozsądna ofiara zgubnej i niecnęj przyjaźni przechyla się na lewo, upada — i zwykle, z bardzo małym wyjątkiem na naszą własność przechodzi. W trzecim rzędzie mieszczą się te przemądre niewiasty, które przez spaczony i najbłędniejszy rozumowania dochodzą do tego stopnia, że wiarę mężowi za bigoteryą uważają; choroba takowa nigdy uleczoną nie bywa, ich dusze stają się najmilszą naszą zdobyczą. Czwar-ty a najliczniejszy rodzaj, są to te gąski, które każdemu słówku zalotnego młodzieńca ślepo wierzą: powie jój pierwszy lepszy gawron, że bez niej żyć nie może, onaby z czułości swojego Boga się wyparła; — przyjdzie wymuskana lalka z mle-

cznym wąsikiem i wyrzecz z westchnieniem, że piękniejszej istoty nie widział na świecie, że jest czarującą, że zachwyca i zniewala zarazem, że bóstwa jest obrazem, — gąska łyzy leje, odpisuje na bileciki, nie może się wstrzymać, aby nie stanąć w umówioném miejscu, — zapomina o wszystkich obowiązkach i lgnie jak mucha na lep; — dopiéro, gdy ją lekkomyślny zwodziciel porzuci, gdy ją zniesławia, gdy nią cnotliwy mąż pogardzi, gdy ją odepchnie od siebie, gąska widzi się w przepaści najczarniejszych następstw, rozpacza na bezdrożu znajduje nas z pociechą, stokroć okropniejszą od jój dawniejszych występków. Za takie gąski nie wiele nam Lucyfer nagradza, — bo to lekki towar; w piekle obok należytój a często powtarzanój chłosty używają je do kuchni, do prania i do tym podobnych posług: młode biesy mają z nich jedyną zabawę, trąbiąc im ciągle w uszy: „Pani jesteś bóstwem, pani jesteś królową! różą! perłą! kolibrem! sylfidą! — kibić pani jest morzem upojenia! oczy sztyletem! — i niezliczone jeszcze głupstwa i brednie. Trafia się czasem, że gąska jest uparta i nieco roztropna, słówkom nie wierzy, biletów nie przyjmuje a jednakże przy wszelkiej ostrożności chętnie widzi wielbicieli, — w tym razie posyłamy szczwanego lisa, najprzewrotniejszego

zalotnika. Takowy panicz zawiera nibyto szczerą przyjaźń z mężem, względem pięknej gąski długo zostaje obojętnym, nie chwali wdzięków, nie czyni uprzedzających grzeczności, — gąska się gniewa, czuje się jakoby upokorzona, pragnie pokazać, że na nią bezkarnie patrzeć nie można — i bez wiedzy, co czyni, stara się podobać przyjacielowi jej męża, my też rozmaitemi drogami dmuchamy na tę początkową iskrę próżności niewieściej. Zwolna szpak, pod osłoną przyjaciela domu, zaczyna się mieszać do szczegółowych spraw małżeństwa: — staje się uprzejmym dla pani; łaje męża, sprowadza takie okoliczności, w których może coś niekorzystnego o jegomości powiedzieć, przezornie odsłania jego słabą stronę i krętą ścieżką zyskawszy ufność, przyjaźń, miłość ostrożnej gąski wyprowadza ją w pole podłości, na którym my jejność już naszą chwytną. Znudziłbym pana dobrodzieja, gdybym miał wszystkie odcienia łatwowierności kobiet wyliczyć, — próżność jest ich bożyszczem, przez próżność popadają one w nieskończone błędy, śmieszności, aż do występków i zbrodni. A cóż dopiero rzec o wielkich paniaach, o białogłowach z wielkiego świata, o tych istotach, które napuszone zaszczytami swych mężów rozumieją, że im wszystko wolno, że rzucając okrawki

zbywające od przepychu i zbytków na jałmużnę dla nędzy, albo na pobożne podarki, — że przez to lekką w ich mniemaniu winę, — winę wiarołomstwa dostatecznie zmazały; my ich też z takiego błędu nie wywodzimy, owszem rozmaitemi sposobami utwierdzamy je w tém przekonaniu, że im wszystko wolno. Pan dobrodziej nie uwierzyś co to dla nas za rozkosz, gdy taką magnifikę ubrylantowaną, w blondynach, w aksamitach, wprowadzamy do piekła, o! wtenczasto jest sposobność popisania się z naszą kawalerską galanterią: jeden odbiera szal, drugi podaje lornetę, trzeci częstuje lodami, piąty pieści się z angielskim wyżełkiem pani hrabiny, — sam Lucyper kłaniając się zapewnia, że jaśnie wielmożna pani przesłicznie wygląda, rozmowa toczy się w francuskim albo w angielskim języku — dopiero gdy dyżurny djabeł nadejdzie i schwyci jaśnie panią za barki i wlecze ją do kotła, wówczas śmiech i hałas wszczynają się pomiędzy nami. Jak za życia w strojach i w przepychu jedyne znajdowała upodobanie, tak ją też z brylantami, z blondynami, z aksamitami, pakujemy w kocioł, — ale zawsze ma się wzgląd na delikatność nerwów, i kocioł nalewa się nie gminną smołą, ale terpentyną i rozpuszczonym ołowiem, — taka mieszanina



Wielka dama w piekle.



kipiąc i sycząc przejmie wskrós, chociażby najzuchwalszą duszę.“

— Dla czego wy się tak osobiwie nad niemi pastwicie?...

— „Dla tego, że one miały pole dobrze czynienia, ich umysł nie był grubą niewiadomością pokryty, znały one, co złe, co dobre, ale zbytciem przetuczone panie zapomniały, że godność ziemską od kary za zbrodnie nie zasłania.“

— A cóż angielski wyżelek winien, że go z panią do piekła przynosicie?

— „Piesek istotnie nic nie winien; prawda, że częstokroć za kosztowną żywność bezużytecznej sobaczki mogłaby była pani hrabina jednego nędzarza zgłodniałe dziecię nakarmić; prawda, że on przez swoje przymilania się i lichowie, jakie posługi, odwoził serce swój pani od uczuć ludzkich; jednakże zważając, że to jest bezrozumne zwierzątko, kary nań nie wymierzamy, — tak sobie chodzi po piekle, dopóki któren z nas w postaci dandego nie wyjeżdża na ziemię do odgrywania wskazanej mu przez Lucypera roli błazeńskiej, wówczas zabiera się i piesek.

— Dobrze, żeś mi wspomniał — jaki téż jest twój sąd o naszych dandych?

— „Nie warto, panie dobrodzieju, i śliny fa-

tygować; nadto na mnie już czas, — powiedziałem jasnie wielmożnemu panu szczerą prawdę we wszystkim o co się zapytać raczyłeś, nie skłamałem ani słówka, zgrzeszyłem przeciw Lucyperowi niepospolicie; — spodziewam się więc, że pan dobrodziej na ten raz mnie uwolnić raczy, a ja w każdym zdarzeniu stawię się bezawodnie na rozkazy jasnie wielmożnego pana, i żeby pan dobrodziej nie myślał, że tylko obietnicami ludzię, daję słowo uczciwego djabła...“

— Czyś zwaryjował, czyś pijany?!

— „O nie, panie dobrodziej! ja prócz jednego kubka smoły nie dzisiaj w ustach nie miałem, ale jutro umiera o 40 mil ztąd były adwokat, którego trzem wdowom wydarł ich całe majątki: którego 20 sierót pozbawił najpewniejszych kapitałów zniosłszy się z ich opiekunami: którego nigdy, chociażby szło o szczęście całego życia jego klienta, nie ukończył sprawy w jednym roku, ale ją rozciągnął na lat 2, 3, a czasem na lat kilkanaście; naśmiewał się ze swoich kolegów, którzy w obronie pokrzywdzonych niebiańską znajdowali rozkosz, którzy z niewiadomości i z nędzy bliźniego korzystać nie chcieli, którzy w mętnej wodzie ryb nie łowili, ani też nie znali tego łotrowskiego przysłowia: „drzyj łyka, póki się dadzą,“ — a i w domowym poży-



ciu był niegodziwcem i hultajem, jakich mało. Jego duszę mnie rozkazano zanieść do złotego obłoku, — pewny jestem, że ją i do piekła odniosę, bo ile razy nam przewóz duszyczki powierzają, nigdy takowego towaru nie zatrzymują w niebie, — jedyny raz tylko nie oddano mojemu koledze duszy pijaka, którego pomimo mnóstwa grzechów od mąk piekielnych uwolnionym został, a to przez zasługę, że był prawdziwym poetą — i swoją poezją zapalił w łonie całego narodu żądzę cnót wielu. Lecz mniejsza tam o jednego, wielki poeta na sto lat wystarczy, a tych gryzypiórów, bazgraczy, tandeciarzy, kopami bierzemy do piekła: głupcy niemoralność w głupsze od nich głowy najczęściej zaszczepiają.“

— Więc waszmość znasz się i na literatach? a w to mi graj! takiej posługi szczególniej potrzebuję. Pokażę ci kilku autorów na wsi piśzących, objaśnisz mnie z ich zdolnościami; w Warszawie spiszesz mi z treściwem objaśnieniem całą czeredę płci męskiej i żeńskiej do sławy autorskiej prawo sobie roszczącą; radbym niemniej mieć od ciebie sprawozdanie literackie z Poznania, z Krakowa, ze Lwowa, z Podola, z Ukrainy i z Wołynia, z Wilna i ze Żmudzi, zgoła z każdego zakątka, gdzie tylko naukowa fermentacya obecnie się pojawiła.

— „Mniejsza o to; znam ja miejscowe jenu-sze naszego stulecia bardzo dobrze; w odleglejszych okolicach moi koledzy poinformowaliby mnie bezwyjątkowo o każdym autorze najdokładniej; — nadto, że wszystkimi pisarzami roman-sów jestem w ścisłej przyjaźni, często zdarzy mi się, że śmielsze ustępy poczynającemu powieścio-pisarzowi sam skreślić muszę i w przedmiotach wyłącznie historycznych, autorom pomocnym by-wam; — o gorzelnictwie, o zastósowaniu wywa-rów na karmę dla ludzi roboczych, to ja, panie dobrodzieju, pisałem; — każdy system filozofi-czny potrafię panu dobrodziejowi przenicować, na jaką chcesz panie barwę, jakkolwiek nie prze-czę, że czysta filozofia wyrządza nam, panie, psoty bardzo znaczne; Lucyperowi wspomnieć o prawdziwym filozofie, któren przez potęgę sil-nego rozumu pojął najwyższe przeznaczenie czło-wieka na ziemi, można go do szaleństwa przypro-wadzić i dla tego mamy polecenie czernić i spo-twarzać takowych mędrców; natomiast niedowa-rzonych filozofów, którzy się w labiryncie myśli niepojętych błąkają jak owce, tych, panie do-brodzieju, przedstawiamy ludzkiej publiczności z wielką skwapliwością, aby podług nich świat o filozofach sądził. Nowocześnie nakłoniliśmy kilka postrzelonych głów, które przeciw filozofii

pod płaszczem źle zrozumianej moralności wystąpiły jawnie i publicznie i chępią się ze swojego głupstwa, chwając pokorę rozumu.“

— Dařmo się kusicie, postęp rozumu ludzkiego nie cofa się; — przestało być tajemnicą, że wy djabli jedynie rozsądne światło przytłumić usiłujecie, — dzisiaj niemal kaźden człowiek wie już o tém, że światło i ciepło stanowią życie, — ciemność i zimno śmierci oznaką.

— „A więc w piekle spodobałoby się panu dobrodziejowi, gdyż światło, to jest ogień, trwa u nas wiecznie a na brak ciepła jeszcze się nikt nie uzał.“

— Spiriantus! za wyrazy nie podchwytnij, bo to tylko żaków jest przymiotem, ani ich też krzywo nie tłumacz; wiesz ty dobrze, że o świetle umysłowém i o miłości bliźniego mówiłem; raczej mi powiedz, któżto tych niedowarzonych półgłówków poduszczca, którzy nowocześnie z udaną prostodusznością o potrzebie pokory rozumu rozprawiając wieki średnie z grobu chcą wskrzesić.

— „Ja panu dobrodziejowi szczerze i obszernie rzecz tę wyjaśnię, ale na to trzeba nam wolnego czasu, a ja muszę się spieszyć do owego b. adwokata. Lucyper czeka na niego od dziesięciu lat jak matka na powrót syna pie-

szczoszka, i niechbym mu tę czarną duszyczkę z rąk naszych wypuścił, jużbym chyba przez 30 lat winy mojej nie odpokutował. Za szczerość, z jaką panu dobrodziejowi na jego pytania odpowiadałem, będę przymuszony ucześnieć przez jedno półrocze na prelekcyę obłudy; to zaś najnieprzyjemniejsza, że tę naukę nie starsi djabli ale czarownice, niegdyś dewotki, zbyt nudnie wykładają; ale jużbym ja potrafił wykręcić się od tej kary, bylebym tylko z tym byłym adwokatem dobrze się sprawił.“

— A cóżto? — czy wam tak skapo o adwokackie dusze?

— „W porównaniu z innymi stanami mamy liczbę nieostatnią, — pomimo, że wielu bardzo z nich przez sumienne wykonywanie swojego pięknego powołania zupełnie się nas ustrzedz potrafią. Teraz właśnie zbywa nam na dobrym prawniku do ułożenia nowego kodeksu w Algierze i w Chinach, a wszyscy, co byli w piekle, wysłanymi zostali na poduszczenie usłużnych nam piniaczów, tak, że gdy Lucyfer w przeszłym tygodniu miał proces o duszę pewnej rozwódki, w braku praktycznego jurysty musiał dać pleni-potencyą filozofowi XVII wieku, który u nas przez 50 lat drzewo rąbał i w piecach palił, bo dureń do niczego więcej zdatnym nie był, — za

życia wykladał z katedry, że *przedmiotowość umu nie jest absolutną.*“

— Później pomówimy o filozofach; teraz Spiriantus przemienisz mi się w człowieka w porządnym ubraniu, postarasz się o pościel, rozbierzesz się i położysz się spać, iżby jutro gospodarz i gospodyni rozumieli, żeś ty w nocy przybył, i że jesteś podróżnym.

— „Panie dobrodzieju! jakżeż można być tak okrutnym! A toćże ja będę najnieszczęśliwszym z diabłów, jeżeli tę duszę postradam.“

— Nie bój się, ona trafi bez ciebie...

— Tak, być to może, ale jednakowoż mógłby się zdarzyć przypadek; — w godzinę śmierci może się odezwać sumienie, gotów wynagrodzić pokrzywdzonych, resztę rozdać pomiędzy ubogich, i widzi pan dobrodziej, jużby za to w niebie mieli wzgląd na niego, i możeby się potrafił wysliznąć od kary. Z panami prawnikami ostrożnie potrzeba. Oto powiem panu dobrodziejowi: Dawnemi czasy jeden z sędziów piotrkowskich żywcem porwany do piekła, zrobił Lucyperowi proces o gwałt, i co pan dobrodziej powie, wygrał w 1-jej instancyi, w 2-jej już z czyszcza odpowiadał, dopiero w najwyższym sądzie potępiony i napowrót zwrócony nam został. — A o bagatelę tylko zahaczył, dowodząc, że umarł w sądny dzień ży-

dowski, że djabł, któren z niego duszę wyciągnął, miał już trzy dusze żydowskie na ramieniu; a jest prawo na Lucypera, że potępionych chrześcian z żydami mieszać nie powinien.

— A to czemu? zły chrześcianin bywa gorszy od najgorszego żyda.

— „Prawda, panie dobrodzieju, — ale żydzi mają swoich osobnych koszernych djabłów, za to też żydowskiemu biesowi, podług przepisów wara od chrześciańskiej duszy.“

— Więc ów piotrkowski sędzia niesłusznie przegrał w najwyższej instancyi.

— „Słusznie i niesłusznie, bo on nie był ani żydem ani chrześcianinem, — nosił płaszcz na dwóch ramionach. Gdyby on był, panie dobrodzieju, po wychrzczeniu się — na czysto waszą wiarę chrześciańską wyznawał, byłby był wygrał, jak dwa a dwa są cztery, — ale fałszywy emigrant w tym razie podrwił głowę.“

— Przemądrzałych taki zwykły koniec; tym czasem jednakże oczy mi się kleją, trzeba się wyśpać, panie djabło, jutro pomówimy więcej; pojedziesz ze mną do braci szlachty wiejskiej, napijesz się, najesz się, i zrobisz może jaką pożyteczną dla siebie znajomość, a mnie objaśnisz w niektórych szczegółach owę wielką pocziwość.

— „Pan dobrodziej także umiesz i z miłej

strony zachęcać; powiem zatem panu dobrodziejowi prawdę: — przy onym adwokacie już jest trzech biesów, a on dopiero za cztery tygodnie umierać ma, — ja jeno chciałem podejść moich kolegów i pewnym fortelem uprzędzić ich, przez co byłbym sobie — u Lucypera wielką zjednął zasługę; lecz kiedy mnie pan dobrodziej pomiędzy szlachtę zawieść chcesz, to może być, że sobie wynagrodzę stracone korzyści.“

— Proszę! jaką ty, biesie, masz ochotę do szlachty. Lecz nie traćmy czasu, już świta zaranie.

„„Spiriantus! hocus! pokus! horpiacum! hodacum! Spiriantus! zamień się w postać ludzką.““

— „Najniższy sługa pana dobrodzieja, oto jestem na rozkazy; imię mi Edwin, nazywam się Zbrodniewski herbu Łotrzyk, moja mama Intryżanka z domu.“

I stanął przedemną w pięknym ubraniu urodziwy młodzieniec.

— Witam pana Edwina Zbrodniewskiego! Bardzo zgrabnie wyglądasz, popraw tylko czupryny, bo końce rogów ci widać, a i z tyłu coś nakształt ogona się pokazuje, i te stopy są zbyt okrągłe.

— „Nie obawiaj się pan dobrodziej, przytomnością umysłu wszystko pokryje.“

— 22 Maja o pierwszej z północy. — Wczoraj równo ze wschodem słońca wyjechaliśmy z noclegu. Pawełkowi i Grzeli powiedziałem, że pan Edwin, którego zabieram, jest podróżny literat, szukający starożytności krajowych. Cztery mile za Siennicą, — (miejsce i osób po ich prawdziwym nazwisku wymieniać nie będę; gdzie dla gładkości opowiadania wypadnie, użyję imion zmyślonych, a chociaż się każdy pozna w swoim obrazku, wdzięczności mi przynajmniej będzie, że go obcą nazwą zasłonił) — w Pakułach pan Oślikowski zapominając, że mi w roku zeszłym na jarmarku w Łukowie kulawego konia pod słowem honoru za zdrowego sprzedał, przyjął nas z szaloną radością. Hałas powstał w całym domu, jakby się paliło; jejmość z córkami uciekła do sypialni, iżby zamiast usnolonych strojne włożyć sukienki; jegomość zrzuciwszy grubo watowany i srodze zużyty szlafrok, w naszej obecności wrzucał się w porządniejsze ubranie, wołając donośnie:

— „Przepraszam, przepraszam! a to mi gość niespodziany! Hej, Janie! niechaj Mateusz wyda obroku dla koni, bryczkę wtoczyć na wozownię. Hej, Janie, Janie! zawołać ze stodoły kucharza, mogą w tém klepisku młócić bez pilnowania. — Cóż to? nie dałeś mi parzystych ciżemków? —





Pan Oślikowski.



Jejmości prosić, aby się długo nie stroiła. Panowie wybaczą, a nie raz mówiłem, gdzie panny na wydaniu, zawsze powinny być czyste sukienki... Zaraz panom służyć będę... Podaj mi atlasową chustkę na szyję, — panowie przebaczą, zem nie ogolony, człowiek przy gospodarstwie... Mój Boże! dopóki byłem kawalerem... Weronika! słyszysz kołowata, połóż ten czepek, przynieś mi wody, ja jeszcze się nie umyłem, — jakoś przy gospodarstwie człowiek nie ma czasu się i umyć. Darujecie, panowie! zaraz podadzą wódeczki... Panowie zziębli? "

*Edwin.* O tak, przezacny panie, jechaliśmy pod wiatr, a deszcz zaczął w oczy, nie żawadzi kieliszek anyżówki.

*Oślikowski.* Zaraz, zaraz... a to istotnie gość niespodziany.

Wkładając drugą rękę poza rozdartą podszewkę, wybiegł z pokoju.

*Edwin.* Poczekamy z półgodziny; ręczę, że w tym rozhovorze klucze od szafki zgubili; złaje żonę, zelży córki, wybije Weronikę, i dopiero pošlą po kowala, aby zamek odbił. — I zgadł djabeł co do joty; najprzód słyszeliśmy przez cienkie ściany: „Klucze! klucze! gdzie jejmość klucze podziała! ” — potem: „a do rejment djabłów, gdzie klucze?! ”

„Ja tam twoich kluczy pilnować nie będę. Weronika wyprasuj mi haftowany kołnierzyk“ — „mnie tę jedwabną chusteczkę“ — „i dla mnie pelerynkę.“ — „Tylko się spiesz, Weronisiu.“ — „Ja kluczy chcę, bo wam te wszystkie tiule na ogień wrzucę.“ — „Zawsze byłeś i jesteś imper-tynentem.“ — „Ale ja jejmości powiadam, że kluczy! natychmiast kluczy! potrzebuje.“ — „Emilko, poszukaj ojcu kluczy.“ — „Papo, może to te klucze?“ — „Zwaryowała, a ja chcę kluczy, od szafki, gdzie mam dubeltową wódkę.“ — „Nie ma już téj dubeltowej wódki, wypił resztę pan porucznik.“ — „Niedobra kobieto, kiedyś ty też resztę wódki wyczęstowała!“ — „Papo, jest jeszcze w oplatanéj butelce likier różowy z imieniem mamy.“ — „To także trzecia głupia, słodkim likierem jak na muchy każe mężczyznę częstować, jeszcze byłego żołnierza, a i ten drugi marsowaty kawaler...“ — „Mężu, czy ty wiesz, że on kawaler?...“ — „Bodajże ci się język przekręcił z twojém pytaniem, ja kluczy chcę, a ona się wywiadauje, czy on kawaler, — mówię *kluczy!*“

Potém zaczęli odstawiać kufry, szafy, łóżka, jegomość pokłócił się z jejmością *de grubis*, panny płakały; Weronika wracająca po sukno do prasowania dostała w policzek, jegomość wydarł jój żelazko z ręki, uderzył niém o ziemię, wypadł na

dziedziniec wrzeszcząc co gardła: „Bartek, Bartek!... a zawołaj mi tam kowala, niechaj zaraz przyjdzie otworzyć szafę, bo klucze zginęły, a spiesz jeno się, spiesz!”

Odrzekłbym się i dubeltowej wódki i całej gościnności pana Oślikowskiego, i gdyby Grzela nie był już wyprzął koni, możebym był odjechał bez pożegnania. Edwin śmiał się do rozpuku i zacierał ręce. Mocne uderzenia młotem przekonały nas, że kowal ślusarstwa nigdy się nie uczył: pękły drzwi, — jegomość potraçał szkło, krzyknął: „Janie, kieliszka!” i wszedł do pokoju z dwiema butelkami w rękę.

*Oślikowski.* Panowie darują, ale chyba z araczkiem zmieszamy, bo likier za słaby.

*Edwin.* Sam araczek podobno będzie najlepszy.

*Ja* (do Edwina). Mylisz się pan, — jest to bardzo szkodliwy trunek, napijemy się likieru.

*Oślikowski.* Ale panie majorze, jakżeż można sam likier...

*Ja.* Bardzo proszę o sam likier.

*Oślikowski.* Już to pan major znowu kilka lat w mieście przywykłeś do tych słodczy: chociaż jedną kropelkę.

*Ja.* Dziękuję, ani kropli.

Wtém ukazała się z najmiłszym uśmiechem

na twarzy gospodyni domu, pani Oślikowska, i dwie mocno wysznurowane córeczki, zupełnie młode dziewczątka, ale już panienki na wydaniu. Edwin, jak uważałem, podobał się mamie od razu. Panienki się zarumieniły, oczki na dół spuszczać, i tylko z ukosa (ale wyłącznie także na Edwina) od chwili do chwili spozierały. Mnie więc pozostał Oślikowski, który też chętnie i skwapliwie ucho moje na całe przedobiedzie zadzierzał. — Opowiadał mi nowiny, które przed trzema miesiącami w gazetach czytałem; zapewnił mnie, że skoro odbierze spadek po swojej ciotce na Podolu, która i w trzecim małżeństwie jest bezdzietną, przyczem genealogią dwóch nieboszczyków i żyjącego wuja obszernie przytoczył, natychmiast postawi na granicy od Paźdźierza karcznię; że przypozowie sąsiada o półtoręj morgi leszczyny, że powydaje córki za mąż, i że chce odpocząć na stare lata.

— A przecież pan dobrodziej w samej sile wieku. Ileż sobie, panie, lat liczysz?

— Tak na pamięć nie wiem, — urodziłem się na trzech Króli 1800 roku.

— A proszę pana Oślikowskiego to krótka rachuba; weź pan dobrodziej krédkę, napisz u góry 1841, pod spodem 1800 — i odciągnąć: zero od jednego jeden, zero...

— Nul się mówi panie dobrodzieju.

— Zgoda, niech będzie nul; zaczniemy więc od początku: nul od jednego jeden, nul od czterech cztery, a zatém pan dobrodziej ma 41 lat, a że od trzech Króli upłynęło już miesiące 4, dni 16, przeto dzisiaj liczysz pan wieku swojego lat 41, miesiące 4, dni 16.

— A tak, tak; mój Boże! dawniej człowiek z książką wstawał, z książką jadał, z książką się spać kładł, — a teraz przy gospodarstwie już matematyki zapomniał! Ale nie dziw; od ożenienia się zupełnie się człowiek w naukach zaniedbał.

— A dawno się pan dobrodziej ożenił?

*Oślikowski* (do żony). Nunciu, dawno my się pobrali?

*Oślikowska*. Nie prowadzę kalendarza, ale łatwo policzyć Stefcia ma lat 14...

*Oślikowski*. Ba, ba! cóż znów gadasz, toćże młodsza siedmnasty zaczęła.

Nie wiem, jakiby ta sprzeczka obrót wzięła, szczęściem chłopak wyrostek otworzył drzwi i do obiadu zaprosił, a że i panna Eugenia na małej klawikorcie wielką uwerturę już odegrała, udaliśmy się więc, nie bez wielkich ceremonii, na salę jadalną, która miała rozmiaru 6 łokci w szerz i 5 łokci wzdłuż.

Po obfitem jedzeniu, za które Oślikowscy 10 razy niepotrzebnie przepraszali, po kilku toastach za zdrowie szanownych gości, czegośmy jednakże przed zdrowiem pani domu, a następnie pięknej konsolacyi w żaden sposób przyjąć nie chcieli, — po czarnej kawie, i po jednym jeszcze kieliszku na słodką pamięć miłej z panem Edwinem znajomości, — trzykrotnie upewniwszy, że nam jest bardzo pilno, obdarzeni zbyt czułymi uściskami, wyjechaliśmy z Pakuł o trzeciej z południa.

— I cóż mi powiesz o tych ludziach?

— „Oślikowski jestto sobie głupiec z najlepszym sercem w świecie. Było ich siedmiu braci... rodzice nie naglili żadnego do nauki, i ledwie że który trzecią klasę ukończył, obsadzili zaraz na dzierżawie, i o ile możność dozwalała, najspieszniej żenili, pragnąc za swojego życia wszystkie dzieci postanowić — i szczęśliwie się im powiodło... bo obywatelstwo istotnie siedmiu rodzinami Oślikowskich zwiększone zostało. Wprawdzie pan Bonifacy, u któregośmy co dopiero byli, bezpośrednio korzyści niewiele dla nas rokuje — bo to ni pieczone ni warzone, a nawet w karty nie grywa, i dla słabego organizmu płuc pić wiele nie może, ale bezpośrednio i on i jego bracia i jemu podobni obywatele wielkie wyświadczają usługi.“



— Powiedz mi, Spiriantus, jakiego to rodzaju te wielkie usługi?

— „Oto widzi pan dobrodziej... ci ludzie zajmują stanowisko, z którego mogliby sprawom naszym niezliczone czynić przeszkody, lecz oni szanując moc czarta — nie chcąc się djabłom narażać — drzemią w najniedołężniejszej obojętności — a to tchnienie ich roślinnego życia jest to tą pośrednią, wielką, niezmierną usługą dla Lucypera.“

— A jejmość?... a córeczki?...

— „Pani Nimfa jest naszą niezaprzeczoną własnością; — co do córeczek, gąski, panie dobrodziej! starsza jednakże jeżeli dostanie rozsądnego męża, może być najlepszą żoną, — natomiast młodsza wdała się zupełnie w mamę; i czy uważałeś pan dobrodziej, jak oczkami strzelała zaczepnie. Będzie to z czasem dla nas djabłów smaczna potrawka; dzisiaj jeszcze niewiniątko, bo mama całą kontrabandę wyłącznie dla siebie zagarnia.“

— Powiedz mi, czy przypadkiem nie byłeś w tej oto wiosce na lewo, z kądem czerwone dachy tak dumnie z pomiędzy walących się chałup wyglądają?

— „Czy ja tam byłem?... nie raz, ale sto razy.“

— A któż tam mieszka?...

— „Pan! wielki pan! długów ma po uszy, bale co tydzień; — z żoną w rozwodzie, syn za pożyczone pieniądze wyjechał do Wiednia, papka wybiera się do Drezna, ale mu jeszcze na zawadzie termin subhastacyjny dóbr jego, który gdy szczęśliwie usunie przez zwalenie taksy, wzięwszy od dzierżawcy na rok trzeci pieniądze z góry pryśnie do Saksonii, zgra się co do grosza, zadłuży się w sposób najgwałtowniejszy, zmartwi się i umrze na plaurę; nie będzie go za co pochować. — Wdowa rozpocznie proces z wierzycielami męża, lecz w Dobroczynności zakończy życie oplakując syna, który ożeniwszy się w Medyolanie z bohaterką sztucznych jeźdźców, sam także konnym bohaterem zostanie, bo od młodości miał wstręt do piechoty. W ogólności spodziewamy się z tego pałacu nie jednej korzyści.“

— Otóż się nie ciesz zawczasu, bo ja przestrzegę nieszczęśliwego, — upamięta się, pogodzi się z żoną, syna z podróży odwoła, do Drezna nie pojedzie.

— Gdybyś, panie, 12 adwokatów paryzkich i nieboszczyka ojca z grobu do pomocy zawezwał, gdybyście rok cały nad nim pracowali, — na nicby się to wszystko nie przydało, — bo w jego głowie i w jego sercu pusto i zimno, jak w roz-

walonej lodowni, dla robactwa stojącej otworem. Brudne namiętności wgryzły się w duszę jego, najnikczemniejsza zmysłowość zaraz w młodzień-  
czych latach pożarła sumienie, rozsądek i uczci-  
wość nigdy tam schronienia nie miały, gdyż  
fałszywa ambicja, skoślawiony punkt honoru,  
na rodowodzie tylko, a nie na szlacheckich czy-  
nach opierające się, — chęć górowania, czczość  
umysłowa, pycha i nędzna duma wzdeły tę pierś  
blaszkami pokrytą...“

— Przestań, Edwinie, znam ja podobne po-  
czwary; czyż nie możesz mi piękniejszych wska-  
zać obrazów?

— „Napotkamy i rzeczywiście zacnych i szla-  
chetnych obywateli; — teraz każ pan dobrodziej  
jechać drożyną na prawo, z poza tego brzożowego  
lasku dochodzi uszu moich jakieś palenie z bi-  
czów, niezawodnie jest tam zjazd szlachecki, uczta  
albo bachandrya.“

— Właśnie na tę uroczystość proszony je-  
stem; są to imieniny pani Maglewiczowej, znam  
ją od dziecka, z mężem chodziłem do szkół, z da-  
leka mi więc bądź w tym domu; pozostaniesz  
w zajezdnej stajni, i abys mi się nie ważył poka-  
zywać we dworze.

— „Najprzód w obecności pana dobrodzieja  
nic złego przedsiębrać nie odważyłbym się; po-

wtóre: ja się dopóty od osoby pańskiej odczepić nie mogę, dopóki wiadomych wyrazów na wspak wymówić nie raczysz; potrzebie: chciałeś mnie pan dobrodziej zawieść pomiędzy szlachtę, słowa swojego cofać nie zechcesz.“

— Prawda, a więc wezmę cię z sobą. Ale pamiętaj, gdybyś tam chciał kogo do gry, do pijanstwa namawiać, gdybyś mi zacne niewiasty bałamucić chciał, — nie zważając na wstyd, jakiby cię spotkał, wśród wszystkich publicznie ukarzę.

— „Jak papę Lucypera kocham, będę grzeczny i skromny.“

— Pamiętaj, że dotrzymam słowa.

— „Zastósuję się do rozkazów pańskich: ale jakżeż na imieninach nie pić?... mógłbym popaść w podejrzenie, że nie jestem obywatelem, zem złego urodzenia, zem temu domowi niezyczliwy, że w sercu nieprzyjazne żywię zamiary.“

— Wolno ci pić tyle, ile drudzy pić będą, ale ze swój strony nie zachęcaj i nie kuś.

— „Co pan dobrodziej mówisz, ja sam rad będę, jeżeli obronną wyjdę ręką, bo to już nie raz się zdarzyło, że na imieninach, w starodawniej gościnności domu i djabła panowie szlachta przepili, — a Lucyper za taką słabość chłoszcze przykładnie.“

— Więc i djabłom nie wolno się upijać?

— „Nie, nie wolno, panie dobrodzieju. Lucyfer twierdzi, że po pijanemu zaniedbuje się służby, i że często można wpaść w dółek, któryśmy dla drugich wykopali. — Już mnie samemu zdarzyło się, że przebrawszy miarki, popełniłem okropne głupstwo: oto proszony w Krakowskim na wesele do bogatego kmiecia, przez dwa dni w postaci dworskiego hołysza, różne płatałem figle; darły się chłopcy za łeb, zmawiały się na niewiarę niewiasty, a ja tymczasem uwodziłem pannę młodą. Wszystko szło po mojej woli, — kiedy nad rankiem trzeciego dnia, naglony szczeremi prośbami rozochoconych Krakowiaków, palnąłem duszkiem pół garnca miodu, nie wiedząc, że był starszy od gwardyana, po którym sołtys, jako najbliższy nieboszczyka krewny, niepozorną beczułkę w spadku odziedziczył był, a dzisiaj weselnym gościom wystawił. A że już trzecią noc nie spałem, że się już wypilo kilkadziesiąt półkwaterków gorzałki i kilkanaście stóów jałowcowego piwa dubeltowego, — cóż pan dobrodziej powie, straciłem równowagę rozumu, — całuję się, ściskam z organistą i proszę go, aby wylał święconą wodę z kamiennego garnuszka, który przy drzwiach kościelnych był umocowanym; organista, któremu się kurzyło z czupryny jakoby

ze słodu na lasach, chwytła mnie za szyję i ciągnie do drzwi, wołając: „Dobrze, bratku, dla ciebie wszystko uczynię,“ — jakoż uczynił pijanica, bo święconą wylał mi za kołnierz! Możesz sobie pan dobrodziej wystawić, jak ja tam wówczas ryczałem; — całe wesele, jakby wymiółł; skacząc z najokropniejszego bólu, pułap, komin, chałupę rozwalilem, — i dopiero na Łysiej Górze cioty i czarownice obłożyły moje rany żółcią i śliną kłótliwą dewotki, co mi nieco ulgi przyniosło.“

— Widzę, że pan Zbrodniewski był już w tarapatach.

— „Przykra to służba, panie dobrodzieju; czasem się wpadnie w takie położenie, że rady sobie dać nie można, np. znajomość z panem dobrodziejem to także dla mnie straszliwy przypadek, a niemiłych okoliczności to się przytrafia nieledwie co tydzień. — Będzie temu miesiąc, jak mnie Lucyper wysłał do starego bogacza, aby go namówić, iżby pomijając ubogich najbliższych krewnych, cały majątek imiennikowi swojemu zapisał, nibyto dla utrzymania świętego imienia familijnego!... Udało mi się przewybornie, — ale wycierpiałem ja za swoje.“

— Cóż takiego?...

— „Była tam jego kuzynka, panna Kordula, której tylko jeszcze trzy miesiące do piątego krzy-



Pan Edwin i pani Kordula.





żyka brakowało, pokochała się we mnie na umor; a! panie dobrodzieju! potrzeba było mężstwa niepospolitego, aby te *amory* wytrzymać.“

— Jakżeż się waść wyśliznął?...

— „Powiedziałem, że jeszcze niepełnoletni, że muszę się wystarać o usamowolnienie przez radę familijną, i że skoro tę zawadę usunę, natychmiast powroczę; — tymczasem pisujemy do siebie listy.“

— Nie masz zaś, Belzebubie, którego z tych listów?

— „Mam ich już pięć od dwóch tygodni, schowałem je we wronie gniazdo niedaleko tej karczemki, gdzie mnie pan dobrodziej przyczłapił; jak pojedziemy z powrotem, to po nie wnijdę na sosnę.“

W tę chwilę zajechaliśmy przed murowany dworzec państwa Maglewiczów. Pocziwy Hieronim wybiegł na powitanie, uściskaliśmy się serdecznie, poczem przedstawiłem mu pana Zbrodniewskiego. Zmieniwszy w pokoju Hieronima nasze podróżne ubranie na fraki i obcisłe pantaliony, zostaliśmy wprowadzeni do salonów bawialnych. „Żono, August nie tylko że raczył dotrzymać słowa, ale i był tak łaskaw, że przywiózł w dom nasz miłego gościa. — Pan Zbrodniewski.“

Oczy liczne gościnności zwróciły się na nas; ja tedy do powinszowań nie leniwy, co mi usta z sercem w zgodzie przyniosły, wypaliłem sole- nizanec. W niewinném uściśnieniu całowanej rączki miłą znalazłem odpowiedź. Edwin zaś po francusku, kwiecisto i gładko także życzenia zło- żył. Następnie dopiero gospodarz domu wiódł nas przed sędziwsze panie, z kolei i przed młodsze mężatki, potem wymienił nasze nazwiska przed za- cniejszymi obywatelami, potem półzartem przed- stawił nas piękniejszym dziewczynom, potem miej- scowemu plebanowi, potem poznał nas z są- siednią młodzieżą, nakoniec zaprowadziwszy do stołu zastawionego rybą, mięsem, konfiturą, wi- nem i likworem, oddał nas w opiekę pana pod- sędka, któren szczerze nad faszerowaném prosię- ciem pracował, a porter krajowy nad zagraniczny wychwalał. Gdyśmy nie odbiegając towarzystwa pana podsędka, uprzejmiej woli gospodarza za- dość czynili, już zmierzchać się poczęło, a jeszcze się goście zjeżdżali, i Hieronim ciągle nowych kandydatów do podsędka sprowadzał. Po sowitym zadatku gościnności, to jest po śniadaniu, przy którym i jedzenia i rozmaitego napoju było pod- dostatkiem, zdziwiłem się, gdy jakiś jegomość szeroko o doskonałości swoich chartów rozpowia- dając, zajrzał na zegarek i dosyć głośno rzekł:

„Należałby nam się już obiad.“ Rozumiałem, że żartuje; aliści pan podsędek poparł jego zdanie, twierdząc, że bez rosółu to człowiekowi się wydaje, że jest naczczo. Ślicznie mi naczczo, pomyślałem, a toć żeś ty zżarł w mojej tylko obecności niemal całe prosię, część pasztetu, talerz marynaty, pół funta kawioru, i słodczy do tego co niemiara, zapijając co chwila winem i porterelem na przemian, a zanim ja przybyłem, ileś ty to tam już połknął?...

Zgorszony takowem nienasyconem obżarstwem, udałem się do przyległych pokoi, gdzie inni goście na rozmaite i różnorodne podzieleni gromadki, jedni przy wiscie ulubionym nad życie, nie tracąc drogiego czasu o dziesiątki lub złotych spór milczący wiedli; drudzy kwindecza albo ćwika złotem uczcili; inni faraona próbowali; byli i lubownicy marynasy do puli; młodzież płci męskiej, zbywająca od kart i od kurzenia fajek w oficynie bawiła skromne dziewczęta przedpotopową grą: „gadaj gadula, gdzie złota kula“; niektóre mężatki opowiadały sobie na uboczu o wadach swoich mężów, o przygodach domowych, o przyjemnych znajomościach, o modach, o zamiarach na zbliżający się karnawał, w dodatku i o swoich dzieciach, które do szkoły odwiozły, — a gdy się wątek urywał, uciekały

się do obmowy tych osób, które obecnymi nie były, — a plotki snuły się już w nieskończoność. Upatruję, gdzie mi się mój Edwin zahaczył, — aliści spostrzegam, że przy stoliku w butelki i w kieliszki zaopatrzonym żarliwie rozprawia. Aż siedmiu miał ciekawych słuchaczy; podsuwam się, a Edwinio właśnie dowodził, że cała pomyślność rolnika na Pistoryuszu zależy.

„Panowie! — oto jego słowa, — dopóki nie ulepszymy gorzelni, dopóki chłopów w karby posłuszeństwa nie ujmujemy, na nic się nie przydadzą te wszystkie nowoczesne wynalazki, — ja na przykład przy zachwalonym przemyśle zagranicznych agronomów byłbym z torbami z dziedziennych wiosek wyszedł, gdyby nie propinacya, z której mi żyd regularnie 12,000 złp. płaci rok rocznie.“

— Żartuje pan Zbrodniewski, — ozwałem się głośno, — wierzcie mi, panowie, że w dobrach jego propinacya nie przynosi i 1000 złp.; zaprowadził bowiem takie urządzenie, iż karczmarz za każdego pijanego chłopca sto złotych płaci kary i miejsce za trzecią razą postrada, czego sam i przez swoich officyalistów pilnie przestrzega. Natomiast przez pilną pracę, przez porządek doskonale uprawna i zimierzwiona ziemia, chociaż tylko klasy III, 8 ziarn żyta a do 12



Aż siedmiu miał ciekawych słuchaczy.



ziarn jęczmienia wydaje; wysoko poprawne owczarnie, wzorowy chów bydła rogatego i koni, — olearnie, sprzedaż buraków do sąsiednich fabryk cukru, przedzalnia lnu i piękne wyroby płócien, corocznie zwiększające się jedwabnictwo i pszczoły, — porządnie zagospodarowane rybołówstwo i wiele innych godziwych korzyści, które zaszczyt rolniczemu obywatelowi przynoszą, to są sumienne i szlachetne źródła jego bogactwa. — Mówiąc panom o ohydнім gorzelnictwie, chciał jedynie zbadać, co panowie myślicie: pan Zbrodniewski bowiem zabiera się do napisania dzieła, w którym przyczyny naszego ubóstwa krajowego wykryć chce, a jego zdaniem zaniedbane i na gorzelniach tylko opierające się rolnictwo za najglówniejszy powód nieszczęść naszych uważane być powinno.

*Jeden ze słuchaczy.* A to pan Zbrodniewski podejść nasz zamierzył.....

*Edwin.* Zdawało mi się, że panowie,..... to jest że panowie moglibyście być przeciwnego zdania,..... nie chciałem więc narażać się na zarzuty jakowe....

*Drugi ze słuchaczy.* Mów pan zawsze prawdę, a w najmniejszym będziesz kłopotcie.

Poszmer radosny, że lokaje na salę zupeł-

kową i zapaloną już przymiesli, ocalił Edwina od dalszego wstydu.

Obiad wystawny z kilkunastu potraw złożony, z cukrami, z ciastami i rozmaitemi przysmaczkami, przy którym bynajmniej nie zaniedbano „dam zdrowia, zdrowia solenizantki, jw. starościny, jw. prezesa wyborów, radców tow. kred.“ z kolei „pięciu jw. jw. sędziów pokoju, obywatelstwa, stanu duchownego, gospodarza, bodaj nam się dobrze działo“ — i nakoniec „kochajmy się“ — dopiero się o drugiej z północy zakończył. Później nastąpiły tańce i niekiedy kulawka z przyspiewką. Edwin dobrze cięty, już to pił jeszcze ciągle, nie dając się nietylko nikomu zawstydzić ale nadto młodzież zachęcając do kielicha, już to tańczył na zabój; a przedewszystkiém gąskom różne a śmiało szeptał pochlebstwa, i chociaż dwa razy „Spiriantus!“ na niego zawołałem, tylko się otrząsł a hulał dalej. Nazajutrz, to jest dzisiaj około południa największa część gości rozjechała się; — krewni domu, chory podśedek i ja z Edwinem pozostaliśmy. Edwin zamknięty przezemnie w oficynie pod surowém zagrożeniem, aby się z pokoju na krok nie ruszył a dla skrócenia sobie czasu, aby mi wierny i obszerny obraz wszystkich charakterów osób, które wczoraj widział, sumiennie opisał, — za



moim na spoczynek powrotem spał tak mocno, iż go się zaledwo dobudzić mogłem. — „Gdziez twoje wypracowanie?.....“ spytałem hultaja, któren mi wczoraj bardzo wiele nabroił.

— Oto jest.

Patrzę — kilkanaście wierszy ni w pięć ni w dziewięć, wyłącznie pochwałę podsędka w sobie mieszczących. Widząc, iż przy méj zbytnej dobroci i powolności pan djabeł wziąłby na kiel, bez wszelakiej przedmowy zaczynam:

„Spiriantus! szolder! ad tuum inclitium numeratur słomka, quoque wiechetka, significamus te, (tu zacząłem go okładać, a zawsze wymierzając cięcia tak, iżby się krzyżowały) ne in vitia et scelera ruat sponte, sed semper, quantum fieri potest, nasze rozkazy uprzedzał i szczerze na zapytania odpowiadał, — Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! spiriantus zamień się w psa!“ Poczém się przeżegnałem, — a w miejscu Edwina Zbrodniewskiego leżał czarny pudel skomlać i tuląc się u nóg moich.

— Jak pies gada? — „haf! haf!“ — szczekajżeż teraz sobako, kiedyś mnie po ludzku słuchać nie chciał.

Nie wiem tylko, jak to Hieronimowi opowiem, gdzie się podział pan Edwin: — gdybym mu cały wypadek objaśnił, rozumiałby, że z nie-

go żartuję; nadto przez trzy miesiące przez trzy dni i przez trzy godziny, wedle podania starych ludzi, tajemnicę każdej przemiany djabła zachować obowiązany jestem, w przeciwnym razie miałby djabeł prawo szkodenia mi na rozmaitych drogach. Otóż udam, że pan Zbrodniewski odebrał pilne z Warszawy wezwanie i że w nocy odjechał.

*15 czerwca.* — Dawno już do mojego dziennika nic nie wpisałem; ale bo też pomiędzy braćmi szlachtą o pisaniu myśleć bardzo nie można czyli i niema czasu: jeżeli nie stypa, to polowanie albo gra azardowa, albo odwiedziny w sąsiedztwo i t. p. Czas wracać do domu a i ich wylanęj gościnności, która różnemi sposobami pobyt mój na wsi uprzyjemnić pragnie, nadużyłbym wreszcie. — Wczoraj odczarowałem pudła w Edwina; oj łągał-że łągał Hieronimowi, że w sprawie honorowej musiał się nagle oddalić, że sekundował księciu Ludwikowi, że jeden przeciwnik śmiertelnie raniony został a drugi na klęczkach obrazę odwołał — i t. d. i t. d.

Pawełek powiadał mi, że się tak w kuchni cieszą, że czarny pudel gdzieś zginął czy uciekł, bo im nadzwyczajne psoty robił. — Trwało powszechnie mniemanie, że ten pudel został po komedyantach, którzy nazajutrz po imieninach

pani różne sztuki pokazywali we dworze, gdyż i pudel cudności umiał, aby czeladź zabawić i przebaczenie za poczynione szkody zyskać. Swoje rychlejsze odczarowanie zawdzięcza następującej okoliczności: graliśmy w faraona, wszyscy znajomi obywatele; na chwilę nie myśleliśmy, ażeby pomiędzy nami był jeden szuler, — a był nim dobrze urodzony młodzieniec, bank ciągnący. Śród gry wcisnął się do pokoju pudel, skoczył na krzesło i przypatrywał się pilnie; chciałem go zrazu wypędzić, ale Hieronima i wszystkich obecnych bawiła ta *psia ciekawość do kart*, więc pozostawiliśmy go na krzesle, które mu jeszcze dla większej śmieszności bliżej stołu przysunęli. Od czasu do czasu pudel szczeknął i wówczas bankier się wzdrygnął i zarumienił, a gdy się to coraz to częściej powtarzało, prosił, aby psa wypędzić, — ale ja wówczas zmiarkowawszy, że to ma jakieś znaczenie i wiedząc, kim jest pudel, nie pozwoliłem na to, tylko go jeszcze pogłaskał. Nagle mój pudel kładzie na stół łapę i odgarnia stawione przezemnie pieniądze, ciągnie mnie za poję od surduta, a na bankiera warczy, pokazuje zęby i szczeka. Wszyscy śmiać się serdecznie poczęli, bankier zbladł, chciał przestać, lecz zgrani nie pozwoliliśmy na to; ciągnie więc dalej. — Stawilem, pamiętam, na pikową dwójkę

dukata, i oddalając się z pokoju, wyrzekłem do psa: „pudel, pilnuj wygranej!” — Ledwo żem wyszedł do sieni, słyszę nadzwyczajny hałas; wracam pospiesznie, pies ostremi kłami trzyma bankiera za rękę i wolta z pod dwójki, na wpół wyciągnięta, w podróży zatrzymana okazała się widoczną i niezaprzeczoną. Czy ze wstydu, czy z bólu młodzieniec zemdłał; obecni wytłumaczyli zaś to szczęśliwe dla wszystkich zdarzenie, że pudel musiał być rzeczywiście od komedyantów, że jest nauczony pomiędzy innymi i sztuk karcianych i że mając bystrzejszy i przenikliwszy od nas wzrok, dostrzegł podłe figle bankierskie. Każdy więc chciał tak przewybornego stróża sobie przywłaszczyć, ale on do mnie się tylko tulił a na drugich warczał. Hieronim twierdził, że gdyby takiego pudła miał był w Łęczny na jarmarku, byłby był bezzawodnie 500 dukatów nie przegrał. Wieczorem tegoż dnia, w oficynie, podług przepisów podania starych ludzi, bez świadków, liżącego moje nogi pudła, za okazaną mi przy faraonie wierność odczarowałem w dawną postać Edwina Zbrodniewskiego. Rad był pan Edwin i wdzięcznym nadzwyczajnie twierdząc że mu czeladź w kuchni bardzo dokuczała i że mu tęskno była do salonowych zabaw:

Pan Edwin uprzedzając moje życzenia zaczął rozprawiać o osobach, które w domu państwa Maglewiczów poznał był, — jam więc wziął pióro do ręki i jego uwagi zapisywać chciałem, gdy w tém bystrooki spostrzegł, że nowych dwie strony przybyło, — a więc w prośby, abym mu przeczytał, co w jego nieobecności napisałem.

— Czytaj waść głośno, pozwalam. \*

— „Ale może pan dobrodziej na mnie co pisał? a ja o sobie nie lubię czytywać.“

— Zaczynj więc od tego miejsca: „Istoty płci żeńskiej....

— „Dobrze, dobrze.“

„Istoty płci żeńskiej na wsi urodzone, na wsi pierwsze wrażenia odbierające, na czas krótki tylko do wielkich miast na dokończenie ogłady oddane a potem znów na wsi żyjące, po największej części na dwie główne klasy podzielić się dadzą; — albo są to stworzenia cnotliwe, łagodne, miłe, pełne naturalnej i przyzwoitej swobody, które przechodzą w ręce mężczyzn jak wosk łatwo kształcić się dający, — i tylko wina to mężów, jeżeli się nie staną wzorowemi żonami, matkami, paniami i obywatelkami łącznie i nierozdzielnie, — albo są to gąski ze wszystkimi wadami prostoty i niedołążności umysłowej, które życie małżonków gorzko zasąją lub

też skwaszą nielitościwie. Wpływ na moralną jakość kobiety wywierają pierwotnie: przykład matki, czystość i głębokość przyjętych zasad religijnych; wybór nauczycieli, osoby otaczające, np. babki, ciotki i poufałe służące. Mierność majątku rodziców jest dobremu wychowaniu najprzychylniejszą, bo majątek znaczny lub nieco większy od szlacheckiego wprowadza tym pseudo lub istotnym hrabiankom tak nieznośne w nos muchy, tak wiele w ich wychowaniu nagromadza pańskich dodatków, fałszywych wyobrażeń, nikczemnej pieśczoły, zarozumienia, dumy i pychy, że sądzą, iż oddającemu swoją rączkę — zaszczyt, łaskę, nieopłacone niczém dobrodziejstwo świadczą; że przed nimi wszystko się czołem chylić powinno; że ich życie musi być splecione z wypieszczonych wygod, przyjemności i nieustających zabaw i rozrywek; że one dla tego idą za męża, aby w mężu znalazły wiecznie salonowego grzecznisia, które zdaje się, że nad wdzięki płci pięknej niczego wyżej nie ceni; — że nawet same zaszczyty, które te panie zawsze chciwie i za każdą ofiarę nabyć pragną, małżonek nie z popędu własnego, nie dla siebie, ale dla wywyższenia żony gromadzić winien, — bo tytuł jest u nich źródłem i szczytem pomysłności przed którym szczęśliwa rzeczywistość, kiedy nie

jest głośną i błyszczącą, chociażby z najszlachetniejszych czynów wynikała, bardzo tylko podrzędną zyskuje wartość.

Mówią, że prędzej dzikiego konia ujeździć aniżeli nałogi i upór kobiety zwyciężyć można, ja jednakże zupełnie przeciwnego jestem zdania i największą część wad kobiecych mężczyznom przypisuje.

Żona, gdyby rzeczywiście nie była cnotliwą i wzorową z zasad w pierwszej młodości powziętych i ustalonych, — pod rozsądnym kierunkiem, pod gorliwą opiekuńczą wolą *cnotliwego męża* zawsze się moralnie ukształcić może. Ale pochlebstwa nasze i pierwszych chwil uległość, najwyższego dochodząca stopnia, staje się przyczyną złego w małżeństwie, — a nagła zmiana bywa częstokroć zbyt późną, — przymus gwałtowny niewłaściwym. Z mieszaniny nierozsądku i nikczemności mężczyzn na bujnym namiętności polu, z serca kobiety wyrastają stugłowe nieszczęścia społeczeństwa ludzkiego, — bo kobieta jest o bardzo wiele większą połową życia naszego; — oddzielnie działając zamykamy się w  $\frac{3}{10}$  częściach wielkiej dramy świata, — a przez kobiety, dla kobiet, z ich pobudek, z ich natchnienia, za ich wpływem,  $\frac{7}{10}$  melodram, komedyj, wodewillów, i tragedj odgrywanemi są. Nieszczęście,

że na wychowanie kobiety tak mało dotychczas zwrócono uwagi, że temu wychowaniu przewodzić ludzie bez głębokiej rozważli, że chorobliwych umysłów dzieła, w tej rzeczy pisane do rąk powszechności dochodzą. Po prawdzie umysłowa reforma samychże mężczyzn jedynie tylko na drogę ścisłej moralności kobiety doprowadzić zdolna. Dwa ku temu środki są niewątpliwe: czysty chrześcijaństwo i upowszechnienie zasad prawdziwej filozofii. Środek drugi pierwszego nie pominie, pierwszy drugiego od siebie nie odłączy. Czy to zagadnienie brzemienny w wielkie odmiany umysłowe wiek 19 w całości rozwiąże, wątpliwem jest jeszcze, bo materializm z kolebki olbrzymem rosnąc, może w samym nadmiarze (częściową ale nigdy wyłączną i główną — jak to wielu najmylniej sądzi) stać się przeszkodą do stanowczych postępów moralności, — chociaż w masach o moralności bez ulepszenia bytu materialnego rozprawiać, jest to grubą nieznaną potrzebą koniecznych natury ludzkiej.

— „Pięknie, bardzo pięknie; szkoda, że pan dobrodziej więcej nie napisał.“

— Dziękuję za pochwałę, ale proszę, aby waśc swoje spostrzeżenia z owego dnia imienia objawił i podyktował mi do dziennika.





Szlachcic dawnéj daly.



— „Dobrze, panie dobrodzieju; otóż tak:

Ten jegomość w peruce, z czerwonym nosem, co ustawicznie dziąsłami użuwał, któryen obok pana dobrodzieja siedział podczas objadu wtorkowego, — jest to szlachcic dawniej daty; on rozumie, że wcale z innej gliny ulepiony aniżeli biedne chłopki, — dla tego uważając ich za swój inwentarz radby, aby mu nietylko codziennie ale i w nocy robili, a kiedy najemnikowi kwitkiem do karczmy za 15 godzin ciężkiej i krwawej pracy żniwniej 15 gr. pol. zapłaci, zgrzyta zębami przez cały tydzień i w niedzielę łaje ekonoma, dla czego się samą pańszczyzną nie obchodzi. Kiedy kto w jego obecności mówi o miłości bliźniego, on się oddala do drugiego pokoju i narzeka przed swoim plebanem na zepsucie obyczajów, na szerzenie się fałszywych zasad, — dowodząc potrzebę przywrócenia dawnego porządku. Pan Liszczurowicz, co był po prawej ręce pana dobrodzieja, to znów inny egzemplarz: gada głośno i wiele o potrzebie ulepszeń losu włościan, o oczynszowaniu, o konieczności wypośredkowania sprawiedliwej nagrody dla pracującego wieśniaka, o szkółkach parafialnych, o szybkim usunięciu przyczyn pijaństwa, — ale w cichości podwyższył w roku zeszłym liczbę darmochołów, postanowił, aby w zarobnej wsi o milę od jego fol-

warku odległej, ze wschodem słońca nie z domu wychodzili ale robotę już zaczęli; a iżby ulżyć cierpiącej ludzkości, po 2 gr. pol. na kwaterce gorzałki opuścił w cenie, — tańszej więc się sprzedaje! Chcąc uchodzić za ucywilizowanego, karę cielesną zamienił na karę roboty do dworu. Przejdzie na dworskie pastwisko gęś, Walek musi posłać na cały dzień swoją kobietę ze sierpem; przejdzie Maćkowe ciele — Maciek musi cały dzień młócić; przejdzie wół, chociażby i jednej trawki nie uszkodził, właściciel wołu, święty Boże nie pomoże — musi morgę ukraińskiej miary a jeszcze roli co twardszej i kamieniami napełnionej zorać jak najdrobniej. Chciwiec na bezpłatną robociznę twierdzi, że naszych włóścian do niemieckiego porządku przyprowadzić chce, zapominając, że przed trzema laty gromadzie wszystkie pastwiska odebrał, — jak gdyby pańszczyzniany chłopiec w nędznym trójpolowym gospodarstwie bez pastwiska osobnego obejść się potrafił. — Zkądże chłopiec ma brać przykład przysposabiania pastewnych roślin, kiedy i we dworze, który mu zwykle za wzór służy, — po dawnemu, jak za Adama, gospodarują.

Książka agronomiczna, jeżeli ją pan Liszczurowicz przez grzeczność dla autora, którego brat albo przyjaciel wpływał na interes pana Liszczu-

rowicza, przypadkiem jakowym kupił, została z wierzchu obejrzana, owinięta w stare rejestra pańszczyzniane i zamknięta do szuflady, aby jakowej zarazy w gospodarstwie jego nie wniosła, bo najgorzej zaznajomić się z tymi rozprawiaczami, można tak jak i oni zwaryować. — Pan Liszczurowicz utrzymuje, że on swoim własnym rozumem na gospodarską potrzebę wystarczy. Jedyna jedna odmiana, co ją skwapliwie przyjął, zaszła w maszynie Pistoryusza.

— Powiedz mi, a jak osądziłeś pana pułkownika?

— „Panie dobrodzieju! jeżeli mam szczerą prawdę powiedzieć — mało jeszcze, bardzo mało u was takich obywateli. On ojcem dla włościan a nie panem, i to nie w słowie ale w czynie. Żaden i najdrobniejszy szczegół w ich życiu nie ujdzie przed jego opiekuńczym okiem: — on twierdzi, że za ich los przed Bogiem i przed ludźmi teraz i na przyszłość jest odpowiedzialnym. Ale i w swoim rodzinnym kole inaczej zupełnie postępuje jak panowie sąsiedzi: jeden z jego synów od 3-ich lat pracuje w warsztatach maszyn angielskich; drugi od roku w Niemczech jest u wzorowego gospodarza wiejskiego nie honorowym ale płatnym a więc koniecznie czynnym ekonomem; dwaj starsi po służbie wojskowej są

obecnie na publiczném urzędowaniu w Warszawie; — jedną córkę wydał za kupca do Krakowa, drugą wydaje za ubożego ale pełnego zalet młodzieńca, którego rodzice na małej tylko żyją dzierżawie. A zapewne pan dobrodziej wiesz, że pułkownik do miliona majątku posiada, że pochodzi z najdawniejszych karmazynów, że jego nieboszczka żona hrabianka i wojewodzianka z domu, — ale on się za tę spruchniałą poręcz nie chwyta; idzie po drodze, którą przez proces myśli wyrobił i błogo jest mu na sercu i w duszy. Gdyby go panowie szlachta naśladować chcieli, wiejski szlachcic byłby rzadkiem w piekle zjawiskiem; dzisiaj pełne ich kąty, nie wiedzieć, co z nimi począć, — do pracy leniwe, nieusłuchane, — trzeba przy każdym rozkazie chłostać, aby oduczyc dawnych nałogów. — Wystaw sobie pan dobrodziej, kilku z nich, Litwinów, wysłał niedawno Lucyper na wybory marszałkowskie: oni zamiast prowadzić powierzoną sobie intrygę zasiedli do wista — i grali przez trzy dni i przez trzy nocy! o wszystkiem zapomniawszy! Wybory się skończyły, dopiero po harapie dowiedzieli się, że najzawziętszy nieprzyjaciel Lucypera marszałkiem obrany został. — Chcąc to tedy niby naprawić zło; pojechali na jarmark do Berdyczewa, aby tam ograć młodzież

w farsona i przez to słabszych o rozpacz przyprowadzić i dla Lucypera pozyskać; ale i tam wystrychnęli się na dudków: zgrali się co do grosza, bo jarmarczne szulery są sto razy przebieglejsze w swojém rzemiośle od każdego djabła niedopiero od takich trutniów; — trzy razy przysłali do piekła po pieniądze, aż zniecierpliwiony Lucyper kazał ich pod strażą do siebie sprowadzić i na nowo przez 9 lat gotowani być mają w smole.“

— To wszystko dawniejsze błędy; dzisiejsza młodzież szlachecka inne rokuje nadzieje.

— „Co pan mówi?... a tóć-że poznałem ich i teraz u państwa Maglewiczów, dziewięciu podobno: wystrojeni, wyprężeni — głowy z wierzchu umuskane tak jak u miejskich lalek, ale w głowie sieczka, jałowa sieczka, panie dobrodzieju, w której ledwie gdzie-niegdzie ziarnko znaleźć można. Wyjdzie taki panicz ze szkół, których często i nie ukończy, wprost idzie na obywatela! I śliczny mi tóż z niego obywatel! on tyle wie o wielkości swoich nowych obowiązków i znaczeniu tego stanowiska, które zajął, — ile zwyczajny organista o astronomii. — Dąć, minę stroić, puszyć się, w miasteczkach przesiadywać, lulkę palić, polować, do kieliszka się wkładać, w karty grywać, dziewczęta łowić i karnawał

uroczyście obchodzić, to całą paniczów sztuką: Książki naukowej za wszystkie grzechy nie weźmie do ręki, — a to mu na co? ... Romans lekki francuski, osobliwie ulubionego Pawlunia Koka, dla zabicia czasu lub aby też ludzie mówili, że jest literat, z nudów albo dla polectania zmysłowości, przeczyta czasem. Gdyby zresztą nieukiem tylko był, a przynajmniej moralność i sumiennosc w sercu zachował, dałoby się jakoś ułożyć, — ale gdzie tam, oni i o moralności i sumiennosci wyobrażenia żadnego nie mają. Utracił religijną praojców wiarę, — nie przyjął czego rozum wymaga i bez wiary i bez wiedzy — jest zwierzęciem, przywilejami gnusności znieczyszczonem, wrzodem towarzystwa ludzkiego. — Pan dobrodziej zapewne się dziwi, że ja djabeł tak jasną mowę prawdę; — możesz, panie, moje świadectwo prawdy nietylko rozgłosić ale i wydrukować; dzisiaj kaźden się śmieje z takiej gawędy, — przeczyta, przyzna, że złota prawda, ale iżby miał podług tego życie swoje odmienić, zastosować, o to się my djabli teraz nie lękamy. — Ja przez żart wiedząc naprzd, jaką odbiorę odpowiedź, szepnałem w przeszłym roku jednemu pijakowi: „przyjacielu, zapijesz się!!!“ Zgadnij pan dobrodziej, co mi odrzekł? ... Oto: „przyjacielu! kiedy to smakuje!“ i pił i zapił się. Ja, co



z początku panu dobrodziejowi wzbraniałem się niby prawdę na zapytania mi czynione odpowiadać, czyniłem tylko, aby się z panem dobrodziejem drażnić, bo dzisiaj wolno nam djabłom prawdę gadać. Lucyper twierdzi, że ślepe samolubstwo tak świat opanowało, iż, jeżeli czy wasza wiara, czy wasza wiedza stanowczo i energicznie przez swoich kapłanów i mędrców działać nie zacznie, nam w piekle i miejsca zabraknie. Przyznam się panu dobrodziejowi, my z lat dawniejszych djabli tośmy i temu bardzo nie radzi.“

— A to czemu?

— „Lucyper już nas nietylko szanuje, co dawniej; powtóre roboty wiele, pakować w kotły, smażyć, piec; — a rzadko kiedy daje inne polecenia, bo teraz dusze już same do piekła przychodzą, a jednakże kiedy djabeł jest na ziemię delegowanym do jakiej sprawki, to się przecież i zabawi i rozweseli, — zresztą tych dobrowolnych za pieniądze zapisów przed laty na tysiące ledwo się jeden trafił i wielką było zasługą kogoś na cyrograf uchwycić; obecnie dobrze, że nam wołowych skór nie zabraknie.“

— I któż się to tak u was zapisuje?

— „Panie dobrodzieju! prócz chłopów pracowitych nie masz stanu, w którymby się kopami takich nie znalazło, co duszę swoją za pieniądze

sprzedają; — dawniej rzemieślnik także do lęklwych należał, — dzisiaj tak się panu dobrodziejowi krawiec, szewc, kuśnierz, stolarz, śmiało na cyrografie podpisze, jak gdyby kwitek na kilkozłotowy dług wydawał. Albo te kucharki, młodsze miejskie, sklepowe dziewczyny, — pokażę której piękną salopę w jednej ręce, a w drugiej cyrograf do podpisu, dobrze że mi ręki nie urwie, — i chociaż pisać nie umie, to trzy kółka przy świadkach naznaczy i biegnie do swój przyjaciółki opowiadać, jak to łatwym sposobem przyszła do pięknej salopy. No, a dopiero wyżej! — aj, palcem ruszę, 10 przyleci.“

— Łżesz, biesie; np. wskóraj co z panią Maglewiczową.

— „E! bo téż to wyjątek; mąż człowiek rozumny, roztropny, moralnie się prowadzący, — ona znów pobożna, skromna, do męża przywiązana, — w takiej głowie i w takim sercu to dla djabła jakby zamurował.“

— Widzisz więc, że tylko pleciesz, jak na mękach.

— „Zobaczy, pan dobrodziej, jeżeli pan 20 lat jeszcze pożyje, co się to wszystko przy dzisiejszym porządku nie stanie. Za dwadzieścia lat myśli pan dobrodziej, że ja będę od kota postaci pożyczzał, albo od człowieka? Ja, panie, z rogami

w mojej naturalnej postaci, bez żadnych płaszczyków będę chodził po miastach, jak gdyby w piekle; — w teatrze, na balach, gdzie pan chcesz, wnijdę bez zgorzenia kogokolwiek, brzęknę pieniędzmi i dosyć. — A niech się wówczas księża albo filozofowie odezwą — śmiało powiem: a nie mogłeś dawniej gęby nie żałować, nie teraz, kiedy górą nasi, odzywać się jak śpiewak na puszczy?“

— Spiriantus! nie mów hop! dopóki nie przeskoczysz; pierwój, nim wy świat opanujecie, ja z rogów waszych drogę z Rzymu do Konstantynopola wybrukuję, waszemi kudłami 1000 kuźnic na 3000 lat w paliwo zaopatrzę, a z waszych ślepiów wystawię pałac, w którym się wojska całej Europy wygodnie i przestronnie pomieszczą; iżbyście zaś ludzi napróżno nie straszili, wezmę kilku uczciwych księży i jednego dzielnego filozofa i Lucypera z piekła wypędzę, — rozumiesz mnie, belzebubie!

— „Rozumiem. Ale cóż tam z tej gołosłownej kłótni przyjdzie, uczynmy zakład.“

— Jaki zakład?

— „Jeżeli pan dobrodziej Lucypera z piekła wypędzić potrafi, ja dobrowolnie w święconej wodzie będę się kąpał codziennie przez cały rok, — a jeżeli pan dobrodziej Lucypera z piekła nie wy-

pędzi, wówczas duszyczka pana dobrodzieja do nas należy.“

— Nie, tak nie chcę — ale tak: jeżeli wam za lat 20 będzie wolno bezkarnie w waszych naturalnych postaciach chodzić publicznie pomiędzy nami, bywać w teatrach, na balach i w pomieszkaniach naszych, wówczas pozwolę ci, abys mi oczy moje swojemi rogami wykłuł, — a jeżeli ja wygram, dam ci sto bizunów paskiem Ś. Antoniego i ożenię cię z panną Kordulą.

— „Panie dobrodzieju! jakąż proporcya!“

— Ja innego zakładu nie zrobię.

— „Gdybyś pan dobrodziej o swoją duszę założyć się chciał pod pewnemi warunkami z naszej strony, mógłbym spisać cyrograf.“

— Pod jakimi warunkami?

— „Najprzód, żeby nie na 20 lat, ale na 50 lat rzecz poszła; ażeby powtóre, przez te 50 lat nic ludzie nie pisali, nie drukowali; i po trzecie: ażeby przez ten przeciąg czasu żadne prawa obowiązujące nie istniały, tylko, aby każdy człowiek żył wedle swojej oddzielnej absolutnej woli. — Ale, ale! byłbym zapomniał, aby opinia publiczna zupełnie wygnaną została.“

— Wierzę, kundlu, że wtenczas i sam Lucyper założyłby się o swoje rogi. Widzę, że zakład nie przyjdzie do skutku; ale powiedz mi nawia-

sem, czemuś ty wygnanie opinii publicznej do kardynalnych warunków dołączył, kiedy ona dzisiaj tak bardzo sponiewieraną jest?

— „Jednakowoż płąsa się jeszcze pomiędzy ludźmi; zresztą mniejsza tam o nią, stara to prababka.“

— Ejże! mnie się zdaje, że ona wam więcej zawadza, aniżeli ty w tę chwilę bąkasz.

— „Nie, jak honor kocham...“

— Ile razy psu-brat chce zełgać, zawsze się na honor zaklina; powiedz raczej „jak Lucypera kocham!“

— „A nie, panie dobrodzieju! na Lucypera nie godzi mi się zaklinać!“

— Otóż, albo się na Lucypera zaklniesz, że opinia publiczna pomiędzy ludźmi żadnych dla was przeszkód nie czyni, — albo mi szczere zdanie o opinii odślonisz.

— „Powtórnie upewniam pana dobrodzieja, że w żaden sposób na Lucypera zaklinać się nie mogę; gdybyś mnie, panie, i święconą wodą kropił, zgoła nie mogę.“

— Więc wyjaw zdanie o opinii.

— „Jak poprzednio mówiłem, jest to zastarzały przesąd, który bywa niekiedy hamulcem dla niektórych ludzi w niektórych czynnościach,

ale iżby miał wpływać stanowczo na działanie wasze, to rzeczywiście miejsca nie ma.“

— Coś twardo ci idzie; ja więc bez twoich objaśnień powiem ci, że opinia publiczna jest potęgą, której się nietylko najwięksi łotrzy lękają — ale że za zniszczenie jej na ziemi oddalibyście wszystkie zyski z pijaństwa, z nieczułości i rozwiązłości i wielu jeszcze błędów i występków. Opinia publiczna przeszkadza najwyższym zbrodniom, i potrzeba człowiekowi za życia być szatanem, aby ją lekceważył, aby nią gardził, aby się z nią urągał. Głos opinii publicznej, równie jak sumienie wgrzyzie się w każdą chwilę snu i jawu życia człowieka, — głosu sumienia i opinii publicznej żadne rozkosze świata przytłumić nie zdołają; są to dwa najokropniejsze mściciele znieczyszczenia serca i duszy. Każdy zbrodnieć, gdyby przed spełnieniem haniebnego czynu mógł odgadnąć; jakie męki, jakie prześladowanie, zdeптane sumienie i obrażona opinia publiczna za nim poniosą, jak go zawsze i nieodstępnie ścigać będą najśmielszemi wyrzutami, o! odrzekłby się po stokroć chwili, w której sumienie swoje i dobre imię za dogodzenie swym podłym i czarnym namiętnościom, lub bezwzględnie za garść złota zamienił.

— „Każda rzecz ma swoje *pro* i swoje *contra*.“

„Częstokroć sumienie jest niewolnikiem urojenia; opinia publiczna jeszcze częściej w mniemaniu wymierzania surowej sprawiedliwości potwarze z siebie na najcnotliwszych wyrzuca.“

— Skoro urojenie zamienia się w zasadę; dopóki tego urojenia rozumem i sercem nie rozwiążemy, — sumienie święcie je szanować powinno. Opinia publiczna gdyby w tysiącu potępionych stu niesłuszną karą, potwarzą dotknęła, jeszcze będzie dobrodziejstwem bez granic. Potwarz jest to krwawy, okropny, bolesny, najdotkliwszy cios, jaki bliźni bliźniemu zadać może, — ale niewinne sumienie niesie cichą, skrytą, lecz błogą ulgę, — i prawdziwie cnotliwy, gdyby był najniesprawiedliwiej spotwarzonym, wygnania z pomiędzy ludzi opinii publicznej nigdy żądać nie będzie, bo on wie, że, aczkolwiek przypisywaną mu mylnie zbrodni nie popełnił, zawsze to jest winą jego, że się znajdował w takim położeniu, na takim stanowisku, w którym potwarz do najłżejszego prawdopodobieństwa zarzucanej zbrodni, gdyby i cieniem zbliżyć się mogła. Prawda, że i wzór cnoty i poświęceń za dobro ogółu potwarz zjadliwym owionęła wyziewem, ale było to tylko chwilowe, przelotne zaćmienie i nigdy cnotliwego potwarz aż po za grób nie sięga.

— „Czy pan dobrodziej nie czytał historii?..

jak zaledwo po upływie wieków, przypadkiem, spotwarzoną cnotę w jój istotném, w jój należnem świetle odsłonięto?“

— Być mogło, być jeszcze może; ale dla bardzo rzadkich zdarzeń, dla kilku niewinnych ofiar, zbawiennych skutków potęgi opinii publicznej rzekać się, byłoby klęską dla świata.

— „Ale cóż się stanie z waszém: *pereat mundus, fiat justitia?*“

— To łudzące pozorną wielkością zdanie, gdyby się i właściwie na potępienie opinii publicznej zastosować dało, jak w wielu względach czczą tylko jest wygłosnią albo tarczą, pod którą oddalona myśl zbrodni się kryje, tak i tutaj jeszcze niedostateczną jest bronią przeciw opinii publicznej.

— „A czyż pan dobrodziej zapomniał o prawdzie z warsztatu wiedzy? wszakżeż to tylko taka prawda ma być zasadniczą; — daż się zaś opinia publiczna w piecu wiedzy absolutnego stanowiska zahartować? nie pęknież jój ostrze pod młotami prawdy wiedzowej? . . . aha! złapałem pana dobrodzieja.“

— Nie złapałeś; ale ja dzisiaj do dalszej rozprawy nie mam ochoty, jestem znużony, ruszaj spać.

— „Spokojnej nocy panu dobrodziejowi życze.“



— Bodajś się jeźorem udławił.

— „Oj prawda! że pana dobrodzieja kaszy szydłem jeść nie uczono. Któżto panu dobrodziejowi powiedział, że od biesa dobrego życzenia przyjąć nie należy?”

— Gadaj do muru, — ja ci nie odpowiem, — i kończąc dzisiejsze pisanie idę na spoczynek.

*16 czerwca o 10-jej wieczorem.* — Hieronim nie chciał mnie puścić; byłbym jednakże odjechał, ale jak jego miła i anielskiej dobroci żona zaczęła szczebiotać, gruchać i prosić, musiałem pozostać. Nie wiem, czy jest na świecie naród, którenby Polakom w gościnności zrównał. — Edwin sprawował się dosyć przyzwoicie, grał na fortepianie; śpiewał wyjątki z Roberta Djabła, i byłbym był zupełnie z niego zadowolony, gdyby nie figiel, jaki wypłatał kwestarzowi. Z południa ale jeszcze przed objadem przyjechał laik czy braciszek za kwestą; zaproszony, aby się na obiad zatrzymał, chętnie na to przystał. Mało nas było osób do stołu, Edwin więc sąsiadował z kwestarzem. Przed rosołem kwestarz się przeżegnał i zmówił modlitewkę, co zapewne djabła ubodło, a więc zanim braciszek łyżkę do ręki wzięsł zdążył, pan Edwin poczęstował go tabaczką. Skory do takowej przyjemności kwestarz należyty ładunek w obie dziurki wpakował; lecz załedwo że się ku

talerzowi schylił, tak nagle go mocna wietrznica nosowa napadła, że jak kichnął, wszystek rosół opryskał mu twarz i talerz pękł na dwoje. Wraz z Hieronimem śmialiśmy się do rozpuku. Pani Maglewiczowa zaś i dzieci wylękły się nadzwyczajnie, ale bo też aż szyby w oknach zadrżały. Biedny kwestarz wstał od stołu dla otarcia stłuszczonej twarzy, wyszedł i już nie chciał powrócić, gdyż ciągle przez kilkanaście minut powtarzały się napady gwałtówne; podobno, że dopiero po popłukaniu zimną wodą obiad w pokoju pisarza prowentowego spożył mógł.

Gdyśmy panu Zbrodniewskiemu zarzucali, iż taką psotę pokornemu laikowi wyrządził, tłumaczył się, iż jako żywo on tego przyczyną nie jest; pokazywał tabakierkę zarzekając się, że inną nie nosi tabaki jak petersburską z francuską na wół zmieszaną. Pani Maglewiczowa uczyniła uwagę, iż pan Edwin podczas swój w ich domu bytności nigdy tabaki nie zażywał. Edwinio odrzekł, że istotnie nigdy nie zażywa i tylko do konwersacyi ze starszymi ludźmi tabakierkę przy sobie nosi. Piękna konwersacya! Szczęściem, że kwestarzowi nos nie pękł na dwoje. Pożegnałem się dzisiaj z ukochanym gospodarstwem domu i z ich małąkami dziećmi, bo jutro bardzo rano wyjechać pragnę.



**Kwestarz.**



18 czerwca. Wczoraj wstąpiliśmy jeszcze do dwóch domów wiejskich obywateli, i to tylko na kilka godzin, bo listy odebrane z Warszawy nakazywały mi przyspieszyć mój powrót. U pana Pogodnickiego znaleźliśmy nader piękny księgozbiór, gospodarstwo wzorowe i wszystko umysłowemi postępami XIX wieku tchnące i nacechowane. Edwin utrzymywał, że pan Pogodnicki do wyjątków należy. Ale gdyśmy u pana Jasnowicza tak samo jak i u pana Pogodnickiego zastali, skwasił się i rzekł: „z przykrością wyznaję, że się tego niespodziewałem; znałem ojca: zuch szlachcic do korda, sami djabli go respektowali w tej mierze, ale za to w domu nieład, ciemnota, gościnność w wyuzdaną rozpustę zamieniona, a prócz kalendarza Pukszty i książki jejmościńskiej od nabożeństwa innego druku nie znali, — byłbyś panie od razu przyznał, że to puścizna po Sarsach: lój, rozlój, ściskaj, wrzeszcz i całuj, ale o mądre słówko nie pytaj! Gdzież to syn do ojca podobny! stoliki, które kiedyś pod butelkami stękały, dzisiaj założone pismami, wzorami, modelami, jak gdyby u jakiego księgarza i mechanika razem. Co on gadał, że ta przesliczna stołowa bielizna z jego fabryki pochodzi? — toć-że tu dawniej także kilka zagonów lnu i konopi zasiano, iżby drelichu na worki nie kupować i dla służących co

grubszego zrobić płótna, ale zresztą wszystkie inne lniane wyroby sprowadzało się z zagranicy.“

— Widzisz tedy, belzebubble, że my się opamiętywać zaczynamy i żeśmy poznali ów wielki występек różniczego kraju kupowania lnianych wyrobów od cudzoziemców. — Prawda, że małą jeszcze liczbę naśladowców znalazł pan Jasniewicz, niemniej dla tego szczyli się rzetelną wdzięcznością godniejszych obywateli, którym wskazał praktyczny wzór, jak się ze lniem obchodzić, jak go bielić, jak go na maszynach praść, na kopowe płótno i na piękne obrusy wyrabiać należy. A wiesz ty, kundlu, czém to pachnie? oto, jak przez postępy wynalazków i zamięłowanie przemysłu i porządnego gospodarstwa dojdziemy do tego stopnia, że nasze potrzeby na drodze uczciwych zysków a nie na uciemnieniu i nie na pijaństwie chłopów ugruntujemy, że stan wiejski pracę swoją sprawiedliwie wynagrodzoną mieć będzie, — wówczas i ścisła moralność wszechstronne, obszerne rozłoży panowanie, a wy biesy chyba pomiędzy dzikimi ludami zdobyczy szukać będziecie.

— „Ho! ho! ho! daleko jeszcze do tego! a dla czegoż nie wstąpiliśmy do Rozdętowicza? do pana Zgoniny? do Dymalskiego? do Kuflewicza? . . . Wielkie rzeczy z pięćdziesięciu wybrać dwóch

i nimi ogół zastawiać! Nie spostrzegłeś się pan dobrodziej, że będziemy przejeżdżali przez miasteczko, w którym jest jarmarczek; zaraz ja tam panu dobrodziejowi pokażę znów moich partyzantów.“

Jakoż niezadługo dojechaliliśmy do czerniących się chat ciasno w ulicy zbudowanych, przy końcu której na kwadratowym wzgórzu morze głów ludzkich nieustannym kołysało się ruchem. Gwar i wrzask tocząc się po rozległych polach i łąkach, oparłszy się o ściany gęstych gajów szukał drożyny albo szerokiego gościńca, aby się dalej rozlewał, bo na jednej przestrzeni było mu za ciasno.

Niechaj śmiały malarz poważy się na ten wielki obraz! niechaj te siwe, czarne, z błękitnymi, z zielonemi i gdzieniegdzie jeszcze z czerwonemi wierzchami baranie nagłowia chłopków naszych dobrze zmiesza z drugą niemal połową kapeluszy i czapek żydowskich, niechaj potrząsie mnóstwem białych czepców kobiecych i różnej barwy chust; niechaj nie zapomni o kaszkiecikach z rydelkami panów dzierżawców i ekonomistów; niechaj wyrysuje 500 rąk żydowskich w górę podniesionych, które dla dobicia targu mierzą w szerokie dłonie chłopków; — poza płóciennemi budami niechaj odmaluje przeprowadzane woły, krowy, cielęta, nierogaciznę, gromadki schudzonych koni, na

których żydowskie szajgece lub stare szachraje po głębokiem błocie kłusem się puszczaają; — a na uzupełnienie niechaj i żydówki, towary krótkim łokciem mierzące i wiejskie niewiasty z gęsiami, z kurami pod pachą targujące się, — i niewidomych i kulawych dziadów dwa rozstrzelone tuziny umieści: będzie zwierzchnia całość w zupełności. Ja tymczasem pójdę za Edwinem do domu pana Herszka. — Przez pierwszą wielką izbę, w której kilkaset rozmarzonych głów hałasowało, w której tyleż pąsowych twarzy płci obojędz tysięcy szczerych odbierało całusów, w której silne ramiona pod serdecznemi uściskami trzeszczały, w której wypłaty za uczynione kupno z wielką trudnością rachunku odbierane były, w której zapach gorzałki, śledzi i jarmarcznych kołaczy walczył o pierwszeństwo z innemi wyziewami, parci i popychani, jak gdyby twierdzą zdobywając dostaliśmy się do szabasowych pokoi rodziny Herszka. — Poncz, herbata, kwaśne wino i zwierzwały porter, 4ch dziedziców, 19 drzierzawców starych i młodych, trzech od sądu, dwóch z obwođu i z kasy miejskiej, — pięciu w czarném ubrańniu, burmistrz w uniformie i rzeźnik warszawski z trzosem na wspaniałym brzuchu, kilku podleśnych rządowych po służbie ubranych, żydzi z piernikami i z karmelkami bezprzestannie wrze-





Walkierzu u Abrahamka.



szczęcy: „cetno! lichu!“ posługująca Ryfka i zwinny Abrahamek, do czego dołączywszy przyległy alkierz, w którym ekonomowie, gorzelani i pisarze prowentowi w liczbie nieposledniej za przykładem swoich panów trunkami się zasilali, oto trzeci obrazek, — i jest cały jarmark.

Co w salonie pana Herszka mówiono, o czém rozprawiano, trudno powtórzyć, bo i tam jak w wielkiej szynkownej izbie krzyżowały się języki i tylko panującymi były głosy: „jeszcze sześć szklanek herbaty! — cztery szklanki ponczu! — cetno! lichu! — dwie butelki porteru, — héj, pan-no Ryfko, butelkę wina! — ponczu ośm szklanek! szajgec, porteru! — walny jarmark!“

Z przed okien zaś dochodził śpiew zataczającego się kmiecia:

„Pódzma do doma!

Pódzma do doma!

— Gorzałeczka szepce:

Napijta się jesse!“

Już o mil kilka zostawiliśmy jarmark za sobą a przecież drogi i wszystkie karczmy napełnione były pijanymi z jarmarku, a tych jarmarków w każdym niemal miasteczku po 12 do roku! — Nadto przypomnijmy sobie liczne odpusty a dziwić się nie będziemy, dla czego tak gęsto gorzelnie stawiają. Niewątpliwą jest prawdą, że

przynajmniej 100 razy do roku połowa naszej ludności bywa jeżeli nie najzupełniej pijaną, to rozmarzoną aż do odurzenia zmysłów.

Smutnemi uwagami zajęty nie stawilem oporu prośbie Edwina, abyśmy nigdzie nie nocując spieszniej do Warszawy przybyli; djabłowi pilno było do miasta.

Dzisiaj o godzinie 7-mój rano stanęliśmy w Warszawie. Żona moja na pierwszy widok Edwina uczuła do niego wstręt nadzwyczajny, i zwykle gościnna tą razą prosiła mnie, abym pana Zbrodniewskiego do naszego pomieszkania nie przyjmował. Nie wyjawiając rzeczywistych powodów przekonałem ją, że pan Edwin u nas koniecznie mieszkać musi; jakoż dałem mu osobny pokój z oknami na ulicę.

Hultaj rozgościł się na dobre; ubrany w czerwony szlafrok, z ogromnym bursztynem w ustach puszcza na ulicę kłęby *Turka*, któren zdaje się mieć siłę magnetyzującą kobiety, bo każda niemal z przechodzących podnosi w górę melancholizno-mdlejąco-romantyczne oczy, i sam słyszałem, jak gąski podziwiałały piękne włosy młodzieńca; — ale bo też pan Edwin włosy przedewszystkiem w najmodniejsze zaokrąglenia ułożył i cudnemi olejkami namaszczył. Zakazałem mu surowo, aby wizyt żadnych nie przyjmował, aby

bez mojego pozwolenia nie wychodził. Będę miał z nim biedy niemało, bo tylko drży do miasta. Już się dowiedział, co będą w teatrze grali i chce być koniecznie na balecie.

*20 czerwca, późno w noc.*

— Jak widzę, mości djable! zapomniałeś o winném mi posłuszeństwie, o uroczystych przyrzeczeniach i od 36 godzin przynajmniej 36 razy na karę zasłużyłeś.

— „Panie dobrodzieju! do szlachetniejszych uczuć gościnności pańskiej odzywam się i proszę, racz bez gniewu, bez uniesienia, powiedzieć mi, w czém zawiniłem?“

— W czém zawiniłeś? Bezczelniku! a 7-y numer łoży pierwszego piętra?!... a owo narzucanie się tym młokosom, z którymi się na niecne bachandrye zmawiałeś?! A te konszachty z podejrzananymi osobami?! — A z czyjéj-że to winy, że ja przez 12 godzin na lewe ucho słowa jednego zrozumieć nie mogłem, hę?

— „Najszanowniejszy panie! ale czyż można było wstrzymać się od najszczytniejszego zapalu! kiedy to piękne stworzenie, ledwie końcem drobnej nóżki dotykając ziemi, dłutem mistrza utoczoną postacią, czarującym obrazem zawisło w powietrzu, kiedy nagle rzucając się z najroz-

koszniejszym powabem na rękę kochanka, okoliła jego głowę różanym obłokiem, i pochylona ku widzom niosła zabójcze na naszą spokojność spojrzenia; albo znów, gdy wartkim polotem roztoczyła bogactwo wdzięków, przed którymi sam Kupido płomieniemby się zapalił! — i jaż miałem być głazem bez czucia, bez zmysłów, bez serca, bez duszy?!..“

— Stój, błaznie! to za wiele: — o jakiej duszy gadasz?

— „Panie! o duszy estetycznych pojęć, sztuki, postępu XIX stulecia! o duszy filozoficznemi marzeniami nieskalanej, o duszy niewinnych młodzieńców!“

— „Głupców!“ chciałeś zapewne powiedzieć!

— „E! bo pan dobrodziej mantyczy; czemuż młodzież nie ma mieć téj przyjemności zabawienia się grzmotem poklasków?“

— Łotrze! ja nie zabraniam uczcić talentu artystki ale nie z taką szaloną wściekłością, do jakiej wczoraj pobudzałeś. Bez miary, bez granic wrzeszczyć, pukać, ryczyć, wyć, piszczyć, skomlić, a toć-że artystka w balecie nie jest zwierzęciem w kniei; i co innego jest, jak już rzekłem, uczczenie talentu, a co innego do osoby zastosowana najnieprzyzwoitsza, jawna gwałtowność, która i artystkę i publiczność obraża. — Ty mnie do-

brze rozumiesz! ale to właśnie twoja pociecha tego rodzaju namiętności młodych ludzi. O! ty byś rad był, żeby na każdym balu tuzin młokosów zwaryowało, aby ugrzązłszy w najgrubszą zmysłowość, każdy zapomniał o swoich obowiązkach, o rozsądku, o rozumie, — a ty byś już potrafił z błędów lekkomyślności do występków i dalej jeszcze poprowadzić; i podobno, że wy biesy niczego więcej nie pragniecie, jak z młodego serca wygluzować umiarkowanie i czystość obyczajów.

— „A cóż pan dobrodziej żądasz, abyśmy djabli moralności przykłady dawali?!..“

— Dopóki pod moją władzą zostajesz, zabroniłem i zabraniam ci, czarcie, wszelkich spraw szatańskich. A któż to przyrzekł, że się będzie sprawował najskromniej, najprzystojniej; że regularnie każdego dnia opowie mi, co widział, jak widział, w czém złe, w czém dobre znalazł, z jakich przyczyn powstało to złe lub dobre. Miałeś, lamparciu, zapoznać się z literatami warszawskimi.

— „Znam wszystkich.“

— Nie przerywaj!... miałeś zgłębić ich zdolności, ich chęci, — a ty z gąskami wojować, mlecznych lwów za nos prowadzać i lekkim zarobkiem na swoją rękę trudnić się chcesz, — oho!

nie taką była nasza umowa! Spiriantus! gorzko ty pożałujesz lekceważenia zwierzchnictwa mojego, i jeżeli jedyny raz jeszcze zejdziesz z drogi, jaką ci zakresliłem, nie w psa, jak dawniej, ale w małpę zamienię i każe cię przez 3 lata oprowadzać po mieście, aby się z ciebie uliczne chłopaki naśmiewały, i na większy wstyd przy zewnętrznej postaci małpy rogi djabelskie zostawię. Uciekasz od literackiej posługi, a więc dobrze! zrobię z ciebie baletnika! będziesz małpa djabeł z niedźwiedziem po ulicy tańcował.

— „Panie dobrodzieju! prawda! troszeczkę się zabałamuciłem; ale jak honor kocham, poprawię się od poniedziałku. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Od poniedziałku poprawię się.“

— A przez sobotę? i przez niedzielę?...

— „Te dwa dni, panie dobrodzieju, to jeszcze moje. Na jutro zaproszony jestem na kawalerskie śniadanie. W niedzielę rano jedziemy w dobraném towarzystwie płci pięknej, *incognitissime*, omnibusem, panie dobrodzieju, o półtory milki ztąd na śmietanę. Hrabia przyrzekł 12 butelek szampańskiego; syn restauratora zabierze sarnią pieczeń i pełen rondel kotletów; aplikant sądowy zaopatrzy się w apelzyny i karmelki; cytryn i araku ja dostarczyć zobowiązałem się: — dziew-





**Pan Fantoski.**



częta o bieliznie, o nożach i o widelcach pamiętać będą, — gracko się zabawimy; a od poniedziałku już na cały miesiąc zabastuję.“

— Nie! nic z tego nie będzie.

— „Ale ja dałem słowo honoru!... omnibus zamówiony!...“

— Patrzaj osła! ja dla twojego zaszarganego słowa honoru i dla omnibusu mam pozwalać, abyś ludzi djabelską smietaną częstował?...

— „Oni już dawno tę wycieczkę umówili pomiędzy sobą, i byliby jeszcze w zaprzeszłą niedzielę wyjechali, ale rabiata zgrała się i dopiero wczoraj za mojem pośrednictwem pożyczyl im pan Fantoski kilkadziesiąt dukatów.“

— Cóż to za jeden ten pan Fantoski?... zapewne brodacz.

— „O nie, panie dobrodzieju nie żyd, — nie! Godny, bardzo godny obywatel! żyje sobie w Warszawie z obrotu pomniejszych kapitałów; człowiek rozsądny, w wielkie przedsiębiorstwa nie wdaje się, — tak sobie na zastaw a przytém na kilka solidarnych podpisów pożyczyl 500, 1000 a najwięcej 2000 złp.; — od tego weźmie po 5, od tego po 7, czasem i po 12 procentu na miesiąc, wedle nagłej potrzeby pożyczającego i wedle okoliczności. — Człowiek umiarkowany byle widział bezpieczeństwo, uczynny nad miarę,

a przecież często za jego dobre serce przyjdzie mu po sądach się świecić, i nieraz odrzekłby się być bliźniemu użytecznym, tylko że już tak przywykł do uczynności, więc z dnia na dzień pomaga dobrym przyjaciółom.“

— Dawno się znasz z panem Fantoskim?

— „On jeszcze był kamerdynerem u pana wojewodzica \* ... dwadzieścia lat temu jak my się przyjaźnili, — i tamto uzbierał sobie nieco grosza.“

— A cóż ty u wojewodzica \* ... porabiałeś?

— „Ja, panie dobrodzieju! byłem do tego domu oddzielnie przez Lucypera delegowanym.“

— I dobrze się sprawił; znanym mi jest koniec nieszczęśliwego!

— „Ale się też, panie, wyjeździł do woli. Przez trzy zimy bawiliśmy w Paryżu, — latem po Włoszech, po Szwajcaryi, *a zawsze extra-poczta*, jak gdybyśmy kogo gonili, bo wojewodzie lubił szybko jeździć. Znów kiedyśmy sprzedali ostatni klucz na Wołyniu i pałac w Warszawie, zachciało mu się poznać miasta Wschodu. Pamiętam na złość ks. biskupowi, którego był rodzonym bratem nieboszczki wojewodziny, w pierwsze święto Wielkiej Nocy, ruszyliśmy na Wschód. Rozumiałem, że i moich djabelskich kości nie starczy, bo to dzień i noc przez 11 dni jechało się do

tego Stambułu: ale jak dał słowo, tak dotrzymał; 3 Maja stanęliśmy w Konstantynopolu. Słońce już ostatnim promieniem złoćło księżycy mahometańskie; podówczas wierny jeszcze alkoranowi muzułmanin . . .“

— Zabierał się do modlitwy, a wyście spać poszli.

— „Tak było istotnie, gdyż wojewodzie ledwo że się na nogach od znużenia trzymał. Cały tydzień z łóżka się nie ruszył; lecz jak sobie też odpoczął, nie próżnowaliśmy, panie dobrodzieju.“

— Mogę się domyśleć i nie ciekawy jestem spraw waszych, — ani mnie też w inne pole nie wywódź; — raczej słuchaj, co ci rozkażę. Jutro będziemy na literackim wieczorze; od rana więc zaraz zasiądziesz do przejrzenia ostatnich poszytów wszystkich pism peryodycznych, w Warszawie wychodzących, abyś mógł z każdym redaktorem właściwie pogadać, każdego zobowiązać dla siebie, bo ci panowie najchętniej o swoich piśmach rozprawiają.

— „Wiem, wiem; — o moje postępowanie w tej mierze nie turbuj się pan dobrodziej; już ja każdemu jego konika pogłaskam; ale to piérwój być nie może jak w przysłym tygodniu. Sob-

ta i niedziela to do mnie jeszcze wyłącznie nale-  
żyć będą.“

— Ani godziny! ani jednej sekundy lampar-  
cie! a, nie zechcesz dobrocią słuchać, sprawię ci  
łaźnię, aż w piekle będzie słyhać.

Edwin zaciął zębów, przeszedł się po pokoju  
i niegodziwym wzrokiem rzuciwszy po książkach  
rzekł:

— „Nie pierwszy to raz, że ja dla téj głupiej  
literatury pozbawiony zostałem wielu przyjemno-  
ści! Proszę pana dobrodzieja, cóż mam czytać?“

— Tylko bez tych dasów, bardzo proszę!  
Oto wać przejrzyć od deski do deski 24 poszy-  
ty Biblioteki warszawskiej.

— „Takie grube książki?! chyba całą Europę  
opisali.“

— Zobaczysz może i wszystkie 5 części świa-  
ta; właśnie ja chcę, abyś ty wyciągnął treść i pó-  
źniej, abyś mi napisał sumienną recenzję.

— „A cóż na to powie redaktor Roczników  
Krytyki Literackiej? wszakżeż to jego powin-  
ność. (1)“

— Monopolium w literaturze nie istnieje.  
Nadto ja będę waćpana prosił, abyś i krytykę  
skrytykował. Otóż masz 104 numera Roczni-

(1) Henryk Lewestam.

ków. — Dalej racysz przeczytać przegląd Naukowy.

(Skrobiąc się po głowie:)

— „Nie wiem, czy ja trafię do ładu.“

— Rozumiem, że przecież osłem nie jesteś?

— „O to mnie jeszcze nikt nie posądził, ale...“

— Schowaj swoje ale do kieszeni; teraz zaś słuchaj: następnie przeczytasz mi od deski do deski Pielgrzyma.

— „Cóż, pan dobrodziej żartuje? wołałbym, żeby mnie pan dobrodziej w pudła znowu zamienił.“

— Aha! zapewne-by ci nie w smak było czytać przedmiot czystej moralności.

— „Żebym ja nigdy Lucypera nie oglądał, jeżeli to jest czysta moralność.“

— Ja się teraz nie wdaję w rozprawy; przeczytasz od deski do deski.

— „Nie, nie przeczytam.“

— Spiriantus! ne in vitia et scelera ruat sponte → ad tuum inclitium korpiacum hodacum.

— „A bodaj...“

— Cicho! dalej masz oto...

— „Pan dobrodziej wziął się na mnie dzisiaj. Ja mam taki stos bredni i klejonek przeczytać?“

— Od czego jesteś djablem, — tylko że ma-

zur, czytać się nie chce, — hulać! do tego jedy-  
ny; to tobie za ciężko 100 książek przez jedną noc  
przeczytać, a niemiecki Mephistopheles czasem  
1000 na godzinę połknie i strawić nie może, a je-  
dnakże jak kto zagadnie, nigdy w odpowiedzi dłu-  
żnym nie zostanie.

— „To tam już inna krew; co my polscy dja-  
bli smołę, to owi znów niemieccy atrament za  
napój używają. Słyszałem nawet, że u nich jak  
chirurg puszcza krew niemieckiemu filologowi,  
to nie krew tylko prosto atrament ciecze.“

— Jakiś ty głupi!...

— „Nie, to nie żarty. Może mi pan dobro-  
dziej zawierzyć, że pewien uczony niemiecki przez  
18 lat pisał rozprawę, iż tam gdzieś w jednym  
miejscu zamiast *omegi*, *omikron* być powinien, i po  
śmierci znaleźli doktorzy w jego żołądku omegę<sup>(1)</sup>  
tak napęczniałą, że miała półtrzecia łokcia śre-  
dnicy; — albo pewien astronom jak się raz w Mo-  
nachium zaczął na gwiazdę, 14 dni nic nie jadł,  
i nieborak zmarł z głodu z lunetą w rękę, nie do-  
czekawszy się gwiazdy. A po śmierci nawet te-

---

(1) Dla czytelników, którzy się w szkołach językiem greckim nie  
męczyli, czynię objaśnienie, że *omicron* i *omega* są to dwie litery z al-  
fabetu greckiego. *Omicron* i *omega* mniej więcej tak z sobą graniczą  
jak nasze *i* i *j*.



raz w Walhalli nie postawili jego popiersia, tylko polskiego Kopernika zwarowali, na wielki wstyd swój i hańbę. Lucyper się śmiał czytając te dwa artykuły pana dobrodzieja o Koperniku.“

— Ciesz się mnie to, że pan Lucyper raczył się mojemi ramotkami rozweselić; — tymczasem dosyć téj gawędki, zabieraj książki i ruszaj do swego pokoju.

Pan Edwin uwiązawszy w postronek ogromny stós książek, zarzucił sobie na plecy i z podziwieniem zawołał:

— „Istotnie nie wiedziałem, że to taki lekki pakiecik!“

— Czekaj, dołożę ci najnowsze dzieło Cieszkowskiego.

— „Panie dobrodzieju! nie po polsku pisane, więc nie do tego referatu należy. Ja tu już mam odłamek jego Filozofii Jońskiej, ale nie bardzo ciężka; — ten artykuł o Salach Ochrony, to mnie parzy cokolwiek.“

— Już cię tam więcej artykułów poparzy i radzę ci, nie nad wszystkimi stronicami blisko nos trzymaj.

— „Ja się więcej lękam, jak zacznę poezye czytać, abym nie zasnął; — ale, proszę pana dobrodzieja o funt świec stearynowych.“

— Może lampę astralną oliwą nalać ci po-

trzeba? Pazury sobie, kondlu, zapal, będziesz miał stearynowe świece. Strzeż się tylko, abyś mi swojemi ślepiami ksiązek nie popalił; błazen! świec mu się zachciało; — pozwałam mu małpować przy nieznających jego legitymacyi, a on i przedemną chce fałszywą rolę odgrywać.

— „Nie moja będzie wina, jak wszystkiego dobrze nie przeczytam.“

— I moja wina nie będzie, jak ci dam kropli Asmodeusza na przeczyszczenie twoich ślepiów.

— „Dobranoc panu dobrodziejowi.“

— Jak ty mnie jeszcze raz będziesz dobrej nocy życzył, to ja ci, belzebubie, zęby wybiję.

— „Pan dobrodziej więc twierdzi, że ja z dobrej woli nigdy szczerym być nie mogę. Otóż na przekór będę szczerym. Te wszystkie książki w rękopismach jeszcze czytałem, do ocenienia literatury warszawskiej przygotowań żadnych nie potrzebuję: siadaj pan dobrodziej, bierz pióro i pisz.“

Ciekawy co mi podyktuje, siadam i czekam. Djabeł położył rękę na czole, odchrząknął i tak dyktować począł:

— „Odległość czasu początków cywilizacyi, miejscowe wypadki szczęśliwe lub nieszczęśliwe, pokój, wojna, klimat nawet i bardzo wiele innych różnorodnych okoliczności wpłynęło na stopień

naukowego wykształcenia każdego narodu, a jakim był i jakim jest ten stopień, literatura wiarytelne o tém dać-by winna świadectwo. Polacy w XVI wieku stali na wysokim stopniu ukształcenia naukowego; ale ponieważ ich oświata w największej części płynęła z dzieł Greków i Rzymian, literatury więc samoistnej, rodowej bardzo małe napotykamy ślady. W wieku XVII makaronizmy łacińskie przepelniły dzieła polskie aż do obrzydzenia; na wiek XVIII-ty francuzczyzna przeważny a więc szkodliwy wpływ miała; w XIX dopiero stuleciu, mianowicie od lat kilkunastu poczyna się rozniecać samoistność literatury polskiej. Czyli obecnie Polacy są w stanie przejścia, czyli już na saméjże drodze samoistności, zachodzi pytanie. Podług mojego zdania nowy się zjawil nieprzyjaciel i odrzuciliście rzymskie przyłbice, mało już używacie francuzkich kapełuszy, ale wam gwałtownie wciskają na głowy nowe, niemieckie kaszkieciki, i dzisiaj odezwać się dosłowném powtórzeniem giermańskich pojęć uchodzi u was za najwyższą mądrość i jest niezaprzeczanym przez nikogo patentem na bardzo głęboko uczonego! Zapominacie, że Kopernik nie umiał po niemiecku; że Polska w XVI wieku w umysłowém życiu o wiele przewyższała Niemców; że rzeki i pasma gór nie stanowią granic zna-

komitych zdolności, ani wielkich idei nie oddzielają. Niewolniczo czołgając się za wyobrażeniami niemieckimi, własnym siłom nie ufacie, — o wywalczeniu się z narzuconych wam więzów umysłowych obczyzny nie myślicie; gnuśność wasza w ubitym gościńcu najbardziej smakuje i zdaje się, że jak niewidomy, gdyby mu kij z ręki wyrwano, upadłby na pierwszym wyboju, tak wy teraz bez niemieckiej filozofii przeszlibyście w krainę zupełnej ciemności i spalibyście snem spokojnym, dopóki by znów jaki inny naród z letargu was nie ocucił. Nawyknięcie nieufania siłom własnym jest u was tak wielkie, że się zamieniło w wiarę rzeczywistej niedoleźności, a bodaj nie w niedoleźność samę. Każden więc samoistny, rodowy pisarz, chociażby jeszcze był w powijkach, jest gwiazdą waszego zbawienia, a kto promieni tej gwiazdy w ogniste słońce rozniecić nie usiłuje, kto przy obcym płomieniu wygrzewa się, a domowe iskry nogami potrąca, podobien jest do psa bez własnego pana, któren po sąsiednich chatkach najpodlejszą, bo z łaski rzucaną, niezasłużoną karmą się żywi.“

— Cóż ty kazanie dyktujesz?

— „Wolno było panu dobrodziejowi moje uszy nacierać? a teraz prawdy słuchać się nie chce.“

— Ja od ciebie żądałem skreślenia obecnego stanu literatury warszawskiej...

— „Zaraz, zaraz; przecież bez poważnego wstępu nie można żadnej rozprawy zaczynać. Pisz pan dobrodziej *a capite*:

Warszawska literatura w bieżącym stuleciu zapragnęła przodkować; ale wieszcz litewski dał jej szcztuka w nos i pozbawił ją wszelkiej reputacji. <sup>(1)</sup>

Po takiej konfuzji nadwiślańska jejność zaczęła powoli zażywać lekarstw otrzeźwienia, lecz dla nadzwyczajnych przeszkód długo się guzdrała z obliczeniem i zebraniem sił swoich jeżeli już nie do przodkowania, to przynajmniej do wystąpienia w szeregi. Wreszcie około 1840 roku coraz to gęstsze jawiły się posyłki i wkrótce też istotnie wystąpiła w znacznym co do liczby poczęcie sług, pięknych chęci pięknych nadziei, jaśnie wielmożna literatura warszawska.

Nie licząc referentów na czysto, przynajmniej pół sta piór skrzypnęło od razu. Właściciele drukarni z niewysłowioną radością poskoczyli do pracy. Publiczność oblegała księgarnie z zapytaniem, czyli już co wyszło nowego. Na ulicy

---

<sup>(1)</sup> Adam Mickiewicz w rozprawie swojej „O krytykach i recenzjach warszawskich.“

widząc człowieka, który nieskończone odbierał ukłony, można się było założyć, że to jest autor! — a nie mówić o literaturze, było najwyższem siebie samego upośledzeniem. Nadwiślańska pani widząc, że tak wyraźnym oczekiwaniom godnie odpowiedzieć należy, zwołała sług swoich i w następne odezwała się słowa:

Czytająca publiczność głodną jest! potrzeba dla niej karmy. Panowie autorowie kucharzami! panie autorki kucharkami jesteście! żądam od was abyście z kolei objawili, jakie potrawy gotować potrzeba, aby zadość uczynić wszystkim warunkom obecnego czasu i aby potrawom nadać smak najmodniejszy. — Wówczas powstała wrzawa nie do opisania; każdy chciał, aby tylko jego potrawę gotowano.

— Panie! Panowie! proszę się uciszyć:

— Cóż waćpan gotować chcesz, mości Kazimierzu? (1)

— Ja — odrzekł mąż poczciwego serca, — radzę im dawać groch z kapustą i schab wędzony. Jedzenie polskie, będzie im smakować, a kto się poskarży na niestrawność, więc niechaj się gdzieindziej stołuje.

---

(1) K. Wł. Wojcieki.

— A waćpan, mości Auguście? (1)

— Ja, czcigodna pani! rozumiem, że przedewszystkiēm wypada oczyścić ich żołądki z zastarzałej flegmy, wziąć na głodową kuracyą i poić tylko kleikiem z kaszy filozoficznej. Później cywilizacyą na rzadko.

— A pan Antoni? (2)

— Ja, pani dobrodziejko, jestem za leguminami słodkimi i lekkimi, żołądki naszej publiczności najprędzej to strawią; można i omlecek estetyczny, — ale przedewszystkiēm porządek w stołowaniu utrzymać radzę.

— Mości Michale? (3)

— Z panem Kazimierzem jednego jestem zdania; lecz mniej grochu i kapusty, a więcej wędzonego mięsiwa.

— Panie Feliksie? (4)

— Ozory z chrzanem, z sosem nie afirmative ale negative, po francuzku.

— Panie Leonie? (5)

— Ja nie liczę się do kucharzy.

(1) August Cieszkowski.

(2) Antoni Szabrański.

(3) Michał Baliński.

(4) Feliks Zieliński.

(5) Leon hr. Łubieński.

— Ale się wacpan wmięszal pomiędzy kucharzy.

— JW Pani raczyłaś zapomnieć, że jestem zaszczycony wezwaniem na urząd pierwszego szambelana literatury warszawskiej.

— Przepraszam, przepraszam; bardzo dobrze, jesteś znanym z poczciwości, będziesz użytecznym.

— A ty, przezacny antipodo? . . .

— Moje potrawy są rozmaite: bryndza węgierska, pierogi krytyką nakładane; także schab wędzony, ale przy każdej potrawie opium z fajeczek bajronowskich.

Długim był jeszcze szereg zapytanych i odpowiadających; — wielu zalecało ogrodowiznę, krem z końcówek, marmuladę z powiastek; jakiś czarniawy jegomość chwalił zrazy mytologiczne, odezwało się kilku na ochotnika z pasztecikami z mózgu cielecego; zgoła nie ma takiej potrawy w literaturze, którąby częstować nie chciano; — a toćże i pan dobrodziej figami krajowemi służyć się obowiązał.“

— I cóż się stało?

— „Oto j. w. literatura godząc tę pierwszą czeredę postanowiła, aby wszystko razem w jednym kotle gotowali, mówiąc: „Będzie to zupa rumfordzka, znajdzie wielu lubowników, — a gdy-



by siostra moja z Wilna, pani Szczypalska, miała się z was naśmiewać, odpowiecie jój, że i ona chłodnikiem częstuje, w którym się znajdują ogórki i cebula i czosnek i bardzo wiele *raków ukraińskich*, a i bótwinę poddostatkiem.“

— Mości Edwinie, cóżto za siostra Szczypalska?

— „Jakto? pan dobrodziej nie wie, że w Krakowie mieszka najstarsza siostra pani Drzymlik; we Lwowie pani Nygusowicz; w Wilnie pani Szczypalska; w Poznaniu pani Krzyczkowska bogata! — Pokutnicka zaś jest na kuracyi i podobno, że z wielu już chorób szczęśliwie się wyleczyła, z chorób, które pani Miernickiej w Warszawie bardzo dokuczają. — Otóż jest sześć rodzonych sióstr, bo pani Młodziczek w Pradze, to znów jest przyrodnia. Później panu dobrodziejowi objaśnię tę całą genealogią, tymczasem o pani Miernickiej dokończyć potrzeba:

Gdy tedy już zupełną rumfordzką rozdawać zaczęto, cisnęło się jeszcze bardzo wielu pasztetników, piekarzy, cukierników, bab z ciastkami, z owocem; sklepiarzy z serdelkami, — trudno i spamiętać, — ale przyszli także jeszcze i kucharze i kucharki żądając osobnego pozwolenia na garkuchnie.

— Cóż wy dwaj panowie?

— Ja, pani dobrodziejko, pragnę gotować heglowskie kluseczki na mléku, a na odmianę w occie siedmiu złodziei moczona estetykę niemiecką; mój kolega zaś węgorza na szaro z polskim sosem.

— A waćpani?

— Żur filozoficzny, pyzę melancholiczną i makaron jezuicki opiekany w świeżym stylu, jak teraz we Francyi najwięcej używają.

Poczem ciągle się jeszcze zgłaszali na usługi pani Miernickiej — o! jeszcze na kilka garkuchni wydano pozwolenia; gdańska kuchareczka, bardzo miła i przyzwoita niewiasta, prosiła o pozwolenie gotowania szparagów na Nowy Rok; jakiś kuchmistrz ascetyczny zobowiązał się grzyby z rzymskim sosem doprawiać; to znów pewien kucharz przyobiecał piec baranka na święta wielkanocne; — odświeżono gospody dla wieśniaków, gdzie sprzedają głowiznę agronomiczną i żółdź w wiślanój wodzie gotowaną; — a kuchcików, dziewcząt do pomywania rądli, chłopców na naukę, toby na wołowej skórce nie spisał. Każden cisnął się do pani Miernickiej, a ona wszystkich przyjmowała wiedząc, że i z téj gawiedzi może się zczasem coś dobrego usposobić. Nadewszystko z tyłu robotników musiała przecież korzyść osiągnąć, i toć-że przed trzema laty

nie miała bardzo i w co się ubierać, a teraz chociaż sukienki nie bardzo bogate, ale jednakże już może wystąpić. Wczoraj była na Wiejskiej Kawiarni; szkoda, że jej pan dobrodziej nie widział. Miała ogromny kapelusz fioletowy, na nim wstążeczki ascetyczne w małe kokardki wiązane; loki filozoficzne, ale przyprawne, nie ze swoich włosów; salopę z pism peryodycznych w kilkanaście *bretów*, bardzo buchastą; na szyi szalik z gazy dramatycznej z lirycznymi kutasami, na kształt złota, ale to szych; — suknię agronomiczną modną, lecz krzywo przykrojoną, z ciasnymi rękawami; burnus z romansów i powieści; bóciki safianowe na pedagogicznych podeszwach, z boku sznurowane; rękawiczki z glansowanej medycyny, i torebkę na jeograficznym sznurku; — na kanwie historye i podróże, wprawdzie wypłowiałą włóczką robione, ale zawsze była to sobie modna torebka. Jedna mnie tylko rzecz zmartwiła; wystaw sobie pan dobrodziej, nos ucierała w nauki przyrodzone, i to była taka biedna, mała chusteczka.“ (1)

---

(1) Uwagi belzebuba, podówczas dosyć sprawiedliwe, do obecnej chwili zupełnie zastósować się nie dadzą.

(*Ciąg dalszy w tomie 5-tym.*)



# **ZEMSTA MLECZNEGO BRATA.**

SZKIC.



# ZEMSTA MLECZNEGO BRATA.

S Z K I C .

---

Alchemii nie wznowię i nie dozupelnę, gdyż po tym szlaku nigdy nie błądził; o sprawiedliwości innych urojeń moralnie ani na chwilę przekonać się nie mogłem; lecz natomiast czystą, bratnią miłość bliźniego pojąłem w całości, objawię ją wszędzie i zawsze, bo przesiąkła duszę, łzami litości i zgrozy oblała serce, a w umyśle stała się najwyższą i przodkuje każdej myśli i chęci i wszystkim moim dążeniom.

Z raptularza badań własnego jasno-widzenia.  
Stronnica XIX.

## I.

Boreasz na śnieżnym rumaku hasał po polach, lasach, błoniach i wioskach z gniewem omijał murowane bogaczów mieszkania a z szatańskim uśmiechem zazierał do nędznych chat ubogich chłopków i każdą szczeliną wygwizdywał radość, że biednym dokuczyć może. Na ubogiem i twardém posłaniu młoda wiejska niewiasta powiła syna, kniótek z wyszczerbioną żelazem twa-

rzą, w téj chwili szczęściem ojca owianą, ujął w szorstkie dłonie nowonarodzone dziecię i podnosząc je do góry z ufnością wymówił: „Wszechmogący Boże! daj mojemu dziecięciu zdrowie i siłę, aby swój los przykry wytrwać było zdolne“ — oddał słodki ciężar babce złożył nieme pocałowanie na czoło cierpiącej matki, przysporzył drzewa na komin i przed pałac na nocną stróżę powrócił.

- W pałacu, w komnacie wybitéj drogiemi kobiercami, na palisandrowém krześle, które puch łabędzi wyściełał, dziedziczka, hrabina Kamilla, otoczona tłumem służebnych kobiet, przy sztucznej pomocy kilku lekarzy w téjże samej godzinie wydała na świat słabe paniątko.

Gońcy rozbiegli się natychmiast do najbliższych miast pocztowych z listami donoszącemi w odległe całego kraju strony, że się dziedzic obszernych włości urodził.

W niedzielę, po kilku dniach białéj zamieci, pogodny boskiego sklepienia błękit olśnił się miliardami gwiazd iskrzących, aż słońce z zadości poblądło. Mróz był trzaskający — zwierzę polny cisnął się do ludzkich mieszkań, leśny w najgłębsze tulił się zarośla, nieżywe ptaki z powietrza spadały, — przesilenie się okropnego żywiołu zimy najwyższego dochodziło stopnia,





**Wszehmocny Boże! daj mojemu dziecięciu zdrowie i siłę, aby  
swój los przykry wytrwać było zdolne.**



a przecież lud wiejski zgromadził się ku chwale Bożej. Po krótkim kazaniu i po przyspieszonej mszy św. miejscowy pleban u drzwi kościoła jak lód zimną wodą ochrzcił chłopskie niemowlę i dał mu imię Szczepan. W karczmie sprzedano na powitanie małego przybysza garniec tanięj gorzałki, kumowie się uścisnęli.

Tegoż samego dnia dostojny prałat przybył z wielkiego miasta i w ocieplonych salonach pałacu przyjął na łono wiary chrześcijańskiej drobnego potomka możnej rodziny; dzięki względności już przed trzema miesiącami sprowadzonej z Niemiec bony piastunki, święcona woda była wylecona <sup>(1)</sup> i zmieszana z wodą pachnącą; prałat za późno spostrzegł zbytnią gorliwość piastunki, zdroj chrztu świętego był tą razą nieco zmącony, — a ktoś z obecnych znający się na zapachach po skończonym obrzędzie wyrzekł po cichu: „otóż mamy małego Sarmatę ochrzczonego wodą portugalską, jego nianka jest Niemką, wychowanie będzie francuzkie, dalsza przyszłość łatwa do odgadnienia.“

---

(1) Przed trzema laty czytałem wiersz Lucjana S\* p. t. *Pan i Chłop*; początek tego wiersza użyłem w głównym zarysie za początek do mojej powieści, albowiem obrazowanie przez znakomitego wieszczą, chociaż je tylko raz jeden szybkim przebiegiem oczyma, wpoilo się o tyle w mój umysł, że się tutaj gwałtownie do mojego wcisnęło pióra.

W pałacu uczta wspaniała, wielu bogatych zjechało się gości, w nieopalonym przedsionku z odkrytą głową stał kmiotek z wyszczerbioną twarzą, stał od godzin trzech.

— „Panie hrabio! nie mogę pozwolić, aby pani hrabina sama nie miała karmić dziecięcia. Wstrzymanie tak bardzo obfitego pokarmu spowodzi skutki niebezpieczne.“

— Ależ niepodobna, abym moję żonę na mamkę zamieniał, abym ją na rok cały obowiązkami służebnej niewolnicy obarczał.

— „Niechaj więc pani hrabina przynajmniej kilka miesięcy sama karmić zechce; później, zwolna, odzwyczajemy naturę.“

— Konsyliarzu! wola nasza pójdzie na podział; oto: w dzień będzie moja żona karmiła, a mamka w nocy:

— „Zmieszanie pokarmów zaszkodzi dziecku.“

— Mamka jest młoda, czerstwa i zdrowa; łaskawco, nie sprzeciwiaj mi się, bardzo proszę.

Lekarz łaskawca ustąpił, hrabia do swęj kancelaryi od godzin trzech czekającego kmiotka zawołać rozkazał.

— Dla czego z żoną nie przyszedłeś?

— „Jaśnie wielmożny panie, jest jeszcze słaba, mróz wielki na dworze.“

— Potrzeba, aby zaraz przysła; doktor wien się przekonać, czyli zdrowy ma pokarm.

— „Jaśnie wielmożny panie! Boskie w tém zrządzenie, doktor nie odmieni; Bóg dał nam dziecko, czy się uchowa czy nie uchowa, wola jego przenajświętsza bez ludzkiej w tém sprawy niechaj się spełni.“

— Ale zapewne ci już mój komisarz oznajmił, że twoja żona ma karmić naszego syna.

— „Jaśnie wielmożny panie, a któż mojego wykarmi?“

— Ja wam zapłacę.

— „Życie dziecka?“

— Dam ordynaryą i wynagrodzenie dla innej kobiety ze wsi, któraby twoje dziecko karmiła, a wy osobno odbierzecie kilkaset złp. i różne podarki, uwolnię cię nadto od pańszczyzny na rok cały.

— „Brać pieniądze i podarunki za zdrowie naszego dziecka, tego ani dusza ani serce nie pozwolą.“

— Chłop z duszą i z sercem?... rozśmieszyles mnie.

— „Mnie się krew ścina w żyłach, że mnie jw. pan za żerzę uważa.“

— Na honor nie wiedziałem, że w moich do-

brach, pomiędzy moimi poddanymi mam takiego mędrka; gdzież ty u licha do szkół chodziłeś?

— „Na całym świecie, po wszystkich krajach, we Włoszech, w Egipcie, w Hiszpanii, pod Berezyną.“

— Toś ty stary wojak, a pieniędzy przyjąć się wzbranasz?

— „Nie w pałacu ale w ubogiej chacie zrodzony jestem; mojej krwi, ani mojego sumienia za pieniądze nigdy nie sprzedawałem.“

— Nudzisz mnie; ja krwi kupować nie chcę tylko pokarm twojej żony. Zresztą w dzień może sama karmić swoje dziecko, byleby w nocy naszemu dziecięciu ssać dawała, ażeby się pani nie budziła. Dostaniecie 500 złp., 20 korcy ordynaryi, jedną krowę z dworskiej obory i uwolnienie od pańszczyzny. Żadnych dalszych odpowiedzi nie przyjmuję, to jest moja nieodmienna wola (zwracając mowę do obecnego komisarza): Proszę pana, abys bezwłocznie wypełnił mój rozkaz: zapłacić z góry za pół roku i dzisiaj ją jeszcze sprowadzić (do kmiotka): Jeżeli twoja żona zdrowo wykarmi naszego pierworodnego syna, ja o waszém dziecku i na przyszłość pamiętać będę.

Hrabia się oddalił do przyległego pokoju, kmiotek ze łzą w oku opuścił pałac, widać ku wsi zatrzymał się przed figurą męki Chrystusa Pana

i gorącą do Boga zasiał modlitwę. W chacie zastał swoją Jadwigę kłęczącą przy kołysce Szczepanka, oczy utknione w drobne rysy najmilszego dziecięcia nie spostrzegły wchodzącego męża, ucho badające tchnień najdroższego jój skarbu na ziemi, nie posłyszało skrzypnięcia drzwi i ciężkiego chodu Stanisława.

— Jadwigo! dziedzic nie zmienił swojego postanowienia.

— „O Boże!“ — zawołała Jadwiga i śmiertelnie pobladła; — zsiniały usta, ręce konwulsyjnie zadrżały, — nagle pochwyciła dziecko, tuląc je do matczynych piersi, wymówiła głosem rozpaczycy: „nie! nie! — żywój nie odłączą mnie od mojego dziecka; niechaj mój trup karmi dziecko dziedzica — pocóż je na świat wydała, kiedy go karmić nie chce.“

Stanisław powtórzył we wszystkich szczegółach rozmowę swoją z dziedzicem — i z goryczą dodał: „to jest jego nieodmienna wola.“

— „Stanisławie! wracasz mi połowę życia.“

— Oni wydzierają połowę życia naszemu dziecku.

— „Uspokój się Stanisławie! dziecko Jędrzejowej już od dni trzech odsadzone; ona może u nas przyjąć komorne, — damy jój całą nagrodę; jaką dziedzic i dla niej i dla nas przeznacza. —

Stanisławie! mój pokarm jest obfity, dzienny jest pożywniejszy, — zobaczysz, że Szczepanek będzie tusty i zdrowy, a może i w przyszłości szczęśliwy; wszakżeż dziedzic obiecuje o nim pamiętać.“

— Jadwigo! nie znasz obietnic wielkich panów — oni jak chłopca ze wsi wezmą do pomywania talerzy, jak mu dadzą liberyą, rozumieją, że dobrodziejstwo wyświadczyli. Niechaj Bóg nasze dziecko od podobnej pamięci dziedzica ochroni, — dopełnij sumiennie obowiązku, jaki na ciebie włożono, ale nie sądź, żebyś przez to szczęście naszego dziecięcia zyskała.

Nie upłynęło dwunastu godzin, bledziuchne paniątko i slicznej urody rzeźki synek chłopski byli już sobie braćmi mlecznymi.

## II

### DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIĘJ.

W miesiącu czerwcu, po zachodzie słońca, młody hrabia Ildelfons w towarzystwie aż czterech guwernerów: Francuza, Włocha, Anglika i Niemca, wyszedł na przechadzkę; kamerdyner przeznaczony na osobne a wyłączone usługi hra-



biego, rodem Szwajcar, postępował za nimi. Widok rozłożonego na drodze pod lasem ognia, przez który lud wiejski przy głośnych śpiewach przeskakiwał, wzbudził ciekawość Ildefonsa, a gdy mu znaczenia St.-Jańskich Sobótek ani M. Chargot, ani włoski l'Abbé, ani sir Goddam wytłumaczyć nie umieli, a Herr von Tintenstrich pytającego ucznia do *Conversations-Lexicon* odsyłał, Ildefonsik zapragnął przypatrzeć się zblizka temu obrzędowi, — lecz zanim do zamierzonego doszli celu, ogień przygasł a grono dziewcząt i parobków już do wsi wracało. Na czele drobniejszych chłopczyków szedł Szczepanek, brat mleczny młodego hrabiego.

— Czy i on śpiewał i tańczył!... — zapytał Ildefons Szczepanka.

— Wszyscyśmy tańczyli i śpiewali.“

— Na jaką pamiątkę?...

— „Na pamiątkę, że nasi rodzice i rodzice naszych rodziców tak samo w wigilję Śgo Jana przez ogień przeskakiwali, a i dzisiaj są Sobótki.“

— Czemu tak dawno nie był w pałacu?

— W dzień chodzę do szkółki, w wieczór przynoszę matce wody, albo ojcu w łżejszej pomagam pracy.“

— Czegóż on się w szkółce uczy?

— „Katechizmu, czytać, pisać i rachować a od kilku tygodni sam ksiądz proboszcz opowiadał nam życie Chrystusa Pana i przyobiegał, że nam opowie, jacy dawniej byli w Polsce królowie, kto nam dzisiaj panuje, jakie dawniej były prawa, jakimi są dzisiaj.“

— Ale ja się uczę historii francuzkiej; wiem już także kiedy założyli Rzym, nad którymi rze-  
kani leżą Londyn, Berlin, Madryt i Lizbona.

— „A nasz nauczyciel także nam odrysował na tablicy wszystkie rzeki, które nasz kraj przeryniają, i morze, do którego te rzeki wpadają; wczoraj objaśnił nas, z czego powstaje deszcz, śnieg, grad, błyskawice i pioruny.“

— To ty się już wiele nauczyłeś.

— „O ja będę więcej umiał, bo ksiądz proboszcz ma mnie odesłać do swego brata w Warszawie, który jest nauczycielem bardzo wielkiej szkoły i do której chodzą synowie najbogatszych panów.“

— On może być szczęśliwym.

— Ksiądz proboszcz mówił, że jak będę pilnym, mogę wyjść na pana.“

— A kiedy on chłop, i papka jemu nie daje pańszczyzny.

Znudzeni niezrozumiałą mową młodzieńców,

panowie nauczyciele w czterech językach wezwali Ildefonsa, aby się dłużej na zimno chłodnego wieczora nie narażał: z tą samą uwagą, odezwał się i troskliwy kamerdyner.

Jeszcze Ildefons z swoimi profesorami i kamerdynerem do pałacu nie powrócił, gdy Szeze-panek znów na czele swoich rówienników, oklep, na dziarskim źrebcu, stado koni obok nich przepędził. Młody hrabia pozazdrościł w duszy tej swobody Szczepankowi; Herr von Tintenstrich patrząc się za galopującymi chłopcami, wyrzekł z podziwem: *Die kleinen Polaken, das sind Teufelsjungen; unsere Stallmeister reiten lange nicht so gut, als diese Ulanen-Race.*

— „Les barbares!“ bąknął Francuz; „God-dam“ mruknął Anglik; Włoch szeptał pacierze.

Pomijam szczegóły wychowania i kształcenia Ildefonsa, bo byłoby to powtórzeniem wszystkich tych błędów i niedorzeczności, jakie bogacze popełniają przy prywatném wychowaniu i kształceniu swych synów: — raczej wspomnę, że Szeze-panek, jako najpilniejszy z całej wiejskiej szkółki uczeń, odesłany przez cnotliwego proboszcza do Warszawy czynił wielkie w naukach postępy. Który z tych dwóch młecznych braci lepsze odebrał ukształcenie serca, szlachetniejsze rozwinięcie duszy, dowiemy się w dalszym ciągu powieści.

### III.

W piętnaście lat po tym wieczorze, porucznik od konnej artylerji, Szczepan, tańczył mazura z cudownie uroczą siedmnastoletnią córką jenerała, który w dniu imienin swojej jedynj córki licznych zaprosił gości; hrabia Ildefons znajdował się pomiędzy wielbicielami pięknej Stefanii.

— Hrabio! czy słyszałeś o twojem nieszczęściu? mówią powszechnie, że jenerał skłaniając się do wyboru, jaki jego córka uczyniła, porucznika przyjmuje za zięcia.

— Szczepana? — tego, który z nią co dopiero tańczył?“

— Który jej miłość pozyskał.

— „To być nie może; moja ciotka księżna S\* mówiła przed tygodniem ze Stefanią; zdawała się być uszczęśliwiona nadzieją mojej odezwy.“

— Myśl pięknej dziewczyny jest zmienną.

— „Znasz świetność mego imienia i mój bardzo znaczny majątek. Pan porucznik zaś, jest synem jednego z ubogich chłopów, poddanych mojego ojca. — Takiego rywala obawiać się byłoby śmiesznością.“

— Daję ci moje słowo, że wczoraj się oświadczył.

— Hrabia Ildelfons posiniał ze złości i wstydu; nie odpowiadając więcej ani słowa swojemu przyjacielowi, zbliżył się do siedzącego obok Stefanii oficera, i głośno wyrzekł:

-- „Panie poruczniku, uwolnię twojego ojca na cały rok od pańszczyzny, ale mi nie przeszkadzaj w uzyskaniu łaskawych względów panny Stefanii.“

Całe liczne towarzystwo słyszało te wyrazy, wszystkich oczy zwróciły się na porucznika. Jenerał chciał pierwszy przerwać głucho milczenie, gdy porucznik z twarzą spokojną, głosem umiarkowanym, następującą dał hrabiemu odpowiedź: „Mojego ojca Bóg od pańszczyzny uwolnił: umarł już przed sześciu laty wskutek ran odniesionych z pola zwycięstw i chwały; pan hrabia zapóźno się zgłaszasz z dobrodziejstwem, a jeżeli ofiara uczynioną była w celu poniżenia mnie, bardzo się panie omylił; — mojego urodzenia nigdy nie tail, owszem szczycę się mojem urodzeniem, bo krew ludu jest nieskalaną, jest przeczystą i świętą, chętnie oddana na nigdy niezapieraną własność ziemi naszój. Co do panny Stefanii, dopiero nadzieja dozwoloną mi została; jeszcze przeto masz pan prawo położenia swoich przy-

miotów na szali współbiegania się o jej rękę, — od ołtarza dopiero poczynają się węzły nierozzerwane.“

— Panie poruczniku, odezwał się generał, potrzeba, abyś wziął inne zadoścuczynienie; zamiana słów obrazy nie niszczy.

— „Panie generale, ubliżyłbym popiołom mojego ojca, poniżyłbym moje urodzenie, gdybym za wyrazy hrabiego żądał zadoścuczynienia.“

— „I ja jestem tego samego zdania“, odezwał się hrabia Ildefons, — „niezaprzeczona prawda nie jest przedmiotem sporu; — gdzie nie masz obrazy, zadoścuczynienie miejsca mieć nie może.“

— Jeżeli pan porucznik swojej obrazy w tém, co zaszło, znaleźć nie chce, ja obrazę mojej córki znajduję.

— „Panie generale!“ zawołał hrabia Ildefons, — „za obrazę córki pańskiej oddałbym krew i życie, a twoją łaskę, generale, i względy panny Stefanii poczytałbym za najwyższe szczęście i ta-tó myśl powodowała mnie, gdy się do pana porucznika odzywałem.“

— Panie hrabio! — twoją odpowiedzią jestem zaspokojony; lecz złorzeczę chwili, kiedy się dał uwieść pozornym przymiotom młodzieńca pozbawionego uczuć honoru.

— Generale! — z głębokim smutkiem wy-

rzekł porucznik, — jutro nie będę pańskim podwładnym, spodziewam się że wtenczas nie odmówisz mi prawa udowodnienia ci, że uczuć honoru pozbawiony nie jestem.

Po tych wyrazach porucznik boleśnie spojrział na milczącą Stefanią i oddalił się z balu; — hrabia Ildefons pozostał.

W trzy dni potém rozeszła się wieść, że były porucznik od artyleryi, Szczepan \*, został w pojedynku przez generała \* ciężko raniony.

Za kilka miesięcy nastąpił ślub generałównej z hrabią Ildefonsem \*.

#### IV.

Po tych zdarzeniach upłynęło lat dwadzieścia. Ildefons strwoniwszy za granicą swój znaczny bardzo majątek, przed kilku miesiącami powrócił do kraju, zawarł kontrakt sprzedaży ostatnich dóbr swoich; nowonabywca zaliczył 200,000 złp., przepisanie tytułu własności miało nastąpić przy wypłacie resztującego szacunku. Zbliżył się czas oznaczony; kupujący przybył dla dopełnienia warunków, ale po bliższém rozpoznaniu hipoteki przekonał się, że hrabia popełnił podstęp i fałsz. Prawo własności było obciążone za-

strzeżeniem dawniejszego z kim innym kontraktu sprzedaży, na który hrabia wówczas, przed trzema laty, umówioną sumę odebrał i z niej pokwitował. Czyn takowy ulegał procesowi kryminalnemu: poszkodowany ostatni nabywca nie wahał się na chwilę i postanowił w drodze sądowej poszukiwać zwrotu zaliczonej sumy 200,000 złp, i żądać nadto oddzielnego ukarania oszusta.

Szczepan \*, od lat kilkunastu znany z sumiennej gorliwości i pilności patron przy trybunale \*, przechadzał się w zamyśleniu po swoim mieszkaniu; — zdawało mu się, że dzisiaj widział hrabiego Ildefonsa na ulicy; dzisiaj była dwudziesta rocznica, jak mu publicznie uczyniono mniemany zarzut chłopskiego urodzenia, jak utracił narzeczoną, którą kochał z zapalem pierwszej miłości, rocznica poprzedzająca o dni trzy rocznicę pojedynku, w którym utracił władzę lewej ręki. Smutna pamięć żołąbą oblała serce, z ust mimowolnie wydarły się wyrazy: „on sprawcą tylu nieszczęść moich!“ W tém otworzono drzwi, mężczyzna gniewnego spojrzenia wszedł do pokoju.

— Czy mam przyjemność mówienia z panem patronem \*?

— „Ja nim jestem.“

— Przychodzę do pana z prośbą, abys w mém imieniu wytoczył proces do trybunału cywilnego



i do sądu kryminalnego przeciw hrabiemu \*.  
Oto jest przezemnie wiernie skreślony stan rzeczy,  
tu są dowody.

Patron przeczytał podane sobie papiery, po-  
bladł, zadrzał, i ponurym wyrzekł głosem:

— „Ja panu w téj sprawie służyć nie mogę.“

— Czyli pan jesteś ze strony mojego przeci-  
wnika? W tym przypadku żałuję, że mąż, znany  
zaszczytnie z prawego postępowania podjął się sła-  
béj obrony tak podłego czynu.

— „O téj sprawie dopiero od pana pierwszy  
raz słyszę.“

— Może w inszej sprawie jesteś pan obrońcą  
hrabiego.

— „Przed dwudziestu laty wydarł mi naj-  
droższą sercu mojemu nadzieję, od tego czasu dzi-  
isiaj po raz pierwszy widziałem go zdaleka na  
ulicy.“

— Dla czegoż pan pominąć chcesz sposobność  
wymierzenia spóźnionej kary?

— „Zemsta jest obcą mojej duszy, ja tylko  
pragnę szczęścia ludzi.“

Więc podług zasad pańskich występkek należy  
zostawiać bezkarnie?

— „Można niszczyć występkek bez zniszczenia  
człowieka.“

— Zmusisz mnie pan do wyboru innego patrona.

— „Chciój się pan zatrzymać: racz mi zostawić swoje papiery na 24 godzin, może będę w stanie poprowadzić interes pana.“

— Sześć tysięcy złp. złożę panu jako nagrodę, jeżeli zwrócony mi zostanie kapitał, który wyliczyłem hrabiemu; sześć tysięcy zapewniam panu za każdy rok jego więzienia.

— „A więc 24,000 pan dla mnie przeznaczasz.“

— Chętniebym 60,000 wypłacił.

— „Czekam pana jutro o godzinie ósmej rano.“

— Ufam pańskiemu charakterowi i pańskiej zdolności.

— „Będę się starał godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu.“

Ledwo że się przeciwnik hrabiego oddalił, Szczepan drżącą ręką napisał kilka wyrazów, wzywając hrabiego do siebie. — „Możeby to uważał za chęć poniżenia go z méj strony, możeby nie przyszedł; — którenkolwiek z moich kolegów zastąpiłby mnie, gdybym jutro zwrócił papiery;“ ta myśl odmieniła jego zamiar, list podarł, wziął kapelusz i wyszedł na miasto.

W pokoju zajezdneho domu hrabina\* siedziała

przy oknie; na jój wybladłe lica łzy obficie płynęły, z śmiertelnym niepokojem czekała na powrót męża. Wtém drzwi zaskrzyły, obróciła się skwapliwie, przed nią stanął obcy dla niój mężczyzna, średniego wieku, — ale już pierwszy szron, poszlak trosk i znojów, poprząszył włosy jego; wlepiła weń wzrok badawczy, rysy nie były jój nieznanne, — pamięć przez mgłę odległej przeszłości trudno się przedzierała; — ileż obrazów dzieliło ją od Szczepana, lecz serce jest przenikliwszém od pamięci, serce Stefanii poznało narzeczonego... „Szczepanie!“ z boleścią zawrzaskała i padła bezsilna.

W tąż chwilę powrócił mąż Stefanii, usłyszał z ust żony imię „Szczepan“, zachwiał się, zadrżał, zbladł, i stłumionym głosem zapytał:

— Czegoż pan żądasz odemnie?

— „Szukam mlecznego brata.“

— Pan urągasz mojemu nieszczęściu. Słyszałem przed chwilą, że jesteś patronem, żeś się przeciw mnie podjął sprawy; zemsta po oczekiwaniu przez lat dwadzieścia musi być słodką, bardzo słodką; — pojmuję uczucie pana, bo i ja dobrze pamiętam, tak pamiętam, — dzisiaj jest dwudziesta rocznica dnia, godziny, w której ci, panie, w obec twój narzeczonej, w obec licznego zgromadzenia ofiarowałem uwolnienie twojego ojca od pańszczy-

zny; rocznica godziny, w której jam twoję duszę zranił a serce w kawały poszarpał; — powtarzam ci, panie, że pamiętam tę godzinę i nie dziwię się bynajmniej, że pożądaną sposobność zemsty otwartém przyjmujesz sercem; lecz cóż cię mogło spowodować do szukania nas aż w naszym mieszkaniu?

— „Szukam mlecznego brata“

— Panie! nie rozumiem twoich wyrazów... nie znam rozmiaru twojej zemsty.

— „O! czyliż mniemasz, że urodzony chłopem do zrzeczenia się zemsty zdolny nie jestem? — że nie będąc szlachcicem szlachetnych uczuć mieć w mém sercu nie mogę?... Ale prawda! tyś się hrabią wychował, w szlachetność uczuć chłopskich nie wierzysz.“

— Szczepanie! — odezwała się Stefania, kiedy przez mojego ojca śmiertelnie raniony, wystrzałem w powietrze życie mu darowałeś, już od tego czasu znamy cię prawdziwie szlachetnym.

— „Nietraćmy na teraz drogiego czasu wspomnieniami smutnej przeszłości; — panie hrabio, przyszedłem podać ci rękę pomocy. — Poślij za mną służącego, mam 90,000 złp., które przez lat kilkanaście pracą i oszczędnością zebrałem, tę sumę zaliczysz do układu, jaki zrobię pomiędzy wami; widziałem w wykazie hipotecznym, że nie wszyst-

kie ostrzeżenia są sprawiedliwe, może te dobra potrafię dla was ocalić; jutro po zawartej zgodzie z głównym przeciwnikiem wystawisz na mnie plenipotencją do twoich wszystkich interesów; pomoc brat mleczny przyjąć ma prawo.“

Zasłona uprzedzeń i przesądów nagle spadła z oczu hrabiego; — lzy wdzięczności były najpierwszą odpowiedzią a wzajemne braci mlecznych uściski uwieńczyła Stefania do tronu Przedwiecznego zasłaną modlitwą — o szczęście cnotliwego Szczepana.

Nazajutrz groźny hrabiego przeciwnik, za najusilniejszym pośrednictwem patrona \*, podał dłoń zgody; dla sądownictwa ta cała sprawa obcą została.

Taką była zemsta mlecznego brata — chłopka naszego.



**ZA POZWOLENIEM**  
**JA PAŃSTWU OPOWIEM**  
BARDZO CIEKAWĄ HISTORIĄ.





„ZA POZWOLENIEM

## JA PAŃSTWU OPOWIEM

BARDZO CIEKAWĄ HISTORIĄ.”

Nader małą jest liczba rodzin, któreby się z samych bogatych osób składały; jednakże w rozmowach wyższego towarzystwa słyszymy tylko: „mój wuj, ksiądz biskup; — moja ciotka, pani generałowa; — mój brat, pan prezes;“ — a o wuju, organiście, o cioci igłą na chleb powszedni zarabiającej, o braciszku, który donośnym głosem strony przed kratki przywołuje, nikt nigdy ani *mrumru*, — i chociażby to byli najpocześni ludzie, każdy się strzeże popisywać się nimi. Czém się to dzieje? — jakie są téj dyplomacyi przyczyny? — wiem ale nie powiem. Natomiast opiszę moim łaskawym czytelnikom wypadek, który ze źródła takiegoż państwo-chwalstwa wypłynął.

— Pan Grzegórz — istotnego nazwiska przez grzeczność nie wymienię, ale że nie lubię bohate-

rów bez nazwiska wprowadzać, niechajże tutaj nazywa się np. . . . Durniewski! — Otóż tedy ten pan Grzegórz Durniewski zablądził do jednego z moich znajomych na ucztę wyprawioną dla swojego nader szanownego przyjaciela, niegdyś kapelana przy arcybiskupie Krasickim. Śród obiadu, po kilku kieliszkach ożywiającego płynu, przezacny prałat na powszechne prośby opowiadał pobyt w Potsdamie i szczegóły życia księcia poetów.

Wyrazy starca stłumione jego sędziwym wiekiem, bogate w autentyczność łaskawie udzielanych nam wiadomości, niezwykłą słodyczą skraszane, chwytałyśmy wszyscy z najwyższą ciekawością i z tak głębokim milczeniem, że przez otwarte na ogród okno brzęk wracającej do ula pszczoły wdzięcznie się pomieszał z głosem mówiącego. — „Raczie mi panowie zawierzyć, że w całym życiu tego znakomitego męża nigdy w nim silniejszego nie spostrzegłem zapału, jak gdy ziomków swoich bronił przed królem pruskim przeciw zarzutowi mniemanój . . .

— „Za pozwoleniem księdza prałata“ — przerwał Durniewski, — „ja państwu opowiem bardzo ciekawą historiją.“

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się z najwyższym oburzeniem na Durniewskiego, gdy tenże



**Pan Durniewski.**



bezczelny bałwan, przesunąwszy palec pod nosem, następującą brednię szeplenić począł:

— „Potrzeba panom wiedzieć, że moja ciotka, pani generałowa, mojej mamy rodzona siostra, bardzo się lękała Bawarczyków, żeby mamy nie zrabowali, wtenczas kiedy oni szli za Napoleonem na wojnę w tysiąc ósmset dwunastym czy piętnastym roku — dobrze nie pamiętam, bo jeszcze wtenczas byłem bardzo mały; ale to pamiętam, że moja mama miała ekonoma Dziobczyńskiego, który był bardzo *sprytny* człowiek, a on wiedział, że mama się bała Bawarczyków, bo on i Michałek to pomyslenie mojej mamy wiedzieli; więc on przyszedł do mamy i mówił mamie, żeby mama odjechała do księdza biskupa, który był mojej mamy krewnym i żeby mama wszystko pochowała a zwłaszcza, że mama miała wielkie *słebra* stołowe na sześć osób, i *słebną* miednicę i gotowe pieniądze. Jak więc Dziobczyński tak mojej poradził mamie, moja mama usłuchawszy go, spytała go się, jak on radzi schować *słebra* i te pieniądze, bo brać ze sobą też się bała, bo już wszystkie trątki były pełne żołnierzy; więc Dziobczyński poradził mamie, żeby mama w budynku żadnym nie chowała, bo w Połędzinie u księdza proboszcza, który był bratem pana podprefekta, ze spichlerza Francuzi wiele zachowanych rzeczy zrabo-

wali, a w ziemi także nie radził, bo Francuzi byli tacy mądrzy, że jak zobaczyli na polu albo w ogrodzie świeżo zrytą ziemię, zaraz tam kopali i *puty* kopali, aż czego nie znaleźli; więc radził mamie, żeby mama kazała wszystko zapakować w beczkę, oblepić smołą i wpuścić do sadzawki w najgłębsze miejsce; Dziobczyński był bardzo sprytny. Mama usłuchała go i na wieczór odesłali starego Wacha, który zawsze sypiał przededworem, będąc nocnym stróżem i mama i Dziobczyński, ekonom, i bardzo wierny lokaj Jan zapakowali wszystkie *śłebra* i pieniądze w beczkę, oblepili smołą i zakulnęli do sadzawki, a mnie mama upomniała, żebym nikomu nie powiedział.

Uważcie państwo, mama ze mną odjechała, Francuzi, Bawarczyki, *Szwedzi* i te wszystkie *nacye*, które szły za Napoleonem, przyszły do Pękocinka; wszyscy szukali, zaglądali po wszystkich kątach, ale czy panowie dacie mi wiarę, że jak ja z mamą po wojnie powróciłem, idziemy do sadzawki w ogrodzie, zakładamy haki — jest beczka! ciągniemy, wyciągamy, jest beczka! otwieramy beczkę, są wszystkie *śłebra* na sześć osób i *śłebna miednica*.“

Durniewski skończył, patrzy się na nas; my osłupieli patrzymy się na niego, uszom naszym nie dowierzamy; każdy milczy i ze wstydu nie

wie, jak usta otworzyć; aliści Durniewski w serdeczném zadowoleniu dodaje: „Wszak prawda, panowie, że to bardzo ciekawa historia!“

— Do kredensu, — dla lokajów! — odezwał się obok mnie siedzący rotmistrz od ułanów.

— Pan mnie *obrazas*.“

Śmiech powszechny zastąpił odpowiedź rotmistrza; Durniewski się zaczerwienił, robił gałki z chleba i szukał oczyma, czyli się kto za nim nie ujmie; ale widząc, że wszyscy się najserdeczniej śmiejemy, krzyknął jakby z płaczem: „Panowie nie wiedzą, z kogo się śmieją: mnie Ulatyńska rodzi, a moja ciocia była generałowa, a jeden mój wujaszek był prezesem.“

— Panie Grzegorzu — pośród najgwałtowniejszego śmiechu rotmistrz zawołał powtórnie, — kiedyś łaskaw zaznajamiać nas ze swoją *famuliją*, nie zapomnij i o stryju, organście w Szydłowcu.

Odsłonięcie téj tajemnicy ubodło Durniewskiego o tyle, że nie czekając sarniej pieczeni, nie zważając na prośby gospodarza, od stołu się zerwał i do domu odjechał.

Podziękowawszy rotmistrzowi, że Durniewskiego wypłoszył, następnie już bez żadnej przeszkody słuchaliśmy dalszych opowiadań przeznaczonego prałata: ale że ów przedmiot do tego ustę-

pu nie należy, przechodzę więc do dnia jutrzejszego.

Przy sadzawkach nad drogą doglądałem mycia owiec: była godzina 10 przed południem; w tém z poza góry wznosi się tuman kurzawy, huk z bicza dochodzi moich uszu, pokazuje się pierwsza, za nią druga para łysych kasztanków w krakowskie strojnych chomonta, woźnica w lakierowanym kapeluszu, w sieraczkowym surducie z czerwonymi wypustkami, małeńka bryczka — a na bryczce w jasno szafirowej z czarnym szamerunkiem algierce — Grzegorz Durniewski. Po dosyć obojętném przywitaniu bez ogródki o powód odwiedzin zapytuje. Durniewski odprowadza mnie na stronę i prosi, abym w jego imieniu wyzwał rotmistrza \*\*\* na pistolety.

— „Za co?!...“ zapytałem jakoby zdziwiony.

— On powiedział, że mój stryj jest organistą.

— „Panie Durniewski! był to żart niewinny, a przynajmniej niezasługujący, ażeby wywoływał pojedynki na pistolety.“

— Tak, Panie dobrodzieju! gdyby to był żart, mniejszaby było o to; ale ja panu dobrodziejowi pod słowem honoru, ażeby pan dobrodziej



nie rozgłaszał, powiem szczerze, że istotnie mój stryj jest organistą.

Mocny rumieniec pokrył twarz Durniewskiego.

— „Czy to być może?!... stryj pański organistą? i on grywa na organach?!...“

— Tylko pana dobrodzieja zaklinam na słowo honoru, niechaj pan dobrodziej nikomu nie powiada.

— „I on śpiewa na chórze?“

— Śpiewa.

— „To jest okropne zdarzenie!“

— Ach! bardzo!

— „Pana Grzegorza Ulatyńska rodzi, — wujaszek jeden jest biskupem, drugi prezesem, ciotka generałową — a stryj organista???“

— Ale pan nikomu nie powiadaj pod słowem honoru.

— „Trudno uwierzyć! — nie pojmuję; objaśnij mnie, panie, przez jaki to zbiór okoliczności stryj pański został organistą.“

— Z młodości miał ochotę na księdza, ale że się nie mógł po łacinie nauczyć tyle, ile na księdza potrzeba, więc starszy brat s. p. mojego ojca, który był ekonomem u pani starościny....

— „Co pan mówisz — ekonom?!“

— To jest nie ekonom, ale miał zarząd nad pańszczyzną i trudnił się gospodarstwem.

— „Ach znałem go dobrze: chodził zawsze z charapnikiem we dwoje złożonym.“

— Ten sam.... tak .... stryjasek zawsze chodził z charapnikiem.

— „Wszakżeż były i siostry?“

— Jedna tylko.

— „Tak, tak, jedna tylko; pamiętam poszła za .... czém on to był—? ...“

— Rymarzem ale aż w Augustowskiém, i jak on umarł, to mój ojciec ani wiedzieć o niej nie chciał, ale ona teraz dobrze się ma.

— „Więc prowadzi dalej kunszt rymarski nieboszczyka męża? ...“

— O nie, - ona założyła sklepik w Warszawie i ma różne wiktuały na sprzedaż, jako to: mąkę, kaszę rozmaitego gatunku, jaja, masło, sér chléb, także i drzewo we wiązkach.

— „Pan czasem potajemnie bywasz u niej?“

— Ale pan dobrodziej pod słowem honoru nie powiadaj nikomu; widzi pan dobrodziej, ja bywam, bo ona jest bezdzietną i podobno dorobiła się kilkunastu tysięcy.

— „A więc to jakaś uczciwa kobieta? ...“

— O! ona bardzo uczciwa.

— „A ten stryj, organista, czy to pijak, łotr, ladaco?“

— Nie! — to także bardzo poczciwy czło-

wiek; nabożny, regularny w swoich obowiązkach i powszechnie mówią, że bardzo pięknie gra na organach i bardzo pięknie śpiewa.

— „Powiedz mi, panie Grzegorzu, nawiasem, wszakżeż to ten wuj pański, który był prezesem, miał kiedyś proces o naruszenie kasy salaryjnej w Bydgoszczy i podobno dla tego procesu wziął uwolnienie od służby rządowej.“

— Wujaszek mówił mojej mamie, że to przez intrygę.

— „Czy to rodzony brat mamy?“

— Nie, jego babka i dziadek mojej mamy byli sobie ze stryjecznych cioteczni, ale jednego herbu.

— „A ta jenerałowa, ciotka pańska, czy to jest wdowa po tym jenerale, który tak nagle życie zakończył?“

— Tak jest, to był mój wujaszek, bo ojciec wujaszka i mojej mamy ojciec to byli cioteczni, a i mama mamy także była cioteczna.

— „Słuchajżeż, panie Grzegorzu, z wszystkiego tego, coś mi powiedział, pokazuje się że nie-słusznie wstydzisz się za stryja organistę, a z bardzo mylnych zasad chełpisz się wujaszkami, i wierzaj mi, że niesprawiedliwém i bynajmniej nie-uzasadnioném jest twoje pragnienie zgładzenia rotmistrza ze świata. Nadto, mój miły Durnie-

wski, należy ci i o tém wiedzieć, że rotmistrz na 50 kroków korek u butelki ustrzeli, — i nie było przykładu, aby kiedykolwiek chybił rzucone mu w powietrze jajko gołębic; — a już dwudziestu trzech przeciwników trupem położył. Rozumiesz, Grzegorzu! — trupem położył!...“

— Więc jak mi pan dobrodziej radzisz?... blednąc wymówił Durniewski.

— „Jabym radził po pierwsze: nigdy osobom od siebie godniejszym i wiekiem starszym mowy nie przerywać; — powtóre: przed popisywaniem się z tytułami swoich pokrewnych zastanawiać się, czyli tytuły tychże pokrewnych są przypomnieniem dobrych lub złych czynów; — po trzecie do przelewu krwi bez prawej zasady nie być skorym; — po czwarte nakoniec: księdza prałata dzisiaj jeszcze za swoją wczorajszą bezwzględną nieprzyzwoitość przeprosić a rotmistrzowi za daną naukę przy pierwszej sposobności wdzięcznym się okazać.“

Durniewski nad moje oczekiwanie pojął mnie zupełnie, bo pocałowałszy w ramię wyrzekł z pokorą:

— Niedarmo mama mówiła, że mi pan dobrodziej najlepiej w tym interesie poradzisz.

— „Dziękuję mamie za zaufanie, proszę się

kłaniać; pana Grzegorza zaś przepraszam, że mając pilne zatrudnienie pożegnać go muszę.“

Durniewski powtórzył ucałowanie mojego ramienia, wsiadł na bryczkę i do mamy pospieszył, jam do mycia owiec powrócił. — Trzask z bicia ponad spuszczaćemi się za górę czterema w małej bryczce kasztankami podniecił myśl: iluż to Durniewskich na świecie!.... a wszystkich rodzą Ulatyńskie!... wszyscy mają *ślebra*, lecz nie pamiętają, w którym roku szły *nacye* za Napoleonem, bo im półtory klepki w głowie brakuje, organizm serca w tymże samym jest u nich stosunku, — dusza jeszcze się nie rozbudziła . . . .

---



# MOJA MÓWKA POGRZEBOWA.





## MOJA MÓWKA POGRZEBOWA.

---

Poeci od niepamiętnych czasów wiosnę do swych czułych wprowadzać zwykli utworów; — przynajmniej przed dwudziestu laty jeszcze mało z nich który mógł się obejść bez strumyków, bez wieczora majowego, zielonej trawki i kwilen słowika. — Nie tak powabną była dla mnie wiosna 1827 roku. — Przy końcu kwietnia nie miałem i snopka jednego w stodole. Sypanie w najściślej-szém znaczeniu tego wyrazu było puste; jęczmie-  
nia do siewu zabrakło; podatek zalegał; ośmiu rewersowanych żydów jakoby odklaskiwanego poloneza ze mną tańczyło, bo zaledwo wyjechał Jan-kiel, przyjeżdżał drugą bramą Herszek; pozbyłem się Herszka, zjawił się Lejzur; i przed Dawidem, Manyssem, Neytlem Szmulem i Abrahamem, dla których mi już ryb i indyków nie stało, potrzeba było jedne i też same zapewnienia rzetelności powtarzać. — W dzień pierwszego maja, — ach! pamiętam, — zjechali się do mnie prócz poczi-

wego Lejzura wszyscy wierzyciele moi. Straszliwy to był widok i należało mieć spartańską duszę, aby się takięj nie ulęknąć walki. Już od godziny ujadalem się z najzaciętszym przedstawiając i wrzeszcząc, że przed święt. Janem, przed strzyżą wełny, w czasie siewu żądać od szlachcica wypłaty jest jedynie chęcią wyraźną przesładowania go, nie zaś rozumu pomysłem; — gdy w tém spojrzę w okno — w oczach mi się zaświeciło; widzę jednak, że rozpuszczone galopem konie wpadają na dziedziniec z bryką, na której tłum ludzi, i wprost pędzą przededwór. — Królu jerozolimski! jeszcze tego brakowało!... Lejzur, zdrajca, któren przed tygodniem za przyrzeczoną cierpliwość czterdzieści skórek był zadławił, z herodem spokojności szlacheckiej, z komornikiem Szczekotą stanęli przedemną. — To już nad siły moje! — „Dosyć tych wykrętów, mości dobrodzieju, przepadła opozycya! Patrz pan — tu wyrok! a tu reskrypt prokuratora i pomoc wojskowa! Nie ma ratunku!“ Tak krzyknął komornik Szczekota, a szramami ospy oszpeconę oblicze szatańskim pokryło się uśmiechem.

„Panie komorniku! kochany Lejzurku! bójcie się żywego Boga, miejcie sumienie! — Prawda jest, że już wszystko bardzo prawnie, ja niczemu nie zaprzeczam; — ale mi przynajmiej dajcie go-

dzinę czasu; ja zapłacę — z pewnością zapłacę, co do grosza zapłacę, tylko się przez godzinkę wstrzymajcie; za godzinkę powrócę z pieniędzmi. — Janie zaprzęgaj! hej Pawełek! Może pan Szczekota pozwoli porteru albo wina. Panie Lejzur! może jaj albo ryb świeżych; — wołajcie Jékowój, ona to już dla pana Lejzura ugotuje. Pawełek, każ dla pana Szczekoty dać szynki albo marynaty; — bądźcie sobie radzi; — przecież ludźmi jesteśmy.“

Spinionemi końmi, tumanem kurzu okryty w pół godziny stanąłem w najbliższej mieścinie. — Na cudowną przez morze czerwone przeprawę, na wszystkie świętości Talmudu, na przyście Mesyasza zaklinałem bogatego Izraelitę o pożyczanie pieniędzy; — lecz są okropne chwile w kolejach życia ludzkiego, gdzie nic w świecie nie jest zdolnym złamać upartego losu. — W księdze moich przeznaczeń wyrytém było: „Nagelknopf, bryła lodu z sercem granitu, dzisiaj nie pożyczysz pieniędzy.“ — Niemal w odrętwieniu rzuciłem się na krzesło. „Obraz mojej zagrody, niewinne owieczki, bydełko, żydzi, komornik, wyrok łączyły się w jedno widzenie, które z serca do duszy, z duszy do serca biegało; — a mózg, ta zachowalna przedmiotowość, ów mózg w najcięższym razie odbieżał. — Nagle drzwi się roz-

warły: kilkunastu z obywateli, znajomych sąsiadów, w czarnych frakach w białe obszytych taśmy, w najserdeczniejsze pochwycili mnie uściski. — Oj! oj! zebro mi zgnieciesz! — „Guciu! jedyny, drogi, ukochany Guciu! — Uryańska perełko! ciebie, aniołku! ciebie, klejnociku szukamy! Nagelknopf! — sześć butelek z 1811 roku, tego cośmy to w ostatni wtorek pili. — Wygraliśmy! — wygraliśmy!“ — wrzeszczał jeden przed drugim, a zanim na tyle pieśszot odpowiedzieć mogłem, już rzeczony węgrzyn płynął przez moje usta. — „Trzeba ci, Guciu, wiedzieć, że Jerzy Błażej Przylewa w przejeździe przez L. gwałtownie zasłabł, a zawczoraj nad ranem Bogu ducha oddał! Jak nas tu widzisz, najbliżsi krewni i spadkobiercy zjechaliśmy się na pogrzeb; prócz księdza gwardiana, ktoren żałobne mieć będzie kazanie, nie mogliśmy z obywateli w okolicy nikogo znaleźć, coby mówkę pogrzebową obywatelską umiał powiedzieć. — Ciebie Bóg w przykrój zesłał potrzebie.“

Alfonsie! uderz się w czoło; jesteś dosyć rozumnym człowiekiem i prawisz tak niestworzone rzeczy. W życiu mojem nie słyszałem, że Nalewa czy Przelewa żył na świecie a przypuszczając, iż o nieznanym mi człowieku mógłbym wspomnienie uczynić, gdzież jest podobień-

stwem w jednej chwili zebrać szczegóły z jego istnienia, gdzie się rodził? czy się uczył? czy wojował? czy jaką godnością, czy urzędem zaszczycony?

— „Najdroższy, najukochańszy Guciu! nie wymawiaj się na próżno; — tobie łatwiej mówkę powiedzieć, aniżeli mnie list do kochanki napisać. — Auguście! ty wiesz, że jestem twoim przyjacielem — uczyn to dla mnie. Bój się Boga, duszko! — jakżeż chcesz, aby go bez mówki jakby jakiego żebraka pochować; a toćże on czterykroć gotówki zostawił. — Coby też to świat na takie *scandalum* powiedział? Jeżeli Polcię kochasz, nie rób trudności. Tu idzie o honor obywatelski. — Jeżeli pragniesz mój przyjaźni.“

Ale cóż wam się dzieje? Rozumiałem, że to są żarty. Wiecież więc, że za godzinę Szczekotka na rzecz Lejzura wszystkie moje ruchomości sprzedaje, — że ja głowy nie czuje na karku, że się podemną świat pali.

— „Guciu! my Lejzura z duszą i ciałem zapłacimy.“

— Ale cóż mi z tego, kiedy on, powiadam wam: za pół godziny sprzeda mój inwentarz.

— „Erneście! siadaj — wszakżeż Szczekota twojemu stryjowi zawdzięcza swój urząd; — napisz mu, aby się nie ważył w Sękach żadnej roz-

poczynac czynności; niechaj tu przyjeżdża.— I ty, Nagelknopfu, pošlej mi zaraz karteczkę do Lejzura z zapewnieniem, że jutro odbierze swą należytość; — hultaj, jeszcze mi za pszenicę winien. Auguście! słyszysz?! dzwonią... Jeśli masz iskrę litości w swém sercu....“

— Stało się! cóż z wami robić! Nagelknopf większego szkła! — Czcigodni i najszlachetniejsi bracia! wasze zdrowie!... Cieniom nieodżałowanej pamięci Jerzego Błażeja Przylewy! — i palnąłem potężny kufel złotego płynu.

— „Walny z niego chłopiec — w twoje ręce Auguście! „Sandomierskie, kochajmy się.“

Jeszcześmy szóstęj nie skończyli butelki, gdy chorągwie cechów, światła bractw dom Nagelknopfa mijaly.

Ale jakżeż ja w zielonym surducie, z czerwonym na szyi wiązaniem?... Bartłomieju! biegnij co żywo do pana podsędka, proś go na miłosierdzie Boskie o czarny frak. — Hej Bartłomieju i o czarną chustkę, i o rękawiczki! — Faktor! (a było ich kilku na pogotowiu) ot 5 złotych! ruszaj — jeden, 2 lub 3 łokcie krepy!

— Jakiego koloru?

— A czarnej osle! nie różowej.

— Z przeproszeniem, bez urazy pańskiej Abrahamka co dopiero wysłała konnego do dru-



**„Życie jest snem, śmierć jest przebudzeniem.”**





giego miasta po więcej towaru, bo wczoraj czarne wykupili panowie!...

— To przynies brązowej czekoladowej, tylko wracaj!

Tymczasem niegodziwy golibroda kilka razy mię szkaradnie zarznął! wszyscy wybiegli, jeden Ernest na straży przy mnie pozostał.

Już ks. gwardyan wymownym głosem skończył pochwałę zmarłego, już trumnę nad roztwartym postawiono grobem, gdyśmy z Ernestem bez tchu do kościoła wpadli. — Frak pana podśędka o wiele mi był za przestronny; w czarnej jego krawatce jak gdyby w krakowskiem chomonic szyja moja biegła; z brązowej gazy trzy ogromne kokardy na lewej ręce; — twarz zarumieniona; — bibułą opatrzone sączące znaki brzytwy i mocno sapiący nos stanowiły całość. — Wszystkich oczy zwróciły się na mnie zimny pot wystąpił na czoło; Bóg świadkiem nie wiedziałem, co i jak począć? Szczęściem Walery szepnął mi: „urodził się nad Gopłem, uczył się w Trzemesznie — był przez rok cały liwerantem, umarł bezpotomnie wczoraj.“ Patronię obłąkanych myśli! — westchnąwszy w następujące odezwałem się słowa:

*„Życie jest snem, śmierć jest przebudzeniem!*  
— Kiedy twórcza potęgą przyrody świat, w odmęcie słabych zawiązków poczęty, w istnienie

trwałego bytu zreczywistniła, kiedy wiedza ducha wzbiła się nad wyobrażenia zmysłowości, wówczas już i życie człowieka przeszło w zakres smutnego przeznaczenia. — Od kolebki aż do grobu, na téj popędem czucia niezmierzonej przestrzeni igrający przelot ułudnych wrażeń, ściga nas po wszystkich żywota kolejach; — on to ciśnie bólem serce, rzuca na krańce dotkliwych wspomnień, jaśniej chwałą — żyje i ginie w obrębie nowego świata. Któżby się jeszcze przed kilku jutrzenkami był spodziewał, że się tu dzisiaj wieńcem żałoby stawimy? któż mógł przewidzieć że mąż pełen siły, woli i życia runie ofiarą nieprzeblaganéj śmierci, że nas czarnym okryje kirem? W boleści i nieutulonym żalu pogrążeni! z jakimże osmuceniem widzę konieczność ręką żelaznego losu tłoczoną, u drzwi grobowych, u wrot wieczności nieść tę ostatnią zmarłemu przysługę. — O ty! co tór ziemskich pojawów jednym skinieniem w hydrę pamiątek zamieniasz, a w niedościgłych serca ludzkiego uczuciach kamiennym rylcem lata, dni, godziny oznaczasz, otocz nas mężstwem, którego srogi cios wymaga; — dozwól, aby mój głos pocieszenia do tkliwych rzewnego marzeń przeszedł oblędu.

Jerzy Błażej Przylewa urodził się 1787 r. w dobrach matki swojej Scholastyki Petroneli

z Łodygów, po nad Gopłem, w mieście Kruszwicy. Ojciec Błażeja odumarł go gdy jeszcze małym był dziecięciem; natomiast troskliwa i przywiązana matka otoczyła jedyne go syna tym splotem macierzyńskiej miłości, którego niezłomne znamię widzieliśmy w całym życiu Błażeja. — Długo, długo drogie dziecię na łonie matki używało spokoju, lecz nadszedł nielitościwy czas nauk.

W Trzemesznie miało na Błażeja spłynąć to wyższe ukształcenie jakie się znakomitemu należy rodowi, i już 20-ą wiosną liczący Błażej najpiękniejsze mógł rokować nadzieje, — gdy żądza sławy przeniosła Błażeja z przedsionka Muz na pole straszliwego Marsa.

Pamięć to zapewne Kaspra Przylewy, wpływ matki a nadewszystko zdolności samego Błażeja stały się powodem, że mu poruczono trudne a ważne obowiązki komisanta liwerunkowego.

Nie jest to w zakresie mowy mojej wyliczać wojenne zasługi Błażeja; — znajdzie się karta dziejów ojczystych, na której dłoń nieśmiertelności pochwyci tę piękną lauru barwę i zaiste kwiat niezapomnienia z niego odłoni... — Po skończonej wyprawie powrócił Błażej pod strzechę rodzinną i szablę na lemiesz zamienił. Odtąd byliśmy cnót jego świadkami. Lekkim prądem cichego strumienia i wirem zachwyty toczony, w je-

dno ognisko zestrzelił tajnie pomysłów i do szczęśliwego przyplynał celu. Ścieśniona brew żalu na bławatnym niebios półkolu parta czozój myśli zadumą, przemija nad zgłiszczem starożytnój odrośli; pozostaje jedynie siła samoistnienia w rozgłosnym śpiewie łąą błyszczących powiek. Przeminełaś więc czarna nocy pogodnego przestworza; nielitośna parka zgubnym żelazem nic życia przecięła; — lecz się nie ciesz, okrutna śmierci, obrzydłem zwycięstwem, paszczą hyeny napróżno szukasz zdobyczy! nie, nie wydarłaś Błażeja z serc naszych. Tu, tu, tu on wiecznie żyć będzie, dopóki granic naszego starczy żywota! Otrzyjcie więc zwilżone potokiem łez powieki, rozjaśnijcie pierścieniem żalu i spelzłym rumieńcem owiane lica; z górnych niebios sklepień patrzy na nas Błażej; tam, tam, tam nas oczekuje jego dusza anioła. Żegnam cię drogi cieniu — cześć i sława twoim znikomym popiołom!...“

Westchnienia i łkania licznie zgromadzonego ludu starczyły za najoczywistszy dowód, że w tętno słuchaczy trafiłem, i byłbym może więcej czule rozrzewnił serca, bo jakoś na dobry tór wbiegłem, ale mnie sąsiad mój, pan Kazimierz, zbił z drogi, któren uwiadomiony, że mam mówkę pogrzebową improwizować, po-za filarem płacząc ze śmiechu, szybkim ołówkiem wzięił na papier

myśli moje; — widząc go jak całą chustkę w usta wtłoczył — o mało - żem i ja się na głos nie roześmiał, a było to właśnie w tę chwilę, gdy wołając „tu! tu! tu!“ po sercu mojem stukałem.

W przeciągu kilku godzin odpisano mnóstwo egzemplarzy rzeczonój mówki; dostał się jeden i w ręce moje zgodny z orginałem. Dodać jedynie winien jestem, że cała noc już nie u Nagelknopfa ale pana Jmbiera, szwagra Szczekoty, pi·liśmy na zabój i że nazajutrz poczciwi obywatele z pogrzebu rzeczywiście dotrzyмали słowa. — W roku dopiero zeszyłem resztę długu na ową pogrzebową mówkę zaciągnionego szczęśliwie zapłaciłem.

Bogdaj to z obywatelstwem, z sąsiadami! stanowczą, z szczerego serca przynieśli pomoc — za jedną chwilę natchnienia.



# **O DOBREM WYCHOWANIU.**





# O DOBRÉM WYCHOWANIU.

W źródłosłowie wyrazu szukaj jego prawdziwego znaczenia.

Badając wyrazy *dobre wychowanie* (chów — wychów), mimowolnie przypomniałem sobie dobrze wychowane konie, owce, woły, krowy, jedném słowem zwierzęta a i dzieci ludzkie w ich pierwszej młodości — wyłącznie pod względem fizycznym. Pełnoletniego zaś młodzieńca, mężczyznę dojrzałego nazywać dobrze wychowanym, poczytuje za ubliżenie jego duchowej godności. A przecież ta nazwa w kraju naszym niemal bezwyjątkowo wielką jest pochwałą u ludzi wyższej warstwy naszego społeczeństwa, i zawiera w sobie nietylko piękne przymioty obyczajności, ale i naukowość i umysłowość chwalonego.

Mylna to nazwa, o! bardzo mylna, a wypływa z nizkiego żądania głównie gładkich obyczajów tylko, pomijając nazwę umysłowość, duchowość człowieka. U Niemców jest inaczej:

*ein wohl erzogener Knabe* (chłopiec dobrze wychowany) znaczy młodzieniaszka, mającego dobre obyczaje towarzyskie, to jest: że się ze starszymi nie sprzecza, że dla kobiet jest z uszanowaniem, że w obec czcigodnych ludzi nie ziewa, że przyzwoite nosi sukienki i t. d. i t. d. *Ein gebildeter Mann, ein gescheidter Mann* odnosi się wyłącznie do znamienitego stopnia i naukowej i umysłowej dojrzałości, i z tąd też przymiotnik *wychowany* przeznaczają wyłącznie dla chłopca (*Knabe*), a *naukowo* i *umysłowo* *wykształcony* dla męża (*Mann*).

W Niemczech społeczeństwo czyli obywatelskie towarzystwo posiada trzy główne dzielnice: tak nazwaną klasę wyższą, średnią i niższą. Myśmy niedawno mieli tylko dwie klasy, wyższą i niższą, bo średnia dopiero w początku dziewiętnastego stulecia z kolebki wyrastać zaczęła. W Niemczech klasa średnia jest rządzącą, — u nas po dziś dzień przodkuje klasa wyższa. A że właśnie w naszej klasie wyższej przedewszystkiém starają się o dobre *wychowanie* młodzieży a rzeczywiste wykształcenie naukowe, umysłowe, zwykle pozostawiają dla ludzi chlebowych, więc téż klasa wyższa przodkująca, ograniczając się tylko na *dobrém wychowaniu*, niedołączną jest w przodkowaniu, bo niską jest

na drodze nauki, a bez nauki obecnie już się stało niepodobnym pożytecznie przodkować, i oto źródło naszych klęsk ostatecznych i najnowszych a bodaj i nie przyszłych.

W Polsce do przodkowania bezwarunkową potrzebą dotąd było imię wielkiego rodu. W Niemczech i w Anglii jedynie i wyłącznie umysłowość zasłużona odbiera pierwszeństwo; nie wymieniam Francyi, bo mi tego zabrania ostatni przykład z wyborów 1848 r., gdzie dla historyczności imienia rozum pogwałcony został.

Z tych to w najściślejszej a niestety koniecznej treści zawartych zdań i uwag moich taki dla kraju naszego sens moralny przedstawiam. Nasza klasa wyższa za najświętszy poczytać winna obowiązek, aby jej członkowie przede wszystkim byli *gebildete Männer*, rzeczywiście naukowo ukształconymi ludźmi; *dobre zaś wychowanie*, aby się z pierwszego do trzeciego rzędu, to jest za naukę i za *szczerze pocziwe serce* usunąć raczyła.

To, com tutaj *o dobrém wychowaniu* napisał, jest małą cząsteczką dorywczych uwag moich; jest to niedbały a najogólniejszy zarys do bardzo dla nas ważnej rozprawy. Z tego przekonania wychodząc, wzywam mężów umysłowo odemnie zdolniejszych a do sondowania zaprawnych,

aby ten przedmiot, jako rzeczywistego dobrą ogółu obecnie i na przyszłość bezpośrednio dotyczy, głęboko, jasno i obszernie opracowali; bo za prawdę, za prawdę powiadam wam, dopóki u nas *dobrze wychowanie* <sup>1)</sup> przodkować będzie, zbawienia *naszej* duszy spodziewać się nie możemy. Dixi.

---

<sup>1)</sup> Jeden z najznakomitszych obywateli naszego kraju, w mojej obecności, bronił uporczywie zdania następującego: „Można być źle wychowanym, umiając po francuzku, ale nie można być *dobrze wychowanym*, nie umiając po francuzku.“ Że zaś cała Polska posiada co najwięcej — tysiąc obywateli, umiających płynnie mówić po francuzku, więc mamy tylko jeden tysiąc obywateli *dobrze wychowanych*. Djable mało na 20 milionów ludności!

Księgi francuzkie czytając, najdosłateczniej rozumiem, o co rzecz idzie, ale płynnie parlować nie umiem; zostając więc w wątpliwości co do mojego wychowania, — oddając się na sąd polubowny — zyskałbym może stopień *miernego wychowania*; gdyby się więc komu ze współczesnych lub z przytomnych przywidziało kreślić mój życiorys, winienby napisać: *Au. Wi. autor Ramot i Ramotek, chirurg filozofii, krzyża naturalnego kawaler, był miernego wychowania.* Aby takiego epitetu uniknąć, dzisiaj jeszcze, chociaż mi już 44 lat minęło, bezzwłocznie kupię *Rozmowy pani Coquon* i przyjmę sobie rodowitego Francuza za lokaja, aby się dobrze we francuzkiej *konwersacyi* wyćwiczyć, bo chcę koniecznie posiadać ów nieodzowny warunek do *dobrego wychowania*, a ztąd krom dółczesnych korzyści i po śmierci piękniejszy *zyciorys* uzyskam.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

## SPIS RZECZY

### W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

|   | <i>Strona.</i> |
|---|----------------|
| August Wilkoński . . . . .  | V              |
| Przedmowa. . . . .  | 3              |
| Głos pierwszy do czytelników . . . . .  | 7              |
| Głos drugi do czytelników . . . . .   | 10             |
| Do panów krytyków . . . . .   | 13             |
| Do najszanowniejszych prenumeratorów . . . . .  | 16             |
| Wspomnienie szkolne (z 2-a drzeworytami) . . . . .  | 21             |
| Spostrzeżenia nad moralnemi chorobami XIX stulecia. O ko-<br>łowaciznie literackiej . . . . . | 35             |
| Maleńki odłamek z historyi mojego nosa (z drzeworytem) . . . . .                              | 57             |
| Napoleon i żydki swarzędzkie (z drzeworytem) . . . . .  | 65             |
| A B C dla pełnoletnich dzieci (z 12-a drzeworytami) . . . . .                                 | 73             |
| Zemsta mlecznego brata, szkic (z drzeworytem) . . . . .                                       | 209            |
| „Za pozwoleniem, ja państwu opowiem bardzo ciekawą histo-<br>ryą“ (z drzeworytem) . . . . .   | 235            |
| Moja mówka pogrzebowa (z drzeworytem) . . . . .   | 251            |
| O dobrém wychowaniu . . . . .   | 267            |





